

**Bohdan Petecki**

# **Prosto w gwiazdy**

**1978**

## 1. Nad jeziorem

Trzciny zaszumiały i pochyliły ku sobie chude, pierzaste głowy, jakby jedna drugiej powtarzała najnowsza, pasjonującą plotkę. Pod płaskim dziobem motolotki przycumowanej do sąsiedniego pomostu, zapluskawała fala. Kajaki poruszyły się niecierpliwie.

Dwie twarze, przed chwilą patrzące z gładkiej jak lustro wody, zmarszczyły się, wykrzywiły, po czym zaczęły pływać jak na zepsutym telewizorze.

— Popatrz — Lidka oderwała rękę od pomostu, i wycelowała palec pionowo w dół — tam mamy teraz po dwieście lat. Okropność. Ja nigdy nie będę stara — zakończyła zuchwale.

Marek, zły na wiatr, za to, że zepsuł mu obraz w który wpatrywał się z zachłannym — by nie używać słowa: cielęcym — podziwem, odpowiedział bez zastanowienia:

— Tak. Ty się nie zestarzejesz...

W jego głosie brzmiała ta sama niezachwiana pewność z jaką dopiero co sama Lidka oznajmiła światu, że zawsze zostanie młoda i będzie wyglądać tak, żeby chłopcy chcieli godzinami wpatrywać się bodaj w jej odbicie w wodzie. To znaczy tak, jak jej zdaniem powinna wyglądać dziewczyna, kiedy ma czternaście i... powiedzmy krótko: piętnasty rok życia. Nie popełnimy bowiem żadnej niedyskrecji stwierdzając od razu, że Lidka dobrze, a zdaniem niektórych nawet odrobinę zbyt dobrze, zdawała sobie sprawę z własnej urody. Ta chmurka na jej promiennym skądinąd charakterze była świetnie znana nie tylko jej rodzinie, lecz także przyjaciółom, a zwłaszcza przyjaciółkom. Innej chmurce na tymże charakterze zawdzięczała swój domowy przydomek „Lidka–Nie”. Jak łatwo się domyśleć, decydującą rolę odegrało w tym wypadku osobliwe umiłowanie słówka „nie”, od którego nasza piękność zwykła zaczynać większość odpowiedzi na dobre rady, prośby i propozycje rodziców, a zwłaszcza starszego brata.

Dajmy jednak spokój chmurkom, tym bardziej że niebo tego lipcowego przedpołudnia było czyste i błękitną, jak okiem sięgnąć, a słońce prażyło tak, że nawet drewniany pomost parzył niby rozgrzana patelnia. Zresztą jeśliby chodziło akurat o urodę, to powiedzmy sobie szczerze, że nie jest zbyt trudno darować szczyptę zadowolenia z siebie osobie posiadającej puszyste, kasztanowe włosy o pięknym złotawym połysku, wielkie orzechowe oczy pod czarnymi brwiami, zgrabny choć troszeczkę wścibski nosek, brzoskwiniowe policzki i usta w kształcie wydłużonego serca. Dodajmy do tego długie, zgrabne nogi i rzęsy jak u... żyrafy. Ten ostatni podejrząny komplement pochodził z ust samego profesora Kapicy, badacza kosmosu, słynnego tak ze swoich osiągnięć naukowych jak i ze swego roztargnienia Nie ulegało wątpliwości, że profesorowi znowu coś się pomyliło i patrząc w oczy Lidki przypomniał sobie ni stąd ni zowąd, że żyrafy miewają długie szyje. Nauczony wieloletnim doświadczeniem Kapica umiał jednak z rzadką zręcznością ratować się z opresji, w jakie wpędzało go własne roztargnienie. Toteż kiedy Lidka, ochłonawszy z wrażenia, spytała słodko — syczącym głosem: —dlaczego jak u żyrafy? — profesor bez chwili wahania odpowiedział:

— Bo żyrafy mają wyjątkowo piękne i długie rzęsy. Nie widziałaś?

Dziewczyna zagryzła usteczka i nic nie powiedziała.

— No właśnie! — ucieszył się Kapica. — To idź i zobacz...

Rzecz była raczej niewykonalna, bo po pierwsze przytoczona wyżej rozmowa odbywała się na Marsie, gdzie nie ma ani jednej żyrafy, a po drugie trudno dokładnie obejrzeć rzęsy stworzenia, które ma oczy na wysokości drugiego piętra. Ku

nieopisanej ucieście przysłuchującej się tej wymianie zdań rodzinki, Lidka nie pisnęła więc słówkiem, a określenie „rzęsy jak u żyrafy” weszło na stałe do repertuaru rodzinnych porzekadeł w domu państwa Saperdów.

Odkładając na razie na bok roztargnienie profesora Kapicy i jego zdumiewający refleks, trzeba stwierdzić, że rzęsy Lidki były naprawdę długie i piękne. Krótko mówiąc, można jej za to nie pochwalać, ale trudno się dziwić, że dziewczyna przechwytyjąc zachwycone spojrzenia przedstawicieli brzydszej połowy rodzaju ludzkiego, zwykła przybierać wyraz twarzy, jakby chciała zawołać znudzonym głosem: och, wiem wiem! Tym bardziej trudno mieć za złe Markowi, że leżąc od jakiejś godziny na pomoście, spędził całą tę godzinę nie odrywając oczu od twarzyczki swojej sąsiadki. Ratując resztki męskiej dumy nie wpatrywał się jednak w dziewczynę wprost, tylko chytrze chłonał jej odbicie w rozpościerającym się metr niżej lustrze wody.

— To już może ostatni dzień — powiedziała bez żalu Lidka.

Chłopiec westchnął.

— Może... — mruknął z powątpiewaniem. Natychmiast jednak poweselał. Wakacje przebiegają jak dotąd wspaniale, a czeka ich przecież cudowny lot. — Bogdan będzie się spieszył — dodał.

— Bogdan? — dziewczyna uniosła brwi.

— Od niepamiętnych czasów mówię tacie po imieniu — oświadczył z lekką przechwałką w głosie Marek.

— Od niepamiętnych czasów — powtórzyła Lidka tonem, jakim młody student zwraca się do siwobrodego profesora. Chłopiec zerknął na nią, otworzył usta, następnie zamknął je na powrót, jeszcze raz westchnął i pokornie wrócił do poprzedniego zajęcia.

Leżeli oboje na brzuchach, z głowami wychylonymi za krawędź pomostu. W wodzie jest zawsze tyle ciekawych rzeczy do oglądania. W każdym razie teraz i w każdym razie dla Marka. Myliłby się jednak ktoś,] kto by sądził, że Lidka wpatrywała się zupełnie prosto w dół, a nie troszeczkę w bok, na ukos.

Powiew wiatru, który zmarszczył powierzchnię jeziora, umknął w stronę brzegu, porosłego wysokimi sosnami. Woda wygładziła się. Chłopiec przyjął tę zmianę z zadowoleniem. Twarzyczka odbita w wodzie znieruchomiła i nabrała wyrazu. Jego własne oblicze zlągodniało i rozjaśniło się błogim światłem.

Szczęście bywa jednak płochę. Raz gotów je zmaćć byle wiaterek, kiedy indziej...

Ponad odbiciem dwóch twarzy pojawiła się trzecia. Była to podłużna, jajowata twarz, na której malował się sarkastyczny uśmieszek. Marek drgnął i szybko przewrócił się na bok. Przy tym ruchu uderzył łokcie o deski pomostu i syknął. Dopiero teraz poczuł, że deski, tak ładnie pachnące smołą i żywicą, są niemiłosiernie twarde.

— Szanowni państwo oddają się obserwacji przyrody — stwierdził dość cienki męski głos, w którym brzmiała nutka pobłażliwej wyższości. — W pewnym wieku to zajęcie godne pochwały...

Marek usiadł, podciągnął kolana, objął je dłońmi i utkwiał ponure spojrzenie w postaci przybyłego. Był to krępy, lecz ani nie za tęgi, ani nie za niski chłopiec o jajowatej, jako się rzekło, głowie i gładko zaczesanych ciemnoblonde włosach. Miał na sobie długie, zielonkawe spodnie i groszkową koszulę z krótkimi rękawami. Przy czekoladowym Marku i ciemnozłotej opaleniznie Lidki wyglądał, jakby właśnie wrócił z półrocznej wyprawy do najgłębszej jaskini Księżyca. Twarz i ramiona miał białe jak mleko.

— Właśnie postanowiliśmy — odezwała się miodowym głosem Lidka, nie odwracając wzroku od wody — że zawsze zostaniemy młodzi. Mam zamiar i za sto

lat wyglądać tak jak teraz — dodała z dumą — a nie jak przedwcześnie postarzała glista. Nie znaczy to, żebyśmy przestali rozwijać się umysłowo — zastrzegła się uprzejmie. — Muszę być szczególnie czujna pod tym względem, i to w ciągu najbliższego roku. Mam odstraszący przykład we własnej rodzinie...

— Tak tu cicho... — szybko powiedział pojedynczym tonem Marek.

Blady, czyli Jacek Saperda był bądź co bądź rodzonym bratem Lidki, starszym od swojej siostry i od Marka o rok i kilka miesięcy. Niezależnie od osiągnięcia tak imponującego wieku uważał się za stuprocentowego intelektualistę, co razem wzięte upoważniało go, jego własnym zdaniem, do traktowania bliźnich z wyrozumiałością, z jaką człowiek odnosi się na przykład do sympatycznej, oswojonej małpy.

— Cicho — przytaknął Markowi, zakładając ręce na plecy, w której to pozycji zwykł się przechadzać i prowadzić uczone dysputy. Przeczytał bowiem kiedyś, że dawno temu, w starożytnej Grecji, istniała akademia, która skupiała mędrców hołdujących podobnym obyczajom. — Cicho i spokojnie — dodał uśmiechając się łaskawie. — Trzeba jednak mieć wszechstronną wiedzę, aby nie tylko podziwiać, lecz także rozumieć ten spokój. Jaki jest naprawdę, jeśli się zważy, że wszystko wokół nas pędzi w różnych kierunkach — uniósł głowę i zakreślił brodą regularne kółeczko. — Ziemia krąży wokół Słońca. Słońce porusza się względem najbliższych gwiazd z prędkością dwudziestu kilometrów na sekundę, a wespół z nimi osiąga szybkość dwustu sześćdziesięciu kilometrów na sekundę, obiegając centrum Galaktyki. Ta ostatnia z kolei z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów na sekundę...

— Mdli mnie — oświadczyła Lidka, zasłaniając sobie jednak nie usta, tylko uszy. — Albo zjadłam coś nieświeżego na śniadanie, albo też widzę czy słyszę coś paskudnego. Jeśli o mnie chodzi, to coś powinno się czym prędzej oddalić z szybkością co najmniej miliona kilometrów na sekundę.

Uśmiech na twarzy Jacka stał się odrobinę szerszy.

— Kobieta — powiedział z zadumą. — Młoda kobieta. Kiedy będę dyrektorem instytutu, zażadam, żeby wprowadzono do programów szkolnych...

— ...sztukę topienia nudziarzy! — wrzasnęła Lidka, zrywając się z miejsca. Skoczyła w stronę brata, który jednak w ostatniej chwili zdołał umknąć. Nie udało się to natomiast Markowi.

W takiej pozycji, w jakiej siedział, to znaczy z dłońmi splecionymi na kolanach, przetoczył się przez krawędź pomostu i chlupnął w wodę, skraplając rzęsistym deszczem Lidkę i jej brata. Ten ostatni burknął coś i pospiesznie uciekł na brzeg, natomiast dziewczyna zachichotała, zrobiła nagle w tył zwrot, po czym pięknym szczupakiem śmignęła z pomostu, lądując daleko za miejscem, gdzie woda zamknęła się nad Markiem. Blady na wszelki wypadek cofnął się jeszcze o pół kroku.

Chwilę później dwie głowy, bardzo jasna oraz kasztanowa, wychynęły na powierzchnię i zbliżyły się do siebie.

— Do drugiego pomostu i z powrotem! — rzuciła Lidka, puszczając się we wskazanym kierunku piękną żabką.

— Dobrze! — odkrzyknął Marek.

Lidka pływała najlepiej w całej szkole. Nic dziwnego więc, że kiedy robiła już nawrót, Markowi pozostało jeszcze do sąsiedniego pomostu dobre pięć metrów. Gdy wreszcie wrócił do punktu startu, dziewczyna stała już na piasku, blisko brzegu i zawzięcie spryskiwała wodą swojego uczonego brata.

— Chodź prędko! — zawołała zdyszana — ma jeszcze suche jedną nogawkę i pół głowy. Zauważyłeś może — ciągnęła nie przestając zawzięcie wymachiwać rękami — że czuje się niezbyt dobrze. Pewnie ma gorączkę — chlust! — nie możemy dopuścić do tego, żeby całkiem zwariował — chlust!

Tym razem Marek nie uszanował ani wieku, ani uczoności Jacka. Zanim ten zdążył

się wycofać na bezpieczną odległość, miał już mokrą nie tylko głowę i obie nogawki, ale cały ociekał wodą. Lidka i Marek pracowali jednak nadal bez przerwy do chwili, kiedy dobiegł ich wysoki, a raczej piskliwy głos, dyszący, świętym oburzeniem.

— Dosyć, mówię! Przeście! Szczeniackie zabawy...

Lidka znieruchomiała. Marek wyprostował się powoli. Na pomoście obok Jacka pojawiła się nowa postać. Była to dziewczyna, w krótkiej, niebieskiej spódniczce i białej bluzce. Ta bluzka i spódnica przedstawiały teraz, obraz równie żalony jak spodnie jajogłowego.

— Och, przepraszam, kochanie! — wykrzyknęła Lidka. — Nie zauważyliśmy, kiedy przyszłaś. Powinnaś jednak wiedzieć, że kto znajdzie się w towarzystwie mojego braciszka, temu grożą, różne nieprzewidziane przykrości...

— Obawiam się — powiedziała chłodno przypadkowa ofiara leczniczego natrysku, jakiemu został poddany Jacek — że jeśli chodzi o przykrości, to mój brat jest niezastąpiony — tu przeszła straszonym wzrokiem Marka. — Przemawia przeze mnie wieloletnie doświadczenie. Nie powinnaś zbyt często przebywać w jego towarzystwie. Wywiera fatalny wpływ na otoczenie. Teraz ma przykład...

— Co teraz? — podchwycił zaczepnie Marek. Wszedł na brzeg i stanął na wprost swojej starszej siostry, Anny. — Nie trzeba było wychodzić z domu przy takiej pogodzie — ciągnął zjadliwie. — Albo przynajmniej włożyć pelerynę. Upał jak na Merkurym, a ta ubiera się tak, jakby za chwilę miała zdawać egzamin z geometrodynamiki. Phi!

Po tym ostatnim okrzyku nastąpiła chwila ciszy. Chwilowo przynajmniej konflikt rodzinny Lidki i Jacka zszedł na drugi plan. Zanosilo się natomiast na niezłą scenę w wykonaniu rodzeństwa Sponków.

Marek po owym celnym „phi!” umilkł, zmrużył oczy i zmierzył swą siostrę pogardliwym spojrzeniem. Był od niej wyższy bez mała o głowę, toteż malujący się na jego twarzy wyraz męskiej przewagi można było od biedy uznać za miążdżący. Poza tym wyrazem jednak, skądinąd niezmiernie rzadko goszczącym na jego wesołym z natury obliczu, cała postać Marka nie tchnęła złowieszczą siłą starożytnego atlety. Brat Anny był raczej chudy niż szczupły, jego włosy, teraz przyklepione mokrymi kosmykami do czoła, były tak jasne że aż niemal białe, miał szeroko rozstawione szaroniebieskie oczy, kapkę zadarty nos i usta, których ani rusz nie chciał się trzymać grymas gniewnej powagi.

Mawia się, że córki są podobne do ojców, a synowie do matek. W rodzinie państwa Sponków rzecz miała się dokładnie na odwrót. Profesor Bogdan Sponka był wyrosniętym nad miarę blondynem, natomiast jego żona Zula, córka Uzbekki wychowanej w Kenii i Kenijczyka, znanego badacza Antarktydy, wyglądała jak bohaterka filmu, nakręconego według „Baśni z tysiąca i jednej nocy”. A Anna była kubek w kubek podobna do matki. Miała czarne, długie i lśniące włosy, grube brwi, zrosnięte u nasady wąskiego zgrabnego noska, ciemny meszek nad górną wargą i pięknie zaokrąglone, smagłe policzki. Choć niższa o głowę od brata, nie była wcale mała. A fakt, że Marek patrzył na nią z góry, najwidoczniej nic dla niej nie znaczył.

— Phi! — odrzuciła drwiący okrzyk jak piłeczkę. — Patrzcie, on już nawet umie wymówić słowo: geometrodynamika! No, no, co za postęp! A jeśli chodzi o egzaminy, to ubieram się na nie tak jak zawsze. Bo ja bywam przygotowana i nie muszę uciekać się do sztuczek...

— Daj spokój — powiedział przez nos Jacek, dolewając oliwy do ognia. — Młodość ma swoje prawa...

— Czy jesteś zupełnie pewien — spytała Lidka, zwracając się z nagłym zainteresowaniem do Marka — że ochłodził się go już dostatecznie? Nie gniewaj się, kochanie — spojrzała ponownie na Annę — powiedziałam przecież:

przepraszam... ale naprawdę wyglądacie, jakbyście szli zdawać egzamin... oj!...

To ostatnie „oj” było już aktem kapitulacji. Lidka popatrzyła błagalnie na Annę, ale utrzymanie powagi przekraczało jej możliwości. Dźwięczny dziewczęcy śmiech poniósł się nad cichym jeziorem i wrócił słabym echem, odbity od przeciwległego, wysokiego brzegu. W trzcinach zaskrzeczał gniewnie jakiś ptak.

— Chyba pójdziemy — Jacek odwrócił się z niesmakiem i spojrzał zapraszająco na osóbkę ubraną „jak zawsze”. — Minie co najmniej rok, zanim będzie można z nimi rozmawiać...

Akurat o ten jeden rok Jacek był starszy od Lidki, a Anna od Marka. Mimo wspólnoty dojrzałego wieku Anna nie dzieliła jednak ze swoim rówieśnikiem przekonania o własnej bezgranicznej wyższości intelektualnej. Może dlatego serdeczny śmiech Lidki sprawił, że twarz jej się w końcu rozjaśniła.

— Właśnie wyprasowałam bluzkę — poskarżyła się jeszcze, ale już bez gniewu, patrząc z zabawnym ubolewaniem na swoją kreację. — Jak na egzaminie — powtórzyła z urazą, żeby zbyt łatwo nie ustąpić z pola walki. — Kto powiedział, że na biwaku nie można przynajmniej od czasu do czasu wyglądać tak jak na egzaminie... z czego to? — zaśmiała się wreszcie.

Jacek milczał. Uniósł głowę i patrzył w niebo, jakby właśnie ujrzał raketę wypisującą dymem najbardziej zawiłe równanie geometrodynamiczne.

— Wszystko jedno z czego. Przecież i tak będziesz przygotowana — Marek spojrzał przelotnie na skąpy kostium kąpielowy Lidki, zerknął na własne slipki, po czym, całkiem już udobruchany, dodał: — Dlaczego nie zrzucicie tych wspaniałych szat i nie popływacie trochę? Woda jest wspaniała...

— O tym — zauważyła mimochodem Anna — mieliśmy już okazję się przekonać.

Lidka znowu zaśmiała się głośno. Wyszła na brzeg i usiadła na skraju pomostu. Po chwili Marek zajął miejsce obok niej. Jego stopy poruszały się miarowo, zagarniając wodę jak wiośła.

— Popatrzcie, jakie to jezioro jest błękitne — powiedziała nagle Lidka. Jej wzrok poszybował ku przeciwległemu brzegowi.

— Błękitne jest niebo i tylko ono — oświadczył Jacek. — Reszta to odbicie w wodzie. A niebo jest błękitne, ponieważ w górnych warstwach atmosfery znajduje się dużo wodoru. Zgodnie z teorią fluktuacji gęstości Smoluchowskiego światło ulega rozproszeniu w warunkach bardzo rozrzedzonego gazu, błękitną składową promieni słonecznych najbardziej rozprasza właśnie wodór...

— Jeśli nie chcecie się kąpać ani iść na spacer, to może my pójdziemy? — zaproponowała uprzejmie Lidka, patrząc na Marka. — Chyba że znudziły ci się już wakacje, i to do tego stopnia, że pod nieobecność profesorów chcesz wysłuchać, jak ten wyblakły robot wyrecytuje z pamięci cały podręcznik. Ja w każdym razie — dodała wstając — mam jeszcze ochotę popływać w tej wspaniałej wodzie...

Niebo nie straciło nic ze swego błękitu, niemniej nad jeziorem znowu jakby pociemniało. Lidka zamiast zgodnie z zapowiedzią skierować się ku wodzie, przeszła kawałek ścieżką wiodącą do obozowiska, przystanąła, spojrzała na Marka, po czym widząc, że ten nie poruszył się, skrzywiła pogardliwie usta.

Nagle tuż obok pomostu coś głośno chlupnęło.

— O, ryba! — ucieszył się szczerze Marek. — Chodźcie, popatrzcie, jaka wielka...

Lidka raczyła zawrócić ze ścieżki. Anna podeszła do skraju pomostu. Tylko Jacek pozostał tam, gdzie stał, na piaszczystym nasypie, dającym oparcie prowizorycznej przystani.

Smukły, ciemny kształt przemknął tuż pod powierzchnią wody. Marek, rad w duchu, że zaszło coś, co odwróciło uwagę obecnych od słów w rodzaju „wyblakły robot”, odprowadził rybę spojrzeniem, po czym powiedział z zadumą:

— Mój pradziadek był wędkarzem. Zabierał mnie czasem na ryby...

— Jak to na ryby? — zdziwiła się Lidka.

— No... — Marek zawahał się przez moment — on je łowił.

— Co to znaczy łowił? Wyciągał je z wody, czy co?...

— Czasy były trochę inne, moja mała siostrzyczko — zaczął z pobłażliwym uśmiechem Jacek, ale tym razem Anuna przerwała mu w pół słowa:

— Przestań wygadywać na pradziadka! — zawołała z oburzeniem. — To był Wspaniały człowiek! Jeden z pionierów osadnictwa na Merkurym! Zapomniałeś już, jak cię kochał?!

— Ależ ja nic złego...

— Ryba nie może żyć bez wody!

— Młody baran!

— To świństwo!

— Ale ja naprawdę nic złego...

— Przestańcie mówić wszyscy naraz — jajogłowy wreszcie stracił cierpliwość, o czym świadczył jego głos, przypominający dźwięk fujarki, którą ktoś podstawił pod dyszę startującej rakiety. — Marek nie chciał powiedzieć nic złego o swoim pradziadku — ciągnął już bardziej ludzkim tonem — ale moja zacna siostrunia tego nie zrozumie. Trzeba jej wybaczyć — uśmiechnął się porozumiewawczo do Anny, po czym przeniósł spojrzenie na jej brata — jest jeszcze bardzo młoda i naiwna. Jej się zdaje, że ludzie od razu byli bardzo dobrzy, mądrzy i umieli wszystko to co dzisiaj. Fakt, że kiedyś musieli zabijać zwierzęta, żeby utrzymać się przy życiu, nie dotarł jeszcze do jej świadomości. Syntetyczne białko spadło po prostu z nieba... — dodał sarkastycznie. — Ale nie martwcie się o nią — wpadł w ojcowski ton. — Kiedyś zrozumie, że człowiekowi, który chce iść naprzód, poznanie własnej przeszłości jest tak samo potrzebne jak umiejętność pilotażu raketowego...

— Mój braciszek już o tym wie — podchwyciła zjadliwie Anna, zanim Lidka zdążyła ochłonąć z wściekłości. — Pamięta, że pradziadek łowił ryby. Zapytajcie go, to może przypomni sobie także inne rzeczy. Na przykład jak to kiedyś, na satelicie BX-911 ułożył się do snu w zwierciadle baterii słonecznej, a kiedy satelita wynurzył się z cienia zaczął wrzeszczeć: parzy! parzy! parzy! Narobił takiego gwałtu, że przyleciało siedem ekip ratunkowych. A kiedy indziej wszedł tuż przed startem do bezzałogowej rakiety dalekiego zasięgu. Tam przywitał go pokładowy robot. Spotkanie musiało być arcyprzyjemne, bo Mareczek uciekał potem tak szybko, że jeszcze następnego dnia wygrał biegi krótkie na międzyszkolnych zawodach. Świadomość własnej przeszłości to wielka rzecz, pod warunkiem, że człowiek wykorzystuje swoje doświadczenia, żeby iść naprzód, jak powiedział Jacek. Mój brat to potrafi. Nawet nie tylko iść, a biec. On zawsze był ciekawy...

— Ta nieprawda! — wrzasnął ugodzony do żywego Marek. — Zawody wygrałem, bo najlepiej biegam. A prawdziwy badacz musi być ciekawy...

— Prawdziwy badacz nie ucieka z krzykiem, kiedy odkryje coś, z czym się dotąd nie zetknął...

— Ja... ja... ja... — wydyszała z furją Lidka, najwidoczniej bezskutecznie poszukując słów, które unicestwiłyby bez reszty jedyną męską latorośl rodu Saperdów. Latorośl ta natychmiast i z całą bezwzględnością wykorzystwała chwilową słabość siostry. Obiektem zainteresowania jajogłowego stała się jednak nie ona, a Marek.

— Ciekawość nie poparta wiedzą, bez tezy roboczej, którą chciałoby się udowodnić, jest zwykłą dziecinadą — stwierdził autorytatywnie Jacek, unosząc w górę wskazujący palec.

— Ty nie jesteś ciekawy? — spytał zaczepnie Marek.

— On zaspokaja swoją ciekawość w zaciszu biblioteki ojca, ewentualnie słucha, co mówią profesorowie.

— Lidka odzyskała wreszcie zdolność mówienia. — Gdyby chciał na przykład wiedzieć, jak teraz wygląda Instytut — uniosła głowę i spojrzała ponad las, w stronę, gdzie jezioro zataczając łuk ginęło za zielonym cyplem

— to przez myśl by mu nawet nie przeszło, żeby się tam wybrać. Poszukałby w bibliotece planów, poprosiłby ojca, profesora Sponkę albo samego Kapicę. Może i Adama, ale to niezbyt pewne. On nie schodzi poniżej profesorów...

— Do Instytutu nie poszedłbym (rzeczywiście, bo nie wolno — wycedził przez zęby Jacek. — Jak będziesz starsza, to zrozumiesz może, że prawdziwa odwaga i prawdziwa ciekawość, muszą być podporządkowane dyscyplinie umysłowej. Tak — westchnął, patrząc na Lidkę zatroskanym wzrokiem wytrawnego pedagoga.

— Może zrozumiesz... chociaż to niezbyt pewne — odciął się!

— Skąd ci nagle przyszedł na myśl Instytut? — Anna spojrzała z dezaprobatą na Lidkę, która potrzęsła główką i zawołała wciąż jeszcze rozzłoszczona:

— Och, nie udawajcie! Od trzech tygodni odkąd tu jesteśmy, wszyscy myślimy o tym opuszczonym poligonie. Tylko nikt nie chce się do tego przyznać...

— Co do mnie... — zaczął przez nos Jacek, ale umilkł. Nawet dla niego prawda przebijająca ze słów jego siostry, była zbyt oczywista.

Marek zmarszczył brwi, po czym zaśmiał się niespodziewanie.

— Ja rzeczywiście nie mogę przestać myśleć o Instytucie — wyznał. — Ale was o to nie posadzałem. Przecież to ja jestem taki ciekawy... — spojrzał wyzywająco na Annę. — Wiecie co — dodał bez zastanowienia — pójdę tam.

— Nonsens! — oburzył się Jacek.

— Ostrzegano nas — powiedziała cicho Lidka, patrząc na Marka szeroko otwartymi orzechowymi oczyma.

— Nie przejmujcie się — rzuciła zdawkowo Anna. — I tak nie pójdzie. To tylko szczeniackie gadanie...

W chłopca wstąpił skrzydlaty demon.

— Szczeniackie gadanie? — powtórzył z furją. — Pięknie. Więc żebyście wiedzieli, pójdę...

— To idź, proszę! — odpaliła bez namysłu Anna. — Chciałabym zobaczyć, jak będziesz zmiatał...

— Aniu — odezwał się z nutką delikatnego wyrzutu Jacek — nie powinnaś tak mówić...

— Dlaczego? — zaperzyła się dziewczyna. — Niech idzie, jak taki dzielny. Przyznaj, że i ciebie korci ten zakazany teren. No to teraz znaleźliśmy kogoś, kto pójdzie i opowie nam, jak tam jest. Jeżeli oczywiście po godzinie nie uraczy nas jakąś bujdą... bo fantazji mu nie brak!

Demon, który wstąpił w Marka, rozpostarł skrzydła.

— Cześć, idę! Zgoda, jestem ciekawy. Potem pogadamy, co warta ciekawość, a co „zdyscyplinowanie” — wyszczał. — A co do bajek, proszę bardzo, kajaki są dwuosobowe. Kto jedzie ze mną?

— Ja! — wyrwała się Lidka.

— Jeszcze czego! — parsknął Jacek. Marek zmarkotniał.

— Nie — odpowiedział. — Zostaw to starszym i mądrzejszym. Powiedzieliby potem, że oboje zmyślamy. No?

Odpowiedziało milczenie. Chłopiec czekał jeszcze kilka sekund, po czym zaśmiał się tryumfalnie, podbiegł do najbliższego kajaku, wskoczył do niego i jednym uderzeniem wiosła odbił od pomostu.

— Marku! — przestraszył się pierwszy Jacek — wróć! To nie ma sensu! Z powodu



kilku słówek...

— Wracaj! — krzyknęła Anna, która teraz dopiero ochłonęła i zrozumiała, że posunęła się za daleko. — Wracaj zaraz! To niebezpieczne!

— Wróć, Marku! — zawołała Lidka. Gdyby dodała „proszę cię”, wówczas... ale co tu rozmyślać, co by było, gdyby. Faktem jest, że to „proszę cię”, jeśli nawet padło, zabrzmiało zbyt cicho. W tym momencie chłopiec wiosłował już jak na zawodach. Dopiero dobre sto metrów od brzegu uniósł wiosło nad głowę, odwrócił się i spojrzał wyzywająco w stronę skupionej na pomoście gromadki.

— Przywiozę wam stamtąd coś takiego, żebyście mi uwierzyli i bez świadków — krzyknął. — Jeśli poza mną nie ma tu nikogo naprawdę ciekawego! Przez litość nie dodam: odważnego!

Wyrzuciwszy to z siebie, na powrót przystąpił ostro do wiosłowania. Po upływie dwóch minut kajak stał się ciemnym punkcikiem na błękitnej wodzie, by zaraz potem zniknąć za cypelkiem.

Cała trójka stała jeszcze w zupełnej ciszy, ze wzrokiem utkwionym w kępie zieleni, za którą zniknął kajak Marka, kiedy na ścieżce prowadzącej ku małej przystani ukazała się nowa para. Była to kobieta z długimi, czarnymi jak sadza włosami i wysoki szatyn. Kobieta miała smagłą cerę, ciemne, wesołe oczy i olśniewająco białe zęby. Poza tym była wręcz zdumiewająco podobna do Anny. Natomiast u mężczyzny uderzała przede wszystkim jego bujna, nieopisanie zwichrzona czupryna. Oboje mieli na sobie stroje kąpielowe.

Ujrzawszy nieruchomą grupkę na pomoście, zatrzymali się. Następnie kobieta, którą, jak łatwo się domyśleć, była Zula Sponka, matka Anny i Marka, szepnęła cichutko: „psst” i dotknęła porozumiewawczo ramienia swojego towarzysza. Tym ostatnim był Adam Kapica, młody asystent sławnego Aleksandra Kapicy, zwanego Aleksandrem Wielkim Drugim Nauki, i swojego stryjecznego dziadka w jednej osobie. Prace Adama zdobyły już uznanie matadorów instytutów cybernetycznych, ale kiedy się uśmiechał, wyglądał niemal jak rówieśnik Jacka i Anny.

Właśnie w tej chwili uśmiechem dał znać Zuli, że zrozumiał, o co chodzi. Zaraz potem udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że nie przesiąkł jeszcze profesorską powagą. Naśladując ruchy filmowego Indianina podkradł się na palcach tak blisko milczącej trójki, że mógł bez trudu dotknąć ręką stojącego nieco z tyłu Jacka i wtedy dopiero wrzasnął ile sił w płucach:

— Trzy, dwa, jeden, start!!!

Zarówno Zula jak i Adam liczyli na efekt swojej, przynajmniej, mało dostojnej psoty, ale nie przypuszczali, że ten efekt okaże się aż tak piorunujący. Jacek zrobił dwa rozpaczliwe susy do przodu, w wyniku czego jego wysychające już nogawki znalazły się z powrotem w wodzie. Lidka wykonała błyskawicznie w tył zwrot, wyrzucając równocześnie w górę ramiona i zastygła w takiej pozycji, jakby miała zamiar pozować do posągu lekkoatletki. Dodajmy, lekkoatletki ogromnie czymś poruszonej, o czym świadczyły szeroko otwarte usta i wytrzeszczone w wyrazie bezgranicznego przerażenia oczy.

Mama Marka szybko podeszła bliżej. W lot pojęła, że popłoch, jakiego byli sprawcami, musi oznaczać coś więcej aniżeli zwykły przestrah spowodowany niespodziewanym okrzykiem. Kiedy Adam otworzył usta, żeby bąknąć „przepraszam” czy coś równie niewczesnego, Zula rozejrzawszy się uważnie, pierwszym strzałem trafiła w dziesiątkę.

— A gdzie jest Marek? — spytała. — Pokłóciliście się?

Pierwszy ochłonął Jacek, który jednak tym razem, czy to ze względu na ogólną sytuację, czy też przez szacunek dla naukowców jako takich, powstrzymał się od

wyrażenia swojej opinii o dojrzałości umysłowej młodych, kto wie, czy nie zbyt młodych, asystentów.

— My... — zaczął i urwał. Rozejrzał się z rozpaczą po pozostałych. Wreszcie widząc, że nikt nie śpieszy mu z pomocą, bezradnie rozłożył ręce.

— No więc rzeczywiście... — posunęła się krok dalej Anna. Przelknęła głośno ślinę, po czym oświadczyła z samozaparciem: — Chyba się wygłupiłam...

— To może się zdarzyć każdemu — uspokoiła ją z głębokim przekonaniem mama. — Przed chwilą mieliście dowód... na naszym przykładzie — dodała niezbyt pedagogicznie. — No więc gdzie on jest?

— Marek wziął kajak i popłynął do Instytutu — wypaliła w końcu Lidka. — Powiedział, że coś stamtąd przywiezie i że płynie z ciekawości. Ale tak naprawdę, to sprowokowaliśmy go do tego... wszyscy — zakończyła wielkodusznie.

Mama spoważniała. Obejrzała się na Adama, który sprawiał wrażenie, jakby połknął grudkę soli.

— Do Instytutu? — wykrztusił. — Na drugie jezioro?

— Tak — przyznał ponuro Jacek.

— Na teren opuszczonego poligonu? Nad Jeziorem Tajemnic? — upewniała się Zula.

— Tak.

Jeziorem Tajemnic nazwali mieszkańcy wakacyjnego biwaku dużą, ślepą zatokę, do której droga prowadziła przez wąski przesmyk pod starym drewnianym mostkiem. Nazwa oczywiście wiązała się z zakazaniem rejonem przylegającym do jeziora.

— I popłynął sam? — w oczach Adama ukazał się lęk.

— Uhm... powinniście byli do tego dopuścić — powiedziała w zamyśleniu Zula.

— Wiecie, że tam nie jest bezpiecznie...

— Dlatego teren jest zamknięty — dodał z jeszcze głębszą zadumą Adam. — Dawno odpłynął?

— Jeśli się nie zmęczył, jest już za przesmykiem — odpowiedział przytłumionym głosem Jacek. — Głupio wyszło — dodał jakby do siebie.

— Głupio — przyznał szorstkim tonem Adam. Zmarszczył brwi i utkwiał wzrok w feralnym cyplu, za którym zniknął kajak Marka. Stał tak chwilę, po czym jego spojrzenie prześlizgnęło się po przystani i zatrzymało na przycumowanej do pomostu motolotce.

— Od półtora roku nie było tam nikogo — mruknęła pod” nosem Zula. — Profesor Kapica mówił, że teren będzie zamknięty przez najbliższe pięć lat. Dopiero potem zlikwiduje się urządzenie, a gospodarkę obejmie nadleśnictwo. To znaczy jeszcze przez cztery lata każdemu, kto się tam wyprawi, może grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

— Głupio wyszło — powtórzył zdławionym głosem Jacek. Lidka spojrzała na niego z wyrzutem i zagryzła wargi. Anna wpatrywała się usilnie w koniuszki własnych płazowych pantofli

## 2. Człowieku, czym mogę służyć?

Przesmyk pod drewnianym mostkiem był płytki. Marek wszedł do wody i kilka metrów ciągnął kajak po piaszczystym dnie. Następnie wskoczył do środka, odbił się wiosłem i po chwili wypłynął na Jezioro Tajemnic. Na przeciwległym brzegu wśród drzew i krzewów widniały zarysy wielu budowli. Ciężkie sześcienne bryły, szare i posępne, przypominały staroświeckie bunkry pozostałe po dawnych, dawnych wojnach. Dalej majaczyły wśród zieleni kontury jakiegoś niskiego pawilonu, a w głębi wznosiła się okrągła wieża podobna do ogromnego lejka, ustawionego szerokim otwartym ujściem ku górze.

Wiosło Marka zaczęło poruszać się nieco wolniej. Cały teren opuszczonego Instytutu był ogrodzony wysokim płotem. Wzdłuż niego biegła wycięta w puszczy przecinka, na której co kilka metrów stały tabliczki z napisami: „Poligon doświadczalny Instytutu Planet Granicznych. Wejście grozi śmiercią”. Od strony jeziora nie było ogrodzenia, ale tablice ostrzegawcze znajdowały się i tutaj. Przymocowano je do długich tyczek wbitych w piaszczyste dno. Ich jaskrawoczerwone tarcze wyglądały z daleka jak dziwne wodne kwiaty.

Chłopiec odruchowo obejrzał się za siebie. Za przesmykiem, zasłonięte teraz nasypem starej drogi i mostkiem, rozpościerało się pocziwe, swojskie jezioro, nad którym biwakowali już tyle dni. Całe pierwsze trzy tygodnie wakacji. Zaraz pierwszego dnia Adam, który kiedyś pod okiem profesora Kapicy odbywał tutaj swój pierwszy staż, a potem, po specjalistycznych studiach uzupełniających podjął normalną pracę, powiedział im, żeby nigdy, pod żadnym pozorem, nie przekraczali granic zamkniętego obszaru.

— Dlaczego? — spytała wtedy Lidka z wyrazem buntu w oczach. — Przecież tam już od roku nikogo nie ma!

— Ale pozostały bardzo skomplikowane urządzenia wydzielające szczątkowe promieniowanie. Aparatura pewnego typu długo przechowuje zasoby energii, choćby jej dopływ był już odcięty — tłumaczył cierpliwie Adam. — „Instytut przeprowadzał zupełnie nowe doświadczenia przy użyciu bardzo specjalistycznych automatów. Nikt nie potrafi przewidzieć, jak zachowałyby się teraz, gdyby w ich „mózgach” pozostały resztki energii. Tam są takie... no, takie szczególne pola. Nie chcę was straszyć, ale możecie mi wierzyć, że śmiałkowi, który chciałby teraz pospacerować po poligonie, grożą paskudne niespodzianki... a nawet śmierć.

— Nie! — krzyknęła przejęta do głębi Lidka.

Zula i Jacek spojrzeli porozumiewawczo po sobie.

— Trzy... cztery... — zaczął jajogłowy.

— „Lidka–Nie”! — wykrzyknęli chórem mama Marka, Adam i Jacek, wypełniając tym samym, pod nieobecność ojca Lidki i Jacka, rodzinny ceremoniał państwa Saperdów.

— Nie! — zawołała wiedziona pierwszym odruchem piękność o orzechowych oczach. Zaraz jednak nawet i ona musiała się roześmiać.

— Żarty żartami — rzekł poważniejąc młody Kapica — ale tam naprawdę nie wolno chodzić. Wybraliśmy z Zulą to miejsce na wasz wakacyjny biwak, bo bywaliśmy tutaj... spójrzcie jak pięknie — zrobił szeroki gest ręką, wskazując błękitne jezioro, w którym odbijały się ciemnozielone korony drzew, puszcze, trzciny, polankę ze świeżo ustawionymi trzema namiotami. — Poza tym to miejsce zna także profesor Bogdan Sponka, wasz ojciec — spojrzął na Annę i Marka — więc łatwo mu będzie trafić, kiedy przyleci, żeby nas zabrać na Transplutona. Mimo to

poszukalibyśmy innego jeziora, gdybyśmy nie wiedzieli, że możemy wam zaufać. Prawda?...

Mama Marka z powagą skinęła głową.

— Pamiętajcie — powiedziała — że rok temu tylko dlatego przeniesiono poligon na najbardziej odległą planetę Układu Słonecznego, że doświadczenia posunęły się już za daleko... były zbyt niebezpieczne, by nadal przeprowadzać je na naszej starej, zacnej Ziemi.

Trzy tygodnie. Pełne dwadzieścia jeden dni potrafili opierać się pokusie, jaką stanowił tajemniczy obszar. A teraz, na dwa lub trzy dni przed powrotem ojca, przed odlotem na Transplutona, a więc niemal w gwiazdy, do profesora Kapicy i ojca Lidki, on, Marek, płynie tam jednak. Płynie i, co gorsza, nie cofnie się.

Pewnie, że Anna i Jacek mieli w tej wpadce swój skromny udział, ale piętnastoletni mężczyzna nie powinien powodować się przekorą ani fałszywą ambicją. A może jednak zawrócić?...

Przestał na chwilę wiosłować. Pomyślał o Adamie, potem o Lidce i poruszył głową, najwyraźniej niezadowolony z samego siebie. Nagle znowu zadźwięczały mu w uszach słowa Anny: „uciekał tak szybko, że jeszcze następnego dnia...”.

Zacisnął zęby. Niech się dzieje co chce. Będzie ostrożny, żeby nie zepsuć sobie i pozostałym tej wycieczki do dalekiej bazy kosmicznej. Wycieczki, która miała być chytrze obmyśloną przez Zulę i Bogdana niespodzianką dla pracującego u boku wielkiego Kapicy ojca Lidki i Jacka. Profesor Karol Saperda nie mógł ani na jeden dzień opuścić stacji Instytutu Planet Granicznych na Transplutonie. Zespół Aleksandra Wielkiego Drugiego Nauki przygotowywał właśnie jakiś niesłychanie doniosły i tajemniczy eksperyment. Czekali tylko na profesora Sponkę, ojca Anny i Marka, oraz na wyniki jego uzupełniających badań na asteroidach, w Instytucie Małych Planet. Bogdan Sponka był dyrektorem tej ostatniej placówki, którą zwykły żartobliwie nazywać Małym Instytutem. Od pewnego czasu i on przyłączył się do zespołu profesora Kapicy i współpracował z nim nad wynalazkiem, który miał jakoby otworzyć ludzkości cały wszechświat. Decydujący eksperyment zaplanowano zaraz po powrocie Bogdana, ten sądził jednak, że krótka wizyta dzieci jego przyjaciela Karola Saperdy nie zakłóci prac przygotowawczych na Transplutonie, a bardzo chciał sprawić samotnemu uczonemu radosną niespodzianką. Po dwóch dniach Lidka i Jacek w towarzystwie Zuli, Anny i Marka, którzy rzecz jasna także mieli uczestniczyć w wycieczce, wrócą na Ziemię jednym ze statków badawczych. Będą to akurat te dwa dni, potrzebne do ostatecznego przygotowania eksperymentu. Tak więc zaplanowana w sekrecie wyprawa i niespodzianka dla profesora Saperdy w niczym nie przeszkodzą uczonemu. Przeciwnie, powinny stanowić pożądane urozmaicenie w ich życiu, tak daleko od Ziemi, wypełnionym pasjonującą, ale żmudną pracą. Oczywiście pod warunkiem, że wycieczka w ogóle dojdzie do skutku. Że żadne z dzieci na przykład na pięć godzin przed odlotem nie złamie nogi lub nie nabawi się anginy. Lub też... nie wybierze się do zakazanego, opuszczonego poligonu i tam...

Nie, o tym lepiej nie myśleć.

— Wyglupiam się — mruknął na głos i usłyszał odpowiedź. Obejrzał się szybko, omal nie fiknąwszy kozła razem z kajakiem. Ale to tylko on sam w myślach powiedział do siebie: „owszem”.

Niestety, to odkrycie nie wpłynęło na zmianę jego planów. Musi wejść do Instytutu i znaleźć coś, co przekonałoby Annę i Jacka, a także Lidkę... no, powiedzmy, przede wszystkim Lidkę, że był tam naprawdę. Nawet jeśli jasno zdaje sobie sprawę, że popełnia w ten sposób paskudną zdradę wobec Zuli i Adama.

— Wyglupiam się — powtórzył chłopiec z głębokim przekonaniem. Tym razem

nikt nie odpowiedział Bo i co można odpowiedzieć komuś, kto wie, że się wygłupia, ba, nawet oznajmia to głośno światu, a jednak robi dalej swoje?

Trudno. Marek zmobilizował wszystkie siły, żeby odpędzić ponure myśli, i ostro wziął się do wiosła. Przepływając tuż obok jednej z czerwonych tabliczek znowu odruchowo zwolnił. Brzeg był już bardzo blisko. Niby makiety przedpotopowych gadów wyciągały szyje nieruchome kratownice dźwigów i urządzeń przeładunkowych na betonowym nabrzeżu. Kiedyś na tym jeziorze lądowały powietrzne i kosmiczne statki przywożące uczonych i materiały z całej Ziemi, a także z setek stacji satelitarnych i najdalszych planet. Prowadziły je sygnały, emitowane z wielkich, talerzowatych anten. Stąd, z brzegu, główne zabudowania Instytutu były niewidoczne. Przesłoniła je bujna zieleń drzew i wysokich krzewów.

Marek podpłynął do pochylni schodzącej łagodnie ku wodzie. Bezwiednie obejrzał się w prawo i w lewo. Niebo jakby ściemniało, od łądu powiało chłodem. Chłopiec wzdrygnął się. Pospiesznie wyciągnął kajak na pochylnię i jednym skokiem znalazł się na nabrzeżu.

W stronę zabudowań wiodło kilka rozchodzących się nieco dalej dróg. Tu i ówdzie ich nawierzchnie porastały już kępy paproci i trawy.

Chłopiec wszedł na ścieżkę i nie przestając się rozglądać ruszył w stronę najbliższego budynku. W idealnej ciszy jego kroki odbijały się głośnym echem. Krzewy, niegdyś pewnie pielęgnowane i strzyżone, rozrosły się tworząc nieprzebyte kłębowiska o fantastycznych kształtach. Drzewa stały cicho i nieruchomo, ich wielkie liście wyglądały jak sporządzone z grubego plastyku. Nawet od strony jeziora nie dobiegał najśłabszy powiew wiatru.

Ścieżka urywała się nagle. Zamykały ją dwa niewysokie stopnie, za którymi zaczynał się ruchomy chodnik o gładkiej, jakby wypolerowanej nawierzchni. Zabębnił głucho „pod bosymi stopami Marka, ale nie ruszył z miejsca. No tak. Opuszczony Instytut był przecież pozbawiony dopływu energii.

W każdym razie szło się po tym chodniku wygodniej niż po ścieżce. Jakieś dwadzieścia metrów dalej krzewy po obu stronach drogi rozstały się, odsłaniając widok na rozległy niski budynek o szarych ścianach. Z czterech wielkich drzwi, zamkniętych metalowymi bramami, wybiegały chodniki, transportery, jakieś grube rury i pęki kolorowych kabli. Wokół ukryte wśród krzewów stały anteny, specjalne stacje radarowe i centrale szybkiej łączności.

Chodnik, którym szedł Marek, dobiegał do jednej z tych czterech bram. Chłopcu przemknęło przez myśl, że właściwie wykonał to, co sobie postanowił, i mógłby już z podniesionym czołem wrócić do obozowiska. Wciąż jednak brakowało mu jakiegoś przedmiotu, dostatecznie charakterystycznego i wymownego, który przekonałby tamtych, że naprawdę był na terenie Instytutu. A przecież nie zabierze z sobą centrali łączności ani kratownicy podtrzymującej stację radarową.

Po chwili wahania ruszył więc w stronę zamkniętej bramy. Z pewnymi oporami dotknął koniuszkami palców skomplikowanego automatycznego rygla. Gdyby urządzenia były pod prądem, brama zapewne od razu stanęłaby przed nim otworem. Teraz jednak jej ciężkie stalowe skrzydła nawet nie drgnęły.

Cofnął się i zaczął iść wzdłuż ściany do narożnika. Zagroziły mu drogę krzewy, przez które przedarł się z największym trudem. Za krzewami był chodnik prowadzący do następnego narożnika. Doszedł do niego, stanął i rozejrzał się.

Wokół panowała martwa cisza. Zarośnięte ścieżki i zmatowiałe konstrukcje potwierdzały swoim wyglądem, że na tym ogrodzonym obszarze od przeszło roku nie stanęła stopa człowieka.

Niska budowla także i z tej strony posiadała bramy, z których wybiegały chodniki. W przeciwieństwie do innych, jeden z nich wyglądał jak świeżo wygrabiony.

Prowadził w stronę niewielkiego placyku, z którego dalej wiodła bardzo szeroka droga aż do owej wieży w kształcie odwróconego lejka. Teraz ta wieża jakby urosła, ponadto okazało się, że u dołu otacza jej podstawę kilkupiętrowa hala. Na wprost drogi, w ścianie hali widniały wielkie, otwarte na oścież drzwi.

Chłopiec dotarł do placyku i wstąpił na drogę prowadzącą ku otwartej bramie. W tym samym momencie zachwiał się, przez chwilę balansował, usiłując odzyskać równowagę, w dość osobliwej pozycji, bo z zadartymi w górę i rękami, i nogami.

— No!... — groźną ciszę rozdarł okrzyk, w którym oprócz przestachu dało się zauważyć także nutkę pretensji do kogoś lub czegoś. Na dobrą sprawę pretensja ta była w pewnej mierze uzasadniona. Jeśli bowiem urządzenia dawnego Instytutu nie miały dopływu energii, to jakim prawem ta szeroka droga zamieniła się nagle w prawdziwy ruchomy chodnik, który ożył akurat w momencie, kiedy dotknęły go stopy chłopca?

Droga płynęła równo, spokojnie i bezszelestnie, niosąc Marka prosto ku drzwiom hali pod lejkowatą wieżą. Zachować zimną krew — powiedział sobie w duchu chłopiec. Przejechawszy kilka metrów w pozycji — co; tu ukrywać — niegodnej badacza starych instytutów, najpierw uklęknął, a potem ostrożnie wstał. W końcu — pomyślał — to tylko zwykły ruchomy chodnik, jakich pełno w każdym mieście. Fakt, że nie powinien był ruszyć, jeśli już jednak ruszył, to nawet lepiej. Wygodniej jechać, aniżeli iść.

Zaraz za bramą, już wewnątrz wielkiej budowli, drogi rozchodziły się. Marek ani się spostrzegł, jak wraz z odnogą ruchomego chodnika wpłynął do wąskiego korytarza, przypominającego tunel. Było tu ciemno i chłodno. Grube ściany przesuwwały się w milczeniu, chodnik biegł wciąż głębiej i głębiej, jakby naprawdę, pogrążał się we wnętrzu ponurego, staroświeckiego bunkra.

Na szczęście ta nieprzyjemna jazda nie trwała długo. Za którymś tam zakrętem pojaśniało i otworzył się widok na obszerną halę, pełną jakichś urządzeń, ruchomy chodnik wypłynął na rodzaj owalnego tarasu czy platformy, która górowała nad podłogą o dobre dwa metry. Tutaj chodnik wraz z chłopcem zaczął zataczać łuk, a następnie nie wiedzieć kiedy zmienił się w tarczę, wirującą wokół własnej osi. Marek zrobił jedno kółeczko, drugie... i dopiero wtedy spostrzegł, że nie jest sam. Pod ścianą, obok drzwi, przez które przed chwilą przejechał, stały trzy przerażające postacie. Przypominały trochę zakutych w zbroje rycerzy, ale nie były rycerzami. Ciężkie sześciennie głowy miały przyozdobione wiązkami anten, niby pióropuszcami. Marek, który dotychczas całą uwagę skupiał na rozpościerającej się w dole hali, teraz znalazł nowy obiekt zainteresowania. Łatwo to powiedzieć „obiektem zainteresowania”, ale trudno naprawdę zainteresować się jakimkolwiek obiektem, kiedy człowiek kręci się w kółko, stojąc na jakiejś idiotycznej, wirującej tacy. Nawet w tej sytuacji Marek mógł się jednak wystarczająco dobrze przyjrzeć nieruchomym stworom, by otrząsnąć się nagle z głośnym „bar...”, jak ktoś, kogo chwytają dreszcze. A w następnej chwili, z rosnącym przerażeniem spostrzegł, że jeden z potworów, stojący najbliżej wylotu chodnika, poruszył się. Chciał krzyknąć, ale głos uwiązał mu w gardle. Ten stwór z całą pewnością mógł być poszukiwanym przez chłopca „dostatecznie charakterystycznym przedmiotem”. Ale zabrać go z sobą? Bagatela! Ciemna sylwetka, zakończona pierzastą głową, zaczęła się zbliżać. Sunęła wolno, nie przejmując się ani trochę tym, że chodnik pod jej ciężkimi, słoniowatymi nogami z uporem tańczy walca. W głowie groźnej postaci rozjarzyły się jakieś światełka.

— Co?... — zdołał bardzo cienko wykrztusić Marek i umilkł. Potwór był już bardzo blisko, a ucieczkę w dalszym ciągu uniemożliwiała wirująca podłoga.

— Co?... — udało się jeszcze raz wybełkotać chłopcu i wtedy przerażające monstrum stanęło.

— Człowieku — zabrzmiał skrzypiący, metaliczny głos, który odbił, się głośnie, echem od ścian hali. — Człowieku — zazgrzytał ponownie potwór — czym mogę służyć?...

— Motolotka nie przejdzie pod mostem — powiedział stroskanym głosem Adam.

— Może kajakami? — Lidka odwróciła głowę, niby po to żeby spojrzeć na smukłe łódeczki, przycumowane do pomostu, a w rzeczywistości nie chcąc, aby obecni zauważyli, że jej oczy zasnuły się szklistą mgiełką.

— To na nic — oświadczyła Zula. — Marek jest nieznośny, ale wiosłuje, jakby na przyszły rok miał poprawić rekord świata. Zanim tam przyplniemy... — nie dokończyła. Właśnie, co się może stać, zanim ktoś dogoni i powstrzyma Marka?

— Choć nie czuję się w stu procentach winny zaczął z namaszczeniem Jacek — to jednak muszę stwierdzić, że bardzo mi przykro...

— Przynajmniej teraz — w głosie Lidki tłumionej łkanie walczyło o lepsze z oburzeniem — mógłbyś dać spokój tej swojej teatralnej pozie...

— Dosyć, dzieci. — ucięła Zula. — O tym, co się stało, możemy pogadać później. Ale sądzę, że jeśli się wszyscy trochę zastanowicie, to rozmowy nie będą potrzebne. Teraz jednak trzeba działać...

— Nie ma rady — westchnął Adam prostując się. — Wezmę pantoplan. Przetnę jezioro i za minutę będę na miejscu.

Nastała cisza. Przybyli tu z miasta ciężkim pojazdem, przystosowanym równie dobrze do podróży naziemnych, morskich, jak i kosmicznych, oczywiście na krótkich trasach. Specjalnie zostawili go jednak na odległej polance, żeby żaden cudowny wytwór cywilizacji nie mącił im swoim widokiem naturalnego krajobrazu i biwakowych warunków, w jakich postanowili spędzić pierwsze tygodnie wakacji. Ba, wyłączyli nawet radio, chcąc odpocząć od wiadomości ze świata.

— Pójdę z tobą — zaproponowała Zula.

— Nie — sprzeciwił się stanowczo Adam. — Ja znam Instytut i wiem, jak uniknąć ewentualnych niebezpieczeństw. Gdybyś mi towarzyszyła, musiałbym jeszcze uważać na ciebie. Poza tym — uśmiechnął się blade — lepiej nie zostawiać naszych pociech bez opieki. Pokazali dzisiaj, do czego są zdolni...

— No wiesz! — oburzyła się Anna, ale ten ton oburzenia w jej głosie wypadł jakoś dziwnie słabo.

— To odprowadzimy cię przynajmniej — powiedziała Lidka. Oczy dziewczyny nadal podejrzenie lśniły w słońcu, z czym zresztą było jej szalenie do twarzy.

— Dobrze — zgodził się tym razem Kapica, stryjeczny wnuk i asystent Kapicy.

Szli przez las w zupełnym milczeniu. Polanka z trzema kolorowymi namiotami, ławeczkami zbitymi z suchych brzoźowych gałązek i paleniskiem, obłożonym płaskimi kamieniami została już daleko za nimi. Rozgrzane sosny pachniały żywicą, poszycie roiło się od różnobarwnych kwiatów, dwa czy trzy razy tuż obok nich przeszły nie spiesząc się sarny, ale teraz nikt nie zwracał uwagi na powaby prastarej, żywej puszczy.

Wreszcie drzewa stały się rzadsze i ujrzeli piaszczystą porębę, na której powinien czekać ich wierny pantoplan. Powinien, ale nie czekał.

Adam stanął jak wryty.

— Co się mogło stać? — spytała słabym głosem Zula.

— To na pewno tu.? — bąknęła Anna, chociaż pomyłka była wykluczona.

— Czy ktoś zabrał pantoplan? — powiedziała z niedowierzaniem Lidka. —

Przecież to niemożliwe...

— Typowa reakcja — mruknął kwaśno Jacek. — Niemożliwe, ale prawdziwe. Kiedy będę dyrektorem Instytutu, zażadam skreślenia tego wyrazu ze słownika.

Gdyby ludzie częściej używali słówka „niemożliwe”, nigdy byśmy...

— Przestań się wreszcie mądrzyć!

— Teraz nie pora na żarty — Lidkę poparła Anna. Jacek umilkł natychmiast. Odruchowo powiódł palcami wzdłuż kantów swoich zielonkawych spodni, które wreszcie zdążyły wyschnąć, po czym założył ręce na plecy i zrobił minę, jakby chciał powiedzieć: jeśli ktoś w ogóle może udzielić odpowiedzi na pytanie, co tutaj zaszło, to ja znam tego kogoś...

I ta mina jednak nie pomogła. Po pierwsze nikt Jacka o nic nie zapytał, a po drugie pantoplanu nie było. Pozostało po nim jedynie charakterystyczne wgniecenie gruntu. Ktoś nieorientowany mógłby pomyśleć, że w tym miejscu wylegiwało się niesłychanie ciężkie zwierzę kształtu wieloryba.

— Nie wystartował — mruknął Adam, wpatrując się uważnie w ziemię. — Nigdzie nie ma spalenizny po ogniu dyszy napędowych. Ktoś użył naszego superpojazdu jak staroświeckiego samochodu; Popatrzcie — wyprostował się i wskazał odcisnięte ślady, które przypominały koleinę wyłobioną przez holowany pień drzewa. Ślady te prowadziły ku biegnącej skrajem lasu polnej drodze, gdzie zniknęły.

Dłuższą chwilę panowała cisza.

— Ach, ten Marek... — westchnął przez nos Jacek.

— Marek?! — oburzyła się Lidka. — Marek by tego nigdy nie zrobił!

— Dlaczego tak myślisz? — spytała z łagodnym wyrzutem Zula.

— Wcale nie myślę — wycofał się pośpiesznie jajogłowy, zapominając przez moment, że przyszły dyrektor Instytutu musi myśleć zawsze. — Tak sobie powiedziałem — wyznał z nie spotykaną u niego szczerością. — Przepraszam....

Znowu zaległo milczenie.

— To byłby pierwszy wypadek kradzieży, z jakim zetknąłem się w życiu — oświadczył wreszcie Adam. — Ale żeby akurat pantoplan i akurat w takiej chwili... kto, do miliona meteorytów, mógł to zrobić?!

Wydawszy ten okrzyk, potoczył dokoła bezradnym wzrokiem. Ale odpowiedzi nie było. Porwać pantoplan mógł tylko obłąkany. A wariaci raczej nie grasują po dziewiczych puszczech, tylko odbywają kurację w szpitalach.

Na polanie zapanowała cisza. Gromadka oszołomionych mieszkańców lasu otoczyła wianuszkami miejsce, z którego zniknął pojazd, jakby czekali, aż ten wynurzy się nagle spod ziemi i powie ludzkim głosem: a kuku!

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Tymczasem czas płynął. Od momentu, w którym kajak Marka zniknął za zielonym cyplem, minęło już dobre pół godziny...

— Człowieku — zaskrzeczał raz jeszcze grobowy głos — czym mogę służyć?

„Człowiek” robił co mógł, żeby zachować równowagę na wirującej tarczy, a równocześnie obracać się „pod prąd” tak, aby mówiącego potwora mieć stale przed sobą. Nic dziwnego, że w tej sytuacji było mu trudno tak od razu wyrazić jakieś sensowne życzenie. Toteż zamiast odpowiedzieć, odchrząknął piskliwie. Przez głowę przebiegło mu w szalonym pośpiechu tysiące myśli. Żadna z nich jednak nie zasługuje na to, żeby ją tutaj przytaczać. I żadna nie pomogła Markowi w odzyskaniu głosu.

Żelazny stwór zatrzymał się jakieś trzy kroki przed chłopcem. W jego głowie nadal żarzyły się dwa jasnoczerwone światełka. Pióropusz nad nią zakołysał się niecierpliwie.

I nagle na Marka spłynęło olśnienie. Wyprostował się dumnie, jak przystało człowiekowi, któremu coś pragnie usłużyć. Przy okazji zapomniał jednak, że człowiek nie jest automatem, potrafiącym chodzić i stać kilka centymetrów nad kołującą podłogą. Toteż dumna postawa chłopca zamieniła się błyskawicznie w



pozycję zwaną przez znawców zapasów parterową. I chociaż wiedział już, z kim ma do czynienia, jego głos, kiedy wreszcie wydobył go z siebie, trudno byłoby określić jako godny.

— Przede wszystkim — zapiszczał — zatrzymaj tę podłogę...

— Zrozumiałem — zahuczało w hali. W tej samej chwili Marek poczuł, że stoi na pewnym, nieruchomym gruncie. Podniósł się, nabrał powietrza w płuca i zapytał niż bardziej normalnym tonem:

— Dlaczego chodniki są w ruchu? Kto jest w Instytucie?

— Odpowiadam na pierwsze pytanie — zazgrzytał automat. — Chodniki ruszają, kiedy wejdzie na nie człowiek. Na drugie pytanie nie mogę odpowiedzieć. Przepraszam.

Cała człowiecza duma chłopca ulotniła się bez śladu. Nie dość, że wyciął brzydki numer Adamowi i Zuli, to jeszcze tutaj wdepnął tak, że lepiej nie można. Zaraz pojawi się ktoś, kto w tajemnicy nadal przeprowadza eksperymenty w rzekomo opuszczonym Instytucie i przyłapie na gorącym uczynku nieproszonego gościa, który zlekceważył wszystkie ogrodzenia i tablice ostrzegawcze. Gościa w slipach, bosego i, co tu ukrywać, z lekka zbaraniałego.

Niebawem jednak niezbyt miła wizja takiego spotkania ustąpiła miejsca gorszej. Gdyby ktoś pracował w Instytucie, to Adam musiałby o tym wiedzieć. Tak samo profesor Saperda i ojciec, najbliżsi współpracownicy profesora Kapicy, twórcy całego badawczego kompleksu nad Jeziorem Tajemnic. Tymczasem wszyscy oni przyjmując do wiadomości, że dzieci wraz z Zulą i Adamem spędzą w tej okolicy pierwszą część wakacji, mówili zupełnie wyraźnie, że Instytut jest opuszczony. Wtedy właśnie ojciec Marka wyjaśnił, że dawna puszczańska sadyba Instytutu Planet Granicznych zostanie zlikwidowana, jak tylko upłynie dość czasu, by zniknęły zagrożenia związane z tą jakąś szczątkową energią czy szczątkowymi polami, jak się wyraził. Ładna mi szczątkowa energia! Chodniki jeżdżą, wzdłuż sufitu głównej hali płoną równe szeregi lamp, a roboty witają gości pokornym „czym mogę służyć”?... Tylko że ich gotowość do zaspokajania pragnień ludzi kończy się w pewnym punkcie. Na przykład są pytania, na które odmawiają odpowiedzi. Tak nie postępują żadne automaty na Ziemi ani w kosmosie.

Krótko mówiąc, coś tu jest grubo nie w porządku.

— Napiłbym się coli — powiedział dyplomatycznie Marek, żeby zyskać na czasie i raz jeszcze sprawdzić, do jakiego stopnia pozostał dla tych dziwnych robotów posiadających swoje tajemnice istotą, której rozkazy muszą być spełniane natychmiast.

— To chwilę potrwa — zazgrzytał stwór. — Magazyny żywności są zamknięte. Ponadto cola będzie miała półtora roku...

— Czy jest w lodówce? — zainteresował się chłopiec. Dyplomacja swoją drogą, a swoją drogą pragnienie. Jak tylko wymówił słowo „cola”, poczuł, że naprawdę bardzo chce mu się pić. A także, że pomimo panującego we wnętrzu budowli chłodu ściekają mu z czoła strużki potu.

Automat zamiast odpowiedzieć, poruszył antenkami. Sekundę później ożył jeden z dwóch pozostałych przy drzwiach stalowych potworów. Wszedł na chodnik, wbiegający do tunelu i zniknął Markowi z oczu.

— Tak. Z lodówki — przytaknął teraz dopiero pierwszy robot. Chłopiec pomyślał, że w świątku tutejszej martwej załogi ten właśnie aparat musi być czymś „lepszym”. Może na przykład pełni funkcję zarządzającego domem?

Podkuchenny wysłany po colę wrócił szybciej, niż można się było spodziewać. Chłopiec z pewnym ociąganiem wyjął z jego kleszczowatych uchwytów otwartą butelkę, pokrytą apetyczną rosą. Następnie cofnął się o krok i poczekał, aż automat

wróci na swoje miejsce pod ścianę. Dopiero wtedy przytknął butelkę do ust i pociągnął tęgi łyk.

Półtoraroczna cola nie straciła nic ze swojego smaku. Instytut musiał być zaopatrzony w znakomite lodówki; Nic dziwnego. Przechowywano w nich zapewne nie tylko napoje orzeźwiające.

Nie jest tak źle — podsumował w duchu Marek. Słuchają. Mają swoje sekrety, ale słuchają. Zobaczymy, co będzie dalej.

Odstawił opróżnioną butelkę na podłogę, przybrał poważny wyraz twarzy i powiedział:

— Teraz chciałbym zwiedzić halę — wskazał oczami rozpościerające się poniżej tarasu rozległe wnętrze.:

— Zwiedzić halę — powtórzył posłusznie automat. — Zrozumiałem. — Antenki na bryłowanej głowie robota zadrgały znowu i natychmiast część balustrady opasującej pomost opadła. Z dołu wynurzyły się stalowe schodki.

— Pójdiesz ze mną? — spytał raczej, niż rozkazał chłopiec.

— Przepraszam. Nie jestem wyposażony w generatory zmiennych pól grawitacyjnych. Nie mogę zejść na dół...

— To zostań tutaj — powiedział szybko Marek, niezbyt zmartwiony faktem, że uwolni się od bądź co bądź dość ponurego towarzystwa. Przez moment — ale tylko przez moment — zaświtało mu, że on sam także nie jest wyposażony w te jakieś generatory... czego to? A, mniejsza z tym. Człowiek nie jest w końcu automatem, żeby go wyposażać w coś takiego jak generatory. A tam, na dole, z całą pewnością znajdzie w końcu jakiś przedmiot, który będzie mógł zabrać do obozowiska na dowód, że dotarł tam, gdzie zapowiedział. Weźmie to coś i wróci, nie czekając na pojawienie się tajemniczej osoby czy osób gospodarujących w nieczynnym jakoby Instytucie. A może naukowcy zostawili tutaj żywego dozorcę, który po prostu tylko pilnuje, żeby ta jakaś „szczątkowa energia” rozładowała się spokojnie i bez śladu? Może obecność kogoś takiego wydawała się Adamowi i ojcu czymś tak naturalnym i nieważnym, że nie wspomnieli o niej, mówiąc o opuszczonym Instytucie. W takim razie byłoby czymś naturalnym, że samotny dozorca zostawił sobie do pomocy trzy automaty i utrzymywał w ruchu przynajmniej jeden chodnik.

Uspokojony tą myślą chłopiec odwrócił się i powoli zszedł po niezbyt stromych schodkach.

Hala była naprawdę wielka. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy jakichś pulpitych wyposażonych w większe i mniejsze ekrany oraz niesłychane ilości różnokolorowych guziczków. Bliżej środka ustawiono większe urządzenia o najdziwniejszych kształtach. Niektóre wypuszczały z siebie pęki barwnych przewodów, inne ukazywały za szklanymi pokrywami gąszcz przekaźników, tablic, kółeczek, drucików i przeróżnych miniaturowych mechanizmów.

Marek szedł śmiało, rozglądając się ciekawie, aż dotarł do centralnego punktu hali. Urządzenia rozstępowały się tutaj, pozostawiając duży krąg wolnej podłogi, wyścielonej jakąś elastyczną masą. Na obrzeżu tego kręgu leżały rozrzucone bezładnie żółte bryły, przypominające pomarańcze. Chłopiec pomyślał, że znalazł to, czego szukał, i podbiegł do najbliższej kuli, żeby ją podnieść. Jednak osobliwa pomarańcza nawet nie drgnęła. Marek zebrał wszystkie siły i — ponowił próbę. Pomógł sobie nawet cichym: „ej... rup!” — ale i to nie pomogło. Kulista bryła była albo niesamowicie ciężka albo przymocowana w jakiś sposób do podłogi. Dziwne.

Chłopiec westchnął. Po krótkim namyśle postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia i ruszył ku innej pomarańczy. Jednak zaledwie zrobił pierwszy krok, poczuł, że staje się lżejszy. Odwrócił się błyskawicznie, przekonamy, że to pozostawione na galerijce automaty płatają mu jakieś głupie figle, ale ich mroczne sylwetki

niezmiennie trwały na swoich miejscach, podczas gdy on był już nie tylko lżejszy, ale zupełnie lekki. Doznawał takiego uczucia, jakie bywa udziałem kosmonautów, lądujących na asteroidach, gdzie siła przyciągania jest tak niewielka, że wystarczy zrobić jeden bardziej energiczny krok, aby w samym skafandrze ulecieć w Kosmos. Rzecz tylko w tym, że Marek nie znajdował się akurat na asteroidach, tylko na starej, zacnej Ziemi. A mimo to czuł, że jego stopy powoli, ale nieodwołalnie odrywają się od podłogi.

— Hej!!! — krzyknął głośno. To „hej!” mogło oznaczać różne rzeczy. Zaskoczenie, oburzenie, apel do miejscowego komputera, który powinien przecież czuwać, skoro urządzenia Instytutu były w ruchu, wreszcie wezwanie automatów. W rzeczywistości wyrażało jeszcze coś innego, coś dobrze znanego każdemu, komu po obejrzeniu filmu grozy wydaje się, dajmy na to, że w kącie ciemnego pokoju stoi jakaś postać.

Cokolwiek by zresztą to „hej” oznaczało, pozostało i tak bez odpowiedzi. Bo przecież trudno uznać za odpowiedź jakiś niewyraźny, metaliczny odgłos, który dobiegł z tarasu, to znaczy platformki, gdzie ruchomy chodnik zmieniał się w karuzelę. Mimo to chłopiec uczeplił się tego dźwięku jak tonący brzytwy, choć o jakimkolwiek tonięciu nie mogło być mowy. Przeciwnie, końce palców jego stóp straciły już kontakt z podłogą, a on sam unosił się powolutku coraz wyżej... wyżej...

Powiedzenie, że Marek „uczeplił się” tego dźwięku, który wziął za odzew na swoje „hej”, należy traktować z pewną rezerwą. Istnieje bowiem prawdopodobieństwo, że dialogi jaki teraz nastąpił, odbył się bardziej w jego wyobraźni aniżeli naprawdę.

Marek: Hej!

Głos: Hżżż...

Marek: Na pomoc! Lecę w górę!

Głos: Nic nie mogę zrobić. Przecież mówiłem, że nie jestem wyposażony w generatory zmiennych pól grawitacyjnych. Dostałeś się, człowieku, w pole ujemne. Nie pójde tam, gdzie jesteś. Nie pozwala mi na to instynkt samozachowawczy, jaki wbudowano w moje obwody.

Marek (z pretensją i rozpaczą): Automaty powinny ostrzegać ludzi przed niebezpieczeństwem! Dlaczego nie powiedziałaś, że ja także nie jestem wyposażony w... wyposażony...

Głos (uprzejmie): ...w generatory? Człowiek, który przybywa do Instytutu Planet Granicznych nie potrzebuje takich informacji od automatów. Nie mamy w programie.

Marek: Ale ja... ja...

Dialog się urwał. Nawet w tej tragicznej sytuacji chłopcu nie mogło bowiem przejść przez gardło, że on, chociaż bądź co bądź człowiek, przybył do Instytutu nie tylko bez tych jakichś generatorów, ale na domiar złego nie wyposażony w najprostsze informacje. Zresztą dalsza konwersacja z automatami, prawdziwa czy wymyślona, i tak byłaby bezcelowa. Już to ostatnie „ja...” zabrzmiało jakoś dziwnie głucho. Marek z przerażeniem zdał sobie sprawę, że znajduje się we wnętrzu szerokiej, pionowej rury. Odruchowo zadarł głowę do góry i spostrzegł nad sobą błękit nieba. Rura rozszerzała się, ale nie była nakryta żadnym dachem. Chłopiec, tak niespodziewanie przemieniony w balonik, wypełniony lekkim gazem, wędrował prosto w niebo środkiem owej wielkiej wieży, przypominającej odwrócony lejek!

Oczyszczony z urządzeń krąg, gdzie leżały ciężkie „pomarańcze” znajdował się widać dokładnie u podstawy wieży. Ale kto mógł przewidzieć, że ten monstrualnych rozmiarów lejek, to jakaś niesamowita wyrzutnia, wysyłająca w niebo ludzi i automaty nie wyposażone w generatory zmiennych pól grawitacyjnych?!

— Hej!! — zabrzmiał jeszcze jeden słaby okrzyk, który wieża, niby ogromna tuba, skierowała ku bezkresnemu błękitowi i niewidocznym w świetle dnia gwiazdom. Tym

razem na rozpaczliwe wołanie człowieka nie odpowiedział już żaden głos. Natomiast sam człowiek wznosił się coraz szybciej. Gładkie jak szkło ściany wieży uciekały chyżo w dół, jeszcze kilka, może kilkanaście sekund, a chłopiec przemknie obok górnej krawędzi lejka i wyprysnie w przestworza.

Marek przestał krzyczeć. Zaczął za to myśleć. Późno, bo późno, ale czy wszyscy potrafiliby w jego położeniu od razu uruchomić szare komórki?

Przede wszystkim — powiedział sobie — skoro szybuję w powietrzu jak najlżejszy puszek, to znalazłem się jakimś cudem w stanie nieważkości. A przecież jest to stan doskonale znany wszystkim pilotom próżni. Bo chociaż nie ma już rakiet pozbawionych sztucznej grawitacji, to jednak kursy pilotażu obejmują naukę zachowania się w nieważkości. Ja zaś posiadam dyplom pilota pierwszego stopnia. Co z tego wynika? Że powinienem pływać...

Jak postanowił, tak zrobił. Najpierw udało mu się przybrać pozycję poziomą, po czym zaczął bardzo ostrożnie i powoli wykonywać ruchy pływaka. Nie ulega wątpliwości, że cwałujące dotąd w szalonym pędzie myśli chłopca w sam czas wróciły na swoje miejsce i, co ważniejsze, zaczęły się układać w jako tako logiczne konstrukcje. Był już wysoko. Górna krawędź wieży znajdowała się najwyżej dwa metry nad nim. Tyle że wznosił się nadal środkiem szerokiego w tym miejscu lejka, którego obrzeże było już dość daleko. Jeżeli nie zdąży „dopłynąć” do krawędzi, zanim na dobre opuści wnętrze tej idiotycznej tuby, .pozostanie mu tylko bezpowrotna droga ku błękitowi nieba.

Wykonał dwa energiczniejsze wymachy ramion. Zadanie ułatwił mu fakt, że szybował teraz trochę wolniej, jakby te siły, które oderwały go od ziemi zaczynały powoli słabnąć. Jeszcze kilka ruchów. Teraz zobaczył, że krawędź wieży wygina się na zewnątrz, tworząc coś na kształt kołnierza, przypominającego trochę wywinięty brzeg popielniczki.

Zagarnął nogami powietrze, dosięgnął tego kołnierza i mocno zacisnął na nim palce. Udało się. Udało... Zagięcie na krawędzi dawało pewny i wygodny uchwyt. Pod wpływem radości z odniesionego zwycięstwa Marek zapomniał, że jego nogi nadal wędrują w górę, co sprawiło, że przeobraził się w rozdwojoną chorągiewkę, powiewającą z najwyższego punktu, opuszczonego, ale wciąż groźnego dla ludzi Instytutu. Niebawem jednak chorągiewka została wciągnięta, a chłopiec położył się na wewnętrznej ścianie wieży, korzystając z jej pochyłości.

Chwilę odpoczywał, po czym ponownie uruchomił szare komórki. Przestał wzlatywać w niebo. Dobrze. Teraz wypadałoby wrócić na ziemię. Cóż, kiedy ona znalazła się piekielnie daleko. Mógł przerzucić ciało przez obrzeże wieży, ale wtedy pozostałaby mu pionowa droga w dół, na płaski dach hali, rozpościerający się dobre piętnaście metrów niżej. A skąd niby miał mieć pewność, że na zewnątrz lejka także będzie ważył mniej niż piórko?

Kiedy tak leżał, a raczej wisiał, szukając wyjścia z niezwyklej powietrznej pułapki, z dołu dobiegły nagle odgłosy jakiegoś gwałtownego szurania. Marek błyskawicznie podciągnął się na rękach, wysunął głowę ponad krawędź wieży i zobaczył jakąś niewyraźną postać, przedzierającą się przez zarośla. Raz i drugi mignęły wśród gęstej zieleni rękawy niebieskiej koszuli.

A więc stało się — westchnął w duchu chłopiec. — Zaraz będzie awantura...

Tym razem jednak perspektywa spotkania z dozorcą czy kimś, kto gospodarzył w nieczynnym Instytucie, nie wydała się Markowi zbyt odstrasżająca. Z dwojga złego lepsza awantura niż udawanie żelaznego koguta na starożytnym ratuszu. Uniósł się jeszcze trochę wyżej i spojrzął z nadzieją na dół.

Nieznajomy najwidoczniej wybiegł z lasu, otaczającego zabudowania i teraz zmierzał w stronę głównej hali. Ciekawe, dlaczego wybrał drogę przez największy

gąszcz, zamiast iść ścieżką, ale to w końcu jego sprawa. W każdym razie śpieszył się bardzo, o czym wymownie świadczyły odgłosy gwałtownej szarpaniny, zmieszane z trzaskiem łamanych gałązek.

— Hop, hop! — zawołał Marek, próbując przybrać możliwie najbardziej niewinny wyraz twarzy.

Przybysz znieruchomiał. Nastąpiła zupełna cisza. Między dwoma rozrośniętymi ostrokrzewami widać było skrawek niebieskiego materiału.

— Tutaj jestem! — krzyknął chłopiec. — Niech mi pan pomoże zejść!

Nieznajomy nie poruszył się ani nie odpowiedział. Twarz Marka zaczęła się, powoli wydłużać. Przeszło mu przez myśl, że może tam w zaroślach z niewiadomego powodu przyczał się jeszcze jeden tutejszy robot. W tym momencie jednak przybysz wreszcie ożył. Gałęzie rozchyliły się nieco i wyjrzało zza nich oblicze...

Mężczyzna miał bujne, szpakowate włosy, teraz okrutnie rozczochrane. Jego szczupła, podłużna twarz odcinała się od zieleni niezwykle bladą bladą. Niebieska koszula nosząca wyraźne ślady walki z ostrokrzewami była rozchełstana, a jej przednia część zwisała żałośnie wzdłuż niebieskich jak ona sama spodni.

— Profesor... — zaczął szeptem Marek i nie mógł powiedzieć nic więcej.

Wspomnienia niedawnej powietrznej podróży, obawa przed spotkaniem z dozorcą, nadzieja na wybawienie z kłopotliwej, łagodnie mówiąc, sytuacji — wszystko to ulotniło się bez śladu. Ta pobladła twarz należała do kogoś, kogo żadną miarą nie powinno być nie tylko tutaj, ale w ogóle na Ziemi. Kogoś, kto pędząc pracowity żywot na dalekim Transplutonie, przygotowywał właśnie jakiś niesłychanie ważny eksperyment. Kogoś, komu mieli niebawem złożyć wizytę, przy okazji niespodzianki, jaką zgotowali ojcu Lidki i Jacka, profesorowi Saperdzie.

Marek znał zbyt dobrze tę twarz, nie tylko z kilku osobistych przelotnych spotkań, ale z fotografii i z trivi, żeby się pomylić. Mimo to w pierwszej chwili pomyślał, że padł ofiarą przywidzenia. Niestety! Im dłużej wpatrywał się w bladego mężczyznę, tym dalej ulatywały jakiegokolwiek wątpliwości.

Tam w dole stał we własnej osobie profesor Aleksander Kapica, słynny Kapica, dyrektor Instytutu Planet Granicznych. To on, zamiast przebywać taśm, gdzie słońce jest tylko jedną z gwiazdek, biegł przed chwilą jak oszalały przez kolczaste krzewy. A teraz przyglądał się milcząco i chłodno jasnej głowie chłopca, wzierającej zza szczytu wieży. Zupełnie jakby ten widok stanowił na przykład naukowy problem, który należało niezwłocznie rozwiązać.

Problem był jednak palący nie tylko z naukowego punktu widzenia. Toteż Marek po dłuższej chwili zupełnej ciszy postanowił odłożyć na później rozwiązanie zagadki dziwnego zachowania Aleksandra Wielkiego Drugiego i jego obecności na macierzystej planecie, a na razie skłonić uczonego, by przedsięwziął wreszcie coś, co pozwoliłoby i jemu wrócić na tę planetę. Jednak w momencie kiedy otwierał usta, żeby dać wyraz swojemu zrozumiałemu zniecierpliwieniu, po przeciwnej stronie budowli rozległ się tupot szybkich kroków. Chłopiec obejrzał się i z radości o mało nie puścił krawędzi wieży. Od przystani szedł, a właściwie biegł... Adam Kapica. A więc profesor spotka się za chwilę ze swoim stryjeczynym wnukiem i zarazem asystentem. Wszystkie tajemnice się wyjaśnią, będzie trochę cierpkich uwag, kilka niemiłych słów prawdy, a potem duża śmiechu. Ale zanim jeszcze to wszystko nastąpi, stanie wreszcie obiema nogami na twardej, solidnej ziemi. I odzyska swoją przyrodzoną wagę.

— Halo, Adam! — krzyknął. — Tu jestem! Biegający potknął się z wrażenia, przeleciał kilka metrów gwałtownie wywijając rękami, po czym stanął jak wryty. Minęło trochę czasu, zanim odszukał wzrokiem głowę Marka, w miejscu gdzie istotnie trudno było się spodziewać czyjejkolwiek głowy.

— Co tam robisz?! — zawołał dziwnym głosem. — Skąd się tam wzięłeś?  
Chłopiec wpadł w znakomity humor.

— Odpowiadam na pierwsze pytanie — odkrzyknął naśladując zgrzytliwy głos automatu. — Leżę i patrzę. Odpowiedź na drugie pytanie brzmi: nie wiem. Wszedłem do tej hali i nagle zacząłem się wznosić. Mógłbyś coś zrobić, żeby mnie stąd ściągnąć?...

Adam umilkł. Stał jak skamieniały i wpatrywał się w Marka, jakby ujrzał ducha. Wreszcie uniosł wolno rękę i potarł nią czoło. Następnie szybko rozejrzał się w prawo i w lewo, a dopiero potem ponownie skierował wzrok ku wieży.

— Jak wszedłeś do hali? — zawołał lekko zachrypniętym głosem.

— Stanałem na ruchomym chodniku i zatrzymałem się dopiero na takiej galerijce... — chłopiec zrobił pauzę, bo przypomniał sobie, jak to było naprawdę z tym „zatrzymaniem się”. — A potem...

— Potem — przerwał mu Adam — polazłeś prosto pod wieżę, tak?!

— Tak, ale...

— I uniosłeś się, w górę? — Adam nie pozwalał mu dojść do głosu.

— Ale ja...

— Nic nie mów! — rzucił niespodziewanie ostrym tonem młody Kapica. — Muszę teraz pomyśleć...

Łatwo powiedzieć: „nic nie mów”! Z jednej strony hali profesor, też myśli i myśli, jakby tylko po to przedzierał się przez krzaki zostawiając na nich strzępy koszuli, żeby ujrawszy zawieszzonego między niebem a ziemią Marka, popaść w zupełne odrętwienie. A teraz po przeciwnej stronie z kolei jego stryjeczny wnuk.

Nie. Chłopcu stanowczo i nieodwołalnie znudziło się czekanie, aż któryś z tych dwóch na dole raczy pospieszyć z pomocą.

— Adam! — zawołał bardzo głośno. — Zróbcie coś wreszcie! Tu po przeciwnej stronie budynku stoi profesor... i także tylko na mnie patrzy...

— Kto?!!! — Adam skurczył się, jakby chciał jednym skokiem osiągnąć szczyt lejkwatej wieży.

— Profesor Kapica — powtórzył Marek z pewnym zdziwieniem, po czym obejrzał się, stwierdził, że postać w resztkach niebieskiej koszuli trwa niezmiennie na stanowisku, i dodał: — Jest tutaj — wyciągnął wyżej głowę i wskazał brodą miejsce, gdzie stał słynny uczony — Pomóście mi!... — zakończył głosem, który miał zabrzmieć gniewnie, ale niespodziewanie wspiął się w podejrzenie wysokie rejestry gamy.

Wtedy nagle zaczęło się coś dziać. Obaj stojący dotąd bez ruchu mężczyźni jak na komendę ruszyli z miejsca.

Adam puścił się ostrym sprintem z widocznym zamiarem okrążenia budynku. Profesor, choć biegł nieco wolniej, miał jednak znacznie krótszą drogę. Zanim jego młody krewniak zdążył minąć narożnik, Aleksander Wielki Drugi osiągnął bramę. Marek usłyszał jakieś odgłosy bezpośrednio pod sobą. Zerknął w dół akurat w momencie, w którym jaśniejszy krąg na podłodze, znajdujący się pod wieżą, przecięła niebieskawa plama. Profesor Kapica był widać wyposażony w to coś, czego nie miały ani roboty, ani ciekawscy chłopcy. Przebiegł najspokojniej w świecie przez zakłętą „pole” i ani mu na myśl nie przyszło fruwać do góry.

Raptem Marek zdał sobie sprawę, że jego palce ześlizgują się z krawędzi wieży. Moment później zrozumiał, że nagle, stanowczo zbyt nagle, odzyskał swoją zwykłą wagę. Nie był na to przygotowany, przecież utrzymywanie się w dotychczasowej pozycji nie wymagało siły. Zaczął nieubłaganie zsuwać się po pochyłej wprawdzie, ale bardzo stromej wewnętrznej ścianie lejka.

— Lecę! — krzyknął rozpaczliwie. — Adam!...



### 3. Strzelaj do wszystkiego...

Gładka jak lustro ściana wieży urwała się nagle. Był już wewnątrz hali. Za ułamek sekundy runie na podłogę.

Coś go podtrzymało. Przed oczami przesunęła mu się kula, w której ze zdumieniem rozpoznał jedną z tych osobliwych, ciężkich „pomarańcz”. Równocześnie poczuł, że ktoś chwyta go za rękę. Przygotował się na bolesne szarpnięcie, ale nic takiego nie nastąpiło. Przeciwnie, doznał uczucia, jakby jakaś niesamowicie elastyczna i mocna tkanina nie tyle nawet osłabiła jego upadek, co w ogóle zatrzymała go w locie. Dopiero kiedy najniespodziewaniej ujrzał w górze swoje własne wierzgające bezradnie nogi, pojął, że to ponownie dała znać o sobie ta jakaś siła, dzięki której człowiek na ziemi popadał w stan nieważkości. Moment później wylądował łagodnie na podłodze, ciągle z nogami zadartymi do góry. Wtedy poczuł, że ten ktoś, kto trzymał go za rękę, puścił ją wreszcie, i równocześnie ujrzał Adama. Młody naukowiec przystanął przed jakimś urządzeniem i przesunął sterzącą z niego dźwignię. Natychmiast nogi chłopca, dotąd widoczne na tle nieba, opisały szybki łuk i wyrznęły w ziemię.

No cóż, ciało mężczyzny w piętnastym roku życia ma swoją wagę. A ta siła, dzięki której wewnątrz lejkowatej wieży można było fruwać jak w kabynie zepsutej rakiety kosmicznej, zniknęła znowu.

— Aj — krzyknął Marek, chwytając się za bosc stopy.

— Bardzo zgrabnie to zrobiłem — pochwalił się Adam. — Najpierw wyłączyłem generator pola, żebyś mógł spaść z wieży, a potem, kiedy byłeś tuż nad podłogą, uruchomiłem go znowu. Tak oto sprowadziłem cię miękko na ziemię...

— Wcale nie tak miękko — poskarżył się chłopiec, pocierając obolałe miejsca.

— W ostatniej fazie musiałem ci znowu przywrócić ciężar — wyjaśnił bez cienia skruchy młody naukowiec. — Inaczej pofrunąłbyś z powrotem. No, wstawaj — dodał zmieniając ton. — Wszystko to bardzo mi się nie podoba... — zakończył już zdecydowanie ponuro.

Chłopiec pozbiierał się z trudem. Jego wzrok spoczął na aparacie uzbrojonym w feralną dźwignię.

— Czy to jest ten generator? — spytał patrząc z niechętnym podziwem na tajemnicze urządzenie.

— Tak — odrzekł krótko Adam.

— Do czego to właściwie służy?

— Do stymulacji zmiennych pól grawitacyjnych. Rozumiesz?

— Aha — mruknął z mimowolną urazą w głosie chłopiec.

Kapica junior zaśmiał się, ale zaraz spoważniał.

— Opowiem ci o tym dokładniej, tylko nie teraz. Tutaj przeprowadzaliśmy wstępne doświadczenia, żeby sprawdzić teorię mojego dziadka... to znaczy, profesora Kapicy — poprawił się.

— Generatory — mruknął Marek szczególnym tonem. — Wiesz, chciałem, żeby automat przyszedł tu ze mną. Odpowiedział, że nie może, bo ma instynkt samozachowawczy, a nie jest wyposażony w...

— Co do instynktu samozachowawczego — wtrącił gładko Adam — to trzeba będzie pomyśleć, co zrobić, żeby zaszcześcić go niektórym żywym chłopcom... coś ty właściwie najlepszego zrobił? — huknął nagle groźnie, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o pedagogicznych obowiązkach osoby dorosłej.

Marek spuścił oczy.



— Przepraszam — bąknął cicho. — I dziękuję. Głupio wyszło — dodał takim tonem, jakby ujawniał jakiś niesłychany sekret

— Już to dzisiaj słyszałem — oznajmił w odpowiedzi Adam. — No, dobrze. Nie mówmy już o tym. Jak to?! — zreflektował się nagle — rozmawiałeś z automatami?

— Aha... — mruknął chłopiec, zaskoczony nagłą zmianą tematu.

— Do stu księżyców! — syknął młody naukowiec. — Co tu się właściwie dzieje?!

Marek zdębiał. Wydawało mu się dotąd, że to on, i tylko on, ma prawo zadać takie pytanie, w dodatku tonem stanowczo bardziej godnym przypadkowej ofiary „szczątkowej energii” aniżeli kogoś, kto w pewnym stopniu mógł się czuć gospodarzem starego Instytutu. Dłuższą chwilę milczeli obaj. Adam najwyraźniej pogrążył się w myślach, a chłopiec postanowił sobie w duchu o nic więcej nie pytać, przynajmniej dopóki nie opuszczą tego zakazanego miejsca i nie znajdą się znowu nad spokojnym, błękitnym jeziorem. Niektóre postanowienia mają jednak to do siebie, że dziwnie łatwo się o nich zapomina.

Wzrok Marka (błądzący po wnętrzu hali padł w pewnym momencie na jedną z żółtych, ciężkich pomarańcz.

— Czy to — spytał natychmiast, wskazując okrągły przedmiot — także służyło do eksperymentów?

— Tak — rzucił zniecierpliwionym tonem Adam, a chłopiec powiedział sobie w duchu, że jego przygoda należała wobec tego w pewien sposób do programu dokonywanych tutaj doświadczeń. Uruchamiano te jakieś generatory i wysyłano w górę wieży przedmioty, które traciły swój ciężar. Tyle że dawniej zamiast nieproszonych gości używano do tego celu niezbyt regularnych kul wielkości pomarańczy, a wagi dorosłego słonia.

— Ciekawe — odezwał się na głos. — Ja poleciałem do góry, ta kula także, ale profesor Kapica przeszedł tędy jakby nigdy nic. Adam, słuchaj — zawołał nagle, przypomniawszy sobie dziwne zachowanie słynnego uczonego i żaloszny stan jego ubioru — co on tutaj robi? I gdzie się schował?!

Młody asystent zmienił się raptownie na twarzy. Zmrużył oczy tak, że pozostały z nich wąskie szparki.

— Właśnie, Kapica! — syknął, chwytając chłopca za ramię. — Mówisz, że wbiegł tutaj, do hali?!

— Tak — Marek odruchowo cofnął się krok do tyłu, usiłując oswobodzić ramię. Ale palce Adama zacisnęły się tylko mocniej.

— Nie mylisz się?

— Skąd — zniecierpliwził się chłopiec. — Widziałem, jak przebiegał tutaj, pod wieżą... czemu ona nie ma dachu?

Adam zignorował pytanie.

— Czy jesteś pewny, że to był on? Mój... — nie skończył.

— Przecież znam profesora Kapicę.

Stryjeczny wnuk, słynnego uczonego umilkł i zamyślił się. Na jego czole pojawiła się głęboka bruzda. Wreszcie westchnął ciężko i potoczył dokoła podejrzliwym wzrokiem. Następnie spojrzął na Marka i teraz dopiero dotarło do jego świadomości, że chłopiec wciąż jeszcze stoi wewnątrz owego jaśniejszego kręgu na podłodze.

— Chodź tutaj — burknął rozkazująco. — Prędzej... — wskazał Markowi miejsce obok siebie.

Wezwany nie pozwolił się długo prosić, tym bardziej że słowom Adama towarzyszył energiczny ruch ręki, wciąż jeszcze zacisniętej na ramieniu chłopca. W tym momencie jednak zdał sobie sprawę, że nie uzyskał dotąd odpowiedzi na najważniejsze pytanie.

— Dlaczego to wszystko tutaj ciągle jeszcze działa? Automaty, chodniki i te jakieś

agregaty? Mówiliście, że Instytut jest opuszczony od roku?!

— Bo jest...

Bosy badacz nie dał jednak tak łatwo za wygraną.

— Myślałem, że mieszka tutaj dozorca —: powiedział patrząc Adamowi prosto w oczy. — Ale potem zobaczyłem profesora Kapicę...

— Nie ma ani dozorca, ani profesora — burknął opryskliwie młody naukowiec.

Teraz Marek ostatecznie przestał już cokolwiek rozumieć. Co gorsza, z miny Adama wynikało, że on — asystent słynnego uczonego, który zamiast na Transplutonie jest tutaj, gdzie także go nie ma — wie i rozumie niewiele więcej.

— To kto w końcu jest? — zdołał wydukać chłopiec.

— Chodź ze mną — rzucił zamiast odpowiedzi Adam, ruszając w stronę tarasu, gdzie czekały trzy nieruchome posępne postacie.

Przeszli przez halę i wspięli się po schodkach, prowadzących na galerijkę.

— Ludzie — powitał ich natychmiast skrzypiący głos — czym mogę służyć?

— Przynies miotacz — rzucił zdecydowanym tonem Adam. — Poczekaj — wstrzymał automat, który odwracał się już, by wykonać polecenie. — Przynies dwa. I sprawdź, czy są naładowane.

Kiedy robot zniknął w tunelu, Marek spojrzał na Adama ze zdumieniem i zaniepokojeniem.

— Po co miotacz?

Zapytany wzruszył ramionami.

— Nie wiem. W gruncie rzeczy — dodał zamyślony — powinienem ci być wdzięczny. Postąpiłeś — no, sam wiesz jak, ale dzięki temu odkryliśmy, że w naszym starym Instytucie dzieją się bardzo dziwne rzeczy. Bardzo dziwne — powtórzył po chwili cicho i jakby do siebie.

Wrócił automat. W jego stalowych palcach widniały dwa cylindryczne przedmioty, zaopatrzone w uchwyty i jęczyczki spustowe.

Adam odebrał obydwa miotacze, po czym jeden z nich podał Markowi.

— Znasz się na tym?

— Tak — potwierdził niepewnie chłopiec. — Strzelałem przecież na kursach pilotażu. Ale...

— To dobrze — Kapica junior nie pozwolił mu skończyć. Odwrócił się, zbiegł z powrotem na dolny poziom hali i stamtąd dopiero skinął na Marka, żeby podążył w jego ślady. Kiedy szli już obok siebie mijając pulpity i aparaty, Adam powiedział:

— Uważaj teraz. Idź za mną. Stale za mną. Trzymaj się tak ze cztery, pięć metrów z tyłu. Gdybyś zauważył, że ktoś lub coś porusza się w moją stronę, strzelaj.

— Do tego czegoś?

— Tak. Obojętne, co to będzie. Zrobisz tak, jak mówię?

— A jeśli podejdzie profesor?

— Powiedziałem, strzelaj do wszystkiego, co zacznie się ruszać. Czyżbyś czegoś nie rozumiał?

Chłopiec oniemiał z wrażenia. Jak to? Ma strzelać do słynnego uczonego? I to na rozkaz jego własnego stryjecznego wnuka?

— No?! — usłyszał niecierpliwym, ponaglącym okrzykiem. Niezbyt przytomnie zaczął iść dalej, odruchowo trzymając się określonej przez Adama odległości.

Byli już niedaleko pamiętnego jaśniejszego kręgu pod wieżą, kiedy w umyśle Marka zaczęły kiełkować niejasne na razie podejrzenia. Adam w samą porę przyszedł mu z pomocą. Uratował go przed... nie, lepiej nie myśleć przed czym. Ale czy młody naukowiec spieszył tylko do niego? Powiedział, że nie rozumie, co dzieje się w Instytucie. Tak, ale potem dodał, może przez zapomnienie, że Marek nie mógł widzieć ani dozorca, ani profesora Kapicy, bo ich tutaj nie ma.

Na jakiej podstawie tak twierdził, skoro nie było go jeszcze na miejscu, kiedy chłopiec widział jednak profesora? Prawda, że ten ostatni postępował dość dziwnie, ale czy przypadkiem to jego zachowanie nie wynikało z obawy przed kimś, kto sprawił, że słynny uczony musiał się ukrywać na opuszczonym poligonie Instytutu Planet Granicznych?

Raz puszczone w ruch wyobrażenia podsuwała Markowi wciąż nowe obrazy, a każdy następny był bardziej ponury od poprzedniego.

Jaki cel mógł mieć Adam w tym, żeby knuć coś przeciwko swojemu stryjecznemu dziadkowi? No cóż, na upartego coś by się znalazło. To coś miało na imię Ina i było szalową blondynką o złotych oczach. Chłopiec widział ją zaledwie dwa razy w życiu, ale pokiwał ze zrozumieniem głową, przypomniawszy sobie, że Adam utonął w tych złotych oczach z kretesem i beznadziejnie. Ina Krasek była także asystentką Aleksandra Wielkiego Drugiego. W przeciwieństwie do Kapicy juniora, przebywała teraz jednak z ich wspólnym mistrzem na Transplutonie. Adam bawił się niby to wesoło w czasie ostatnich trzech tygodni na biwaku nad jeziorem, niemniej zdarzały się chwile, kiedy wpadał w smętną zadumę, a jego zamglone, nieobecne spojrzenie świadczyło wymownie, że młody naukowiec wędruje myślami gdzieś bardzo daleko.

— Czemu nie poleciałeś z profesorem? — spytała go kiedyś Zula w takiej właśnie chwili.

Odpowiedź poprzedziło długie, ciężkie westchnienie.

— Musiałem dokończyć moją część pracy tutaj, na Ziemi. Tak samo jak twój mąż na swoich asteroidach

— wyjaśnił Adam. — Ale niedługo d my obaj będziemy już na Transplutonie. Wy odbędziecie piękną wycieczkę, profesor Saparda uściska dzieci, których nie widział od tak dawna, a potem... — tu oczy mu zabłyśły — potem wy wróćcie leniuchować dalej, do końca wakacji, a my tam wysoko weźmiemy się do roboty.

Wtedy gdy Adam to mówił, wszystko wydawało się jasne i logiczne. Teraz jednak Marek pomyślał, że cała ta przemowa mogła być tylko dymną zasłoną.

A jeśli słynny Aleksander postanowił zrezygnować z pomocy swego stryjecznego wnuka przy przeprowadzaniu tego jakiegoś superważnego eksperymentu? Adamowi było zbyt trudno pogodzić się z tą decyzją, tak ze względu na jego zainteresowania naukowe, jak i, jeśli nie przede wszystkim, dlatego że nie mógł ścierpieć rozłąki ze złotooką, więc w jakiś niezrozumiały sposób ściągnął starego profesora na Ziemię i uwięził. Tak, przy takim założeniu Ina Krasek mogła stać się przyczyną przeobrażenia zdolnego, młodego asystenta w zbrodniarza, spiskującego przeciwko swojemu wielkiemu i słynnemu krewnemu. Przecież wtedy kiedy Marek powiedział mu, że po przeciwnej stronie budynku stoi ukryty w krzakach profesor Kapica, Adam raczej się przestraszył, niż zdziwił. Dopiero grubo później stwierdził, że żadnego profesora tu nie ma.

Chłopiec pogrążony w czarnych jak pochmurna noc rozmyślaniach poczuł nagle dotkliwy ból.

— Aj! — syknął wykonując serię podskoków na jednej nodze.

Adam natychmiast znalazł się obok niego.

— Co się stało? — spytał gorączkowo. — Ktoś rzucił czymś w ciebie?

— Nie — mruknął chłopiec. Spojrzał z urazą na ciężką „pomarańczę”, z którą przed chwilą zetknął się wielki palec jego bosej stopy. — Potknąłem się...

Młody naukowiec lub, jak kto woli, młody zbrodniarz, przyjrzał się podejrzliwie podskakującej postaci.

— Uważaj — burknął. — Jeszcze całą tę budę zwalisz nam na głowę.

Ponieważ jednak wspomniana ewentualność na razie przynajmniej nie wchodziła w rachubę, ruszyli dalej. Ale ból palca odbił się osobliwym echem w głowie

poszkodowanego. Chłopiec jakby otrzeźwiał. Niedawne podejrzenia i zawile motywy knowań Adama wydały mu się nagle śmieszne oraz nonsensowne. Kto niby miałby dybać na słynnego uczonego? Jego własny stryjeczny wnuk, oddany bez reszty swojej pracy oraz perspektywie, jaką nauka otwierała przed ludzkością, właśnie dzięki tajemniczemu wynalazkowi Kapicy seniora? Nonsens. Kosmiczna bzdura! Zresztą dlaczego niby Aleksander Kapica miałby pozbawiać Adama możliwości uczestniczenia w decydującym eksperymencie? Poza tym gdyby dyrektor Instytutu Planet Granicznych rzeczywiście został przez Adama czy kogokolwiek innego uprowadzony ze stacji na Transplutonie, to z pewnością wiedziałby już o tym cały świat...

W tym momencie wyjaśniałe oblicze Marka ponownie zasnuło się cieniem. Przyszło mu na myśl, że cały świat może od trzech tygodni pasjonować się tajemniczym zniknięciem uczonego. Ale oni przybywając nad jezioro odcięli się przecież od tego całego świata. Ba, wyłączyli nawet .radio. A on jednak widział starego profesora. I co miały znaczyć słowa: „strzelaj do wszystkiego, co się poruszy”? Przecież tutaj poruszały się tylko roboty, i właśnie nie kto inny, jak sam słynny Kapica, w postrzępionej, niebieskiej koszuli...

Nie — powiedział sobie w duchu chłopiec. — Wszystko to rzeczywiście zakrawa na kosmiczną bzdurę, ale coś tu naprawdę jest grubo nie w porządku.

Spojrzał z niechęcią na miotacz w swojej dłoni. Wydało mu się, że chłodna, matowa powłoka śmiertelności broni zaczęła go nagle parzyć.

Doszli niemal do samego końca hali. Wtedy dopiero Adam zwolnił. Rozejrzał się raz i drugi, po czym stanął przed jakąś jakby szafą zamkniętą pancernymi drzwiami. Otworzył je bez trudu i zajrzał do środka.

— Tak jak myślałem — mruknął. — Uważaj teraz — dodał z naciskiem. Chłopiec odruchowo zacisnął mocniej palce na uchwycie miotacza. Adam pochylił się i wsadził głowę do wnętrza szafy. Chwilę coś w niej robił. Marek nie słyszał żadnych odgłosów poza przyspieszonym oddechem swojego towarzysza. Wreszcie głowa tego ostatniego ukazała się znowu. Zamknął powoli pancerne drzwi i spojrzał na chłopca niezbyt przytomnym wzrokiem.

— Tak jak myślałem — powtórzył niemal szeptem.

— Główne bloki energetyczne są nieczynne — powiedział nieco głośniej.

— Co to znaczy? — spytał ponuro Marek.

Adam wzruszył ramionami.

— To znaczy, że do urządzeń Instytutu nie dociera energia elektryczna — spojrzał na świecące pod sufitem lampy, na gotowe do usług roboty, czekające na podwyższeniu po przeciwnej stronie hali, wreszcie utkwiał wzrok w owym feralnym kręgu, na który padały przechodzące przez pustą wieżę promienie słoneczne.

— Jak to? — wyjąkał chłopiec — więc dlaczego to wszystko działa?...

— Właśnie, dlaczego? — odburknął niezbyt przytomnie zapytany. — Chwileczkę — ożywił się nagle. Przeszedł kilka metrów i stanął przed pulpitem, nad którym umieszczono prostokątny ekran. Nacisnął jakieś klawisze i naraz ekran ożył. Jego tarcza rozjaśniła się matowym srebrem.

— Kiedy zamknięto Poligon? — spytał Adam.

Chłopiec przyjrzał mu się nieufnie.

— Mówiłeś, że rok temu, ale... — zaczął.

Młody naukowiec przerwał mu jednak niecierpliwym gestem.

— Siódmego maja ubiegłego roku — zabrzmiał łagodny męski głos, który dobiegał nie wiadomo skąd.

— Czy twoje przystawki pamięciowe mają pełny zapis od tego dnia do dzisiaj? — pytał dalej Adam. Tym razem Marek nie próbował wyręczać w odpowiedzi głównego

komputera Instytutu.

— W zapisie jest luka od siódmego do jedenastego maja zeszłego roku. Przez cztery dni byłem nieczynny. Powód — brak dopływu energii. Potem wszystko wróciło do normy.

— Co robiłeś od jedenastego maja do dzisiaj?

— Wykonywałem polecenia.

— Czyje?

— Człowieka.

— Kim jest ten człowiek?

— Jednym z tych, którzy opracowywali dla mnie programy.

— Przecież mówiłem, że to profesor... — zdołał wyszeptać Marek.

— ...psst! — przerwał mu ze złością Adam. — Skąd teraz czerpiesz energię? — zwrócił się ponownie do komputera.

— Rezerwowe łącza baterii słonecznych — padła odpowiedź.

Adam uderzył się otwartą dłonią w czoło tak, że odgłos siarczystego plaśnięcia poniósł się po całej hali.

— Idiota! — zawołał. — Skończony bałwan! — dodał uznając poprzednie zdanie za niewystarczające. — Idioci — zdecydował się w końcu na liczbę mnogą.

Chwilę panowało kłopotliwe milczenie.

— Gdzie jest teraz człowiek, który ostatnio wydawał ci polecenia?! — w tonie tego pozornie niewinnego pytania zabrzmiała groźba.

— Instytut — odpowiedział komputer swoim niezmiennie pogodnym głosem. — Główna hala...

— Tutaj, wiem! Ale w której części hali?

— Blok siedem... — zdążył wymówić komputer, zanim niewidoczne głośniki wydały przenikliwy zgrzyt, po którym nastąpiła cisza. Równocześnie zgasły lampy. Olbrzymia sala pogrążyła się w mroku, rozjaśnionym jedną smugą słonecznego światła, wpadającą przez otwartą wieżę.

— Szybko za mną! — Adam wyminął karkołomnymi skokami kilka najbliższych maszyn i rzucił się w stronę otwartej bramy.

Trudno myśleć biegnąc ile sił w nogach, chociażby to były nogi opromienione sławą na zawodach międzyszkolnych. Toteż Marek nie zastanawiał się nad tym, dlaczego Kapica junior biegnie do wyjścia, chociaż komputer stwierdził, że poszukiwany przez niego człowiek przebywa wewnątrz hali. Robił tylko co mógł, żeby nie zostać zanadto z tyłu.

Minęli bramę i znaleźli się na oświetlonej słońcem przestrzeni. Ścieżka omijała stalową kratownicę, na której rozpięta była talerzowata antena, a następnie wpadała między wysokie krzewy. Za następnym zakrętem wybiegli na niewielką polanę, gdzie stały jakieś niskie, błyszczące urządzenia. Chłopiec już, już chciał sobie skrócić drogę i wskoczyć na płaski dach pierwszego z nich, kiedy usłyszał ostry krzyk:

— Stój! Stań zaraz!

Z największym trudem udało mu się zatrzymać kilka centymetrów przed ścianką niegroźnie wyglądającej konstrukcją. Adam szarpał właśnie czarną rączkę, wystającą z tej ścianki. Coś zasyczało, po czym z płaskiego dachu wypłynął obłoczek białego dymu. Teraz dopiero chłopiec przyjrzał się bliżej umieszczonym na polance urządzeniom. Były pokryte drobną siateczką zbudowaną z ostrych, lustrzanych szybek. Uprzytomnił sobie, że jeszcze moment a jego bosa stopy dotknęłyby tego „dachu”, i skóra na nim ścierpła. Pamiętał takie siateczki. Z jedną zawarł już raz bliższą znajomość.

Adam, uporawszy się z czarną rączką, zaczął na odmianną wyszarpywać z wnętrza konstrukcji wielki, czerwony kabel. Kabel początkowo stawiał opór, co wyraźnie

odbiło się na twarzy młodego mężczyzny, która przybrała piękną, wiśniową barwę. Gdy nagle puścił, naukowiec poleciał z rozpędu dwa kroki do tyłu i usiadł na wysypanej żwirem ścieżce. Powietrzem wstrząsnął krótki, lecz dosadny okrzyk.

— Zrobiłeś sobie coś? — zatroskał się niezbyt szczerze Marek.

Adam zamruczał gniewnie, po czym niespodziewanie zaśmiał się wesoło.

— Ja nie — powiedział wstając. — Ale mało brakowało, a ty powtórzyłyś swoje doświadczenia sprzed kilku lat, kiedy to, jak mówi Zula, uciekałeś i wołałeś: parzy! parzy! parzy!

Marek spochmurniał.

— Wiem, że to są baterie słoneczne — rzekł urażonym tonem.

Adam przyjrzał się urządzeniom i spoważniał.

— Tak. Stąd brał prąd...

— Kto?!

To ostatnie pytanie pozostało jednak bez odpowiedzi. Znad jeziora dobiegł słaby powiew wiatru. Liście na krzewach zaszeleściły, po czym ponownie zamarły w bezruchu. Było zupełnie cicho.

— Chodź — powiedział wreszcie Adam, ruszając w powrotną drogę do głównego budynku dawnego Instytutu. — Teraz nic nam już nie grozi — dodał jakby do siebie.

Chłopiec mimo woli spojrzał na miotacz, który ciągle trzymał w prawej dłoni.

— To już nie muszę strzelać? Do wszystkiego co się poruszy?

— Mam nadzieję — odrzekł Adam — że nie będzie do kogo. Tutaj już nic się nie poruszy...

Marek przemilczał, że to „już” bardzo mu się nie spodobało. Jego towarzysz wyłączył baterie słoneczne. Ba, nawet przeciął główny kabel, którym prąd wytwarzany przez te baterie płynął do hali. Czy robiąc to zaszkodził czemuś lub... komuś?

Wewnątrz budowli Adam skierował się od razu w stronę pomostu, na którym nadal stały roboty. Tylko pomarańczowe lampki w ich masywnych głowach już się nie świeciły. Tutaj zniknął chłopcu z oczu.

Po chwili, w absolutnej ciemności panującej pod galerijką, rozległ się głuchy łoskot. Chłopiec poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Gotów był przysiąc, że ten odgłos wydało bezwładne ciało człowieka, padające na podłogę. Chciał krzyknąć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Zachował jednak władzę w nogach. Sam nie wiedział, kiedy stanął z powrotem pod otwartą bramą wejściową i patrzył na Adama, który wyłaniał się właśnie z mroku.

— Tam się ładował... — mruknął młody naukowiec, po czym zaśmiał się ponuro.

— Można powiedzieć, że urządził sobie mieszkanko...

„Ładował się”? Mieszkanko? Ten odgłos upadku?

— Kto? — wybełkotał Marek. — Profesor?

Adam bez słowa odebrał mu miotacz i znowu dokądś poszedł. Wrócił już bez broni i nie zatrzymując się ruszył prosto w kierunku jeziora. Stanął dopiero na nabrzeżu.

Słońce prażyło jeszcze silniej niż przed południem, a mimo to przez plecy chłopca przebiegł niemiły dreszcz, kiedy zachowujący się tak podejrzanie młody mężczyzna położył nagle ręce na jego ramieniu i spojrzał mu prosto w oczy. Te zrobiły się natychmiast duże, okrągłe i niebiesciutkie jak samo niebo.

— Posłuchaj — powiedział śmiertelnie poważnie Adam — nikomu ani słowa, dobrze? Mam nadzieję, że jesteś mężczyzną i mogę ci zaufać...

Marek chciał coś odburknąć, ale ugryzł się w język. Zapytał tylko, siląc się na obojętny ton:

— A co z profesorem?

Spojrzenie Kapicy juniora poszybowało daleko, ponad jeziorem.

— Z jakim profesorem?

— No...

— Nie było tutaj żadnego profesora. Od roku — dodał z naciskiem Adam, znowu zwracając się do chłopca. — I nie mówmy już o tym. Kiedyś wszystko ci wytłumaczę — rzucił zdawkowo. — Na razie niech ci wystarczy to, co sam widziałeś... i co przeżyłeś. Że też nie miałem ze sobą aparatu fotograficznego! — wykrzyknął nagle z udanym żalem. Człowieku! — zaśmiał się głośno — to dopiero byłaby bomba! Nowa ilustrowana opowieść rodzinna! Kiedy siedziałeś na tej wieży, a potem lądowałeś jak meteoryt. Z zadartymi nogami. Ha, ha, ha... Meteoryt z nastroszoną czupryną i wypiętym siedzeniem. Ha, ha, ha...

Marek zmrugał oczy i przyglądał się posepnie rozbawionemu mężczyźnie. Ten spostrzegł wreszcie, że chłopiec nie podziela jego wesołości. Przestał się śmiać, ale jego twarz pozostała uśmiechnięta, gdy powiedział:

— Głowa do góry stary! Polatałeś sobie aż miło, zobaczyłeś Instytut, a w dodatku pomogłeś mi... — urwał. Błysnął białymi jak kreda zębami i zmienił nieco ton:

— Nie rób takiej ponurej miny. Nic się nie stało... chociaż licho wie, do czego mogłoby dojść, gdybyś mnie tu nie ściągnął... panie ciekawski. A teraz wracamy — rzucił stanowczo. — Tamci cały czas umierają ze strachu. Dalej!

Wydawszy ten rozkazujący okrzyk, wskoczył do czekającej u nabrzeża motolotki. Rozwinął linkę holowniczą, po czym cisnął ją Markowi wołając:

— Przyczep kajak!

Chłopiec nie ociągając się dłużej zbiegł po pochylni.

— Och, jak fajnie — wyrwało mu się mimo woli, kiedy jego obolałe nogi otoczył kojący chłód wody. Przywiązał koniec linki do dzioba kajaka, a następnie wskoczył do lotki i usiadł obok Adama. Za rufą zaszumiało. Sam silnik pracował niemal bezgłośnie.

— Jak przepłynąłeś pod mostkiem?

— Wykopałem kanał — Kapicy juniora nie opuszczał dobry humor.

Łódka uniosła się nad powierzchnię i mknęła w stronę przesmyku, łączącego Jezioro Tajemnic z błękitną, spokojną wodą, otoczoną cichym lasem, na którego skraju rozbili wakacyjny obóz.

Nagle Adam podskoczył, jakby go coś ukaşıło.

— Czy to ty zabrałeś pantoplan?!

Uplęnęła dłuższa chwila, zanim Marek oprzytomniał i mógł odpowiedzieć. Jeśli oczywiście godzi się nazwać odpowiedzią coś, co zabrzmiało mniej więcej tak:

— Cococo?...

— Pantoplanu nie ma — poinformował go zwięźle młody naukowiec. — Pytam, czy to ty go zabrałeś?

— Ja? — niebotyczne zdumienie w głosie chłopca mówiło wszystko. Zresztą Adam najwidoczniej ani przez chwilę nie traktował poważnie przypuszczenia, że to właśnie jego współpasażer był sprawcą zniknięcia ciężkiego pojazdu. Bo niby kiedy miałyby to zrobić? Niemal od świtu siedział z Lidką i innymi nad jeziorem, a potem wyruszył od razu na swoją wielką wyprawę.

Na twarz Adama raz jeszcze nasunęła się ciężka, mroczna chmura. Poruszył lekko gałką przy sterach. Łódź przyspieszyła. Mostek rósł w oczach i wkrótce musieli zwolnić. Lotka osiadła na wodzie i łagodnie, samym rozpędem wpłynęła na płyciznę. Obydwaj wyskoczyli za burtę. Po chwili sapiąc głośno unosili łódź, która i tak zresztą szurała dnem po piaszczystym dnie przesmyku. Marek pomyślał z mimowolnym uznaniem o Adamie. Płynąc mu na ratunek (czy tylko?), musiał sobie przecież radzić sam. I poradził sobie.

— Halo!

Ten głos dobiegł z góry. Zatrzymali się i obejrzel. Mostek był tuż za nimi. Musieli dobrze zadrzeć głowy, żeby ujrzeć stojącego na nim, przechylonego przez poręcz mężczyznę.

— Halo, panie Adamie — zawołał ponownie człowiek na mostku. Poznali go od razu. Był to miejscowy leśniczy, Romejko. Na drodze stał jego lekki łazik, służący jako środek komunikacji, holownik do ciągnięcia zwałonych pni i poduszkowiec na wypadek wylewów. Zaopatrzony był także w agregaty do gaszenia pożarów, chowane płozy, dzięki którym zimą zmieniał się w elektryczne sanie i dodatkowo w weterynaryjny sztucer do wstrzeliwania chorym zwierzętom lekarstwa na odległość.

— Dzień dobry panu — powiedział uprzejmie Adam. Odsapnął i spytał. — Czy pan specjalnie tu na nas czekał?

— Tak — stary leśniczy pokiwał głową i uśmiechnął się. — Był u mnie Jacek. Powiedział, że zginął wam ten wielki pojazd, którym można latać na księżyc — zaśmiał się cicho. — Od razu pomyślałem, że to jakiś kawał, bo któżby tu kradł jakieś pojazdy! Ostatni raz złodziej pojawił się w tej okolicy dwieście lat temu. Czytałem w kronikach leśnictwa. Był to niejaki Alan Svennson, który przyjechał z jakiegoś bardzo wielkiego miasta i kiedy zobaczył kubek pełen żywicy, to nie mógł się powstrzymać, żeby go nie ukraść. Zeznał, że przedtem nigdy w życiu nie widział prawdziwego drzewa. Teraz w miastach jest ich już ponoć pełno, tylko że zawsze co las to las... ale ja sobie gadam, a zatrzymałem was przecież, żeby powiedzieć, że ten żartowniś, który to zrobił...

— Co zrobił? — nie wytrzymał wreszcie Adam.

— No ten, który wam zabrał tę wielką maszynę — powiedział cierpliwym tonem Romejko — nie uprowadził jej zbyt daleko. Kiedy Jacek odszedł, pomyślałem, że pójdę sam poszukać zguby — zaśmiał się znowu. — I znalazłem. Stoi sobie spokojnie na tej polance z trzema świerkami, którą nazywacie kartoflanym uroczyskiem, czy jakoś tak...

Kartoflane uroczysko! Tam wybrali się kiedyś na pieczenie ziemniaków, które jednak po wyjęciu z gorącego popiołu okazały się, delikatnie mówiąc, niejadalne. Dopiero potem wyszło na jaw, że Anna, wysłana do pobliskiego kombinatu rolnego po ziemniaki, zamiast prawdziwych wzięła z jakiejś starej skrzyni syntetyczne, wyprodukowane dla zabawy przez sędziwego dyrektora gospodarstwa, który obecnie liczył sto siedemdziesiąt wiosen, a od stu sześćdziesięciu nie parał się już przetwarzaniem najrozmaitszych odpadków w sztuczne kartofle. Polana z trzema świerkami stała się wówczas widownią zbiorowego szału wesołości.

— Tam jest pantoplan? — upewniał się z niedowierzaniem Adam.

— Pewno. Stoi sobie jakby nigdy nic. Znalazłem go niemal od razu...

Ale Adam zrezygnował z wysłuchania dalszego ciągu opowieści sympatycznego pana Romejki.

— Pchamy — skinął energicznie na Marka i na powrót chwycił burtę motolotki. Wspólnymi siłami przeciągnęli łódkę przez płyciznę, wspomagani zachęcającymi okrzykami leśniczego.

Kiedy lotka zakołysała się na głębszej wodzie błękitnego jeziora, Adam odwrócił się.

— Podrzuci mnie pan tam? — poprosił leśniczego.

— Przecież czekam — odpowiedział ten spokojnie.

Asystent sławnego profesora, który był i którego nie było w opuszczonym Instytucie, ruszył w stronę zaparkowanego leśnego łazika.

— Płyn prosto do obozu — mówił do Marka, wspinając się na stromy brzeg. — Powiedz im, żeby przestali szukać. Pewnie do tej pory buszują po lesie, zaglądną



każdy krzaczek. Niedługo wrócę. Ale pamiętaj — zatrzymał się i raz jeszcze spojrzał  
chłopcu prosto w oczy — o tamtym ani słowa!

## 4. Spisek

Lidka była sama. Miała na sobie złocisty kostium kąpielowy, w którym wyglądała jak marzenie. Jej kasztanowe włosy lśniły w promieniach słońca, torujących sobie drogę przez konary sosen.

Dziewczyna siedziała na ławeczce przed kuchenką umieszczoną na kamieniach i przygotowywała obiad. Obok niej leżały srebrzyste pojemniki żywnościowe i konserwy. Nad promiennikiem drgało rozgrzane powietrze. Zajęta pracą nie spostrzegła Marka, który nadszedł ścieżką biegnącą od przystani. Chłopiec natomiast na jej widok zaczął zwalniać... zwalniać... aż stanął. Zapomniał o bolących nogach, pragnieniu, nawet o nieszczęsnym profesorze w postrzępionej koszuli.

W pewnej chwili odruchowo przyglądał swoją niesforną, jasną czuprynę. Następnie, równie, odruchowo i całkowicie bezwiednie powiedział:

— Ooooch...

Dziewczyna podskoczyła, jakby tuż obok ktoś odpalił rakietę, utkwiała w Marku spojrzenie szeroko otwartych oczu i opuściła ręce. Jeden z pojemników potoczył się bezszelestnie po grubej warstwie igliwia. Chwilę siedziała bez ruchu, po czym z iście kobiecą logiką, jak osądził chłopiec, zrobiła nadąsaną minę.

— Dlaczego mnie straszysz?! — syknęła. — Co to za kawały?!

Marek przymknął na moment oczy, otworzył je ponownie i bez słowa usiadł na skraju ławeczki po przeciwnej stronie obozowej kuchni. Następnie bardzo powoli i ostrożnie wyprostował nogi. Mimo że zaciskał zęby, wyrwało mu się ciche syknięcie.

— Stało ci się coś? — Lidka nagle zmieniła ton. — Wiesz, jak się tu wszyscy o ciebie martwili?!

— Niepotrzebnie. Wszyscy?...

— No...

— Powiedz mi — chłopiec przypomniał sobie, co obiecał Adamowi — gdzie jest reszta? Szukają jeszcze pantoplanu?

— Skąd wiesz... Marku! To ty zabrałeś pojazd?! — wycelowała w niego palec. Chłopiec jednak nie ugiął się przed tym oskarżycielskim gestem.

— No wiesz... — mruknął z urażoną godnością własną uczonego, któremu zarzucono, że nie umie tabliczki mnożenia. — Jeśli uważasz, że byłbym zdolny do czegoś takiego, to... — nie skończył, ale nie ulegało wątpliwości, że odpowiedź twierdząca spowoduje straszne następstwa.

— To skąd w takim razie wiesz, że nie ma pantoplanu? — Lidka zrobiła chytrą minę.

Chłopiec uśmiechnął się słabo.

— Spotkałem Adama — powiedział niepewnie, myśląc równocześnie, że słówko „spotkałem” nie oddaje zbyt wiernie istoty sprawy.

Lidka uniosła się odrobinę, po czym znowu usiadła.

— Byłeś... tam? Naprawdę?

Chłopiec uchylił się od odpowiedzi.

— A potem leśniczy powiedział nam, że znalazł pantoplan na tej polance... wiesz, tym naszym uroczysku.

— Kartoflanym?

— Uhm.

Oczy dziewczyny nadal świeciły jak dwa płomyki.

— To spotkaliście Romejkę? Gdzie? Czy był także... tam?

Markowi i tym razem udało się ominąć pułapkę.

— Powiedz mi — poprosił podnosząc się z wyraźnym trudem — gdzie są Zula, Anna i Jacek? Jeśli jeszcze szukają...

— Właśnie idą — mruknęła dziewczyna zawiedzionym tonem.

Chłopiec odwrócił się i ujrzał tych, o których pytał, wychodzących właśnie na polankę.

— Och, jesteście! — krzyknęła Zula. Przebiegła kilka kroków, zanim przypomniała sobie, że są powody, dla których powitanie powracającego podróżnika powinno wypaść nieco chłodniej. Zwolniła i nasrożyła się.

— Zwariowałeś do reszty?! — wyręczyła mamę Anna. — Nie dość, że uciekasz, niby to do Instytutu, to jeszcze kradniesz pantoplan! — Zatrzymała się przed winowajcą i mówiła zdyszczanym, gniewnym głosem: — A my przez ciebie zdzieramy nogi po całym lesie. Kiedy przyjedzie ojciec, powiem mu, że nie powinien zabierać na Transplutona niedowarzonych sztubaków!

— Gdzie w końcu byłeś? — Zula wyminęła zgrabnie Annę i stanęła między nią a Markiem.

— Mniejsza gdzie byłem — odpowiedział niegrzecznie chłopiec. Zreflektował się i zawołał z wyrzutem: — Mamo!...

— „Mamo” — powtórzyła Anna wydymając ironicznie wargi. Lidka wydała jakiś cichy okrzyk, niestety lub na szczęście zgoła niezrozumiały, a Zula uśmiechnęła się niespodziewanie.

— Z człowiekiem, który ma świeżo za sobą ciężkie przejścia, należy postępować rozważnie — stwierdziła filozoficznie. — My także — obejrzała się na Annę i Jacka — musimy trochę ochłonać. Przestraszyłeś nas... ale tę historię odłożmy na później. A teraz powiedz, czy wiesz coś o pantoplanie?

— Jest na uroczym kartoflisku... to znaczy kartoflim... no! — zezłościła się Lidka, która postanowiła wyręczyć Marka, ale z wielkiego pośpiechu poplątał jej się język.

— Na uroczysku? — domyśliła się Zula. — Naprawdę? — spojrzała pytająco na chłopca.

— Tak.

— Ty nim tam pojechałeś?

— Nie.

— Stał się coś dziwnie rozmowny — zauważył od niechcienia Jacek. Jajogłowy brał udział w przetrząsaniu lasu, dotarł, nawet do domu pana Romejki, a mimo to wyglądał, jakby przed chwilą wrócił od fryzjera i zdążył się jeszcze przebrać. Ten fakt nie wiedzieć czemu do reszty wyprowadził Marka z równowagi.

— Mówię, jak mi się podoba — zrobił kilka kroków w stronę Jacka i przybrał pozycję bokerską. — Masz coś przeciwko temu?

Brat Lidki cofnął się i wycedził przez zęby:

— Skłonność do agresji była cechą ludów pierwotnych. Kiedy będę dyrektorem instytutu, zaangażuję socjologów, na wypadek gdybyśmy kiedyś w kosmosie mieli spotkać istoty na niższym stopniu rozwoju. Poza tym, powtarzam: w szkołach powinni lepiej uczyć historii, i to poczynając od młodszych klas...

— Oprócz skłonności do agresji cechą umysłów pierwotnych było także, o ile mi wiadomo, bezgraniczne zadufanie w sobie — parsknęła Lidka. — W każdym razie ja słyszałam o tym w młodszych klasach...

— Może już dosyć? — wtrąciła pojednawczym tonem Zula. Poprawiła wdzięcznym ruchem swoje piękne czarne włosy i uśmiechnęła się. — Pogadaliście sobie, a teraz pomóżcie Lidce przygotować obiad. Po jedzeniu łatwiej dojść do porozumienia... tego nauczono mnie już w najstarszych klasach... — zaśmiała się cicho i Marek miał w tej chwili ochotę objąć mamę, jak to robił będąc w klasach

najmłodszych...

Dłuższą chwilę nikt nic nie mówił. Lidka nie potrzebowała właściwie pomocy, bo wszystko było już gotowe. Anna nakryła tylko składany stolik, a Marek przyniósł wodę mineralną i colę, które studziły się w pobliskim, specjalnie pogłębianym, piaszczystym źródleku.

Usiedli na brzozonej ławeczce i łowili smakowite zapachy, dobiegające z promiennika.

— Więc jak to właściwie było z tym pantoplanem? — teraz dopiero zagadnęła Zula.

— Wracaliśmy z Adamem i spotkaliśmy pana Romejkę. Powiedział nam, że kiedy dowiedział się o zaginięciu pojazdu, sam zaczął go szukać — wyjaśniał Marek — i że znalazł go na kartoflanym uroczysku. Wtedy Adam kazał mi wrócić tutaj, żebyście przestali szukać, a sam pojechał z leśniczym jego łazikiem...

— To znaczy — skwitowała spokojnie mama — że zaraz powinien być. Więc kto właściwie zabrał pojazd?

Jacek zrobił minę, jakby chciał powiedzieć „jeszcze się pytasz”, ale poprzestał na tym. Anna prychnęła. Tylko Lidka spojrzała na Zulę z przejęciem.

— Właśnie — wyszeptła. — Czy ktoś chciał go... ukraść?

Znowu zapanowała cisza.

— Takie rzeczy się nie zdarzają... — orzekł wreszcie kategorycznie Jacek. — Osobiście sędzę, że...

Nikt nigdy nie dowiedział się jednak, co przyszły dyrektor Instytutu sądzi o domniemanej kradzieży, bo z głębi lasu dobiegły odgłosy jakby nadciągającej burzy. Lekko zadrżała ziemia. Na głowy siedzących posypały się suche sosnowe szpilki. Moment później pomiędzy drzewami ujrzeli opasłe cielsko pantoplanu. Pojazd zatrzymał się tam, gdzie leśna droga przechodziła w wąską ścieżkę. Usłyszeli stuk zatraskiwanej kłapy wjazdu i po chwili na polankę wbiegł Adam.

— Co, obiad?! — rzucił wesoło na widok skupionej przy stole gromadki. — Świetnie! Jestem głodny jak wilk...

— Umyj ręce — powiedziała zamyślona Zula.

Adam stanął zdziwiony.

— Co? Oczywiście, umyję...

Zula zreflektowała się i parsknęła śmiechem, któremu mimo powagi sytuacji zawtórowali wszyscy obecni.

— Jakbyś wychował dwoje takich ancymonków — prześliznęła się czułym spojrzeniem po twarzach Anny i Marka — to także mówiłbyś czasem od rzeczy...

— To wcale nie było od rzeczy — zaprzeczył rycersko Adam znikając w namiocie, z którego za chwilę wyszedł z ręcznikiem i mydłem. Umył ręce i twarz, prychnął przy tym z zadowoleniem. Następnie podszedł szybko do stołu.

— Zguba się znalazła — powtórzył informację, przekazaną już przez Marka. — Nie wiem, komu przyszło na myśl pobawić się w pilota, ale z pewnością nie był to nikt z nas. Gorzej nie zachowałaby się najbardziej niezdarna małpa. Ugrzązł w piasku i nie tylko nie potrafił uruchomić dyszy powietrznych, ale nawet wrzucić tylnego biegu. Znam tylko jednego człowieka obdarzonego przez naturę podobnym antytalentem...

— Więc co się właściwie stało? — spytała zniecierpliwiona Anna.

— Nic — Adam zrobił niewinną minę. — Pantoplanu nie było, pantoplan jest. Hokus-pokus. Marka nie było — zaśmiał się krótko — Marek jest. Czego jeszcze chcecie? Dostaniemy wreszcie coś do zjedzenia?

— Czy nie miałam racji mówiąc, że pewnym osobnikom trzeba napełnić brzuchy, zanim wydobędzie się od nich jakieś ludzkie słowo? — westchnęła z kosmicznym

ubolewaniem Zula. — Oczywiście — dodała zaraz — dotyczy to głównie mężczyzn....

— Tak! — Adam kłapnął zębami i potoczył dokoła dzikim wzrokiem. — Mieście się na bacności. Jeść!!!

Lidka wstała. Dzisiaj ona miała dyżur i odpowiadała za zaspokojenie apetytów mieszkańców puszczy nad błękitnym jeziorem.

— Mimo wszystko mógłbyś coś powiedzieć — zamruczała cierpko Anna. — Przecież biegaliśmy po lesie wszyscy, a co do Marka... — spuściła oczy — zgoda, że przyczyniliśmy się do jego wyskoku... trochę — zastrzegła się pospiesznie — co go oczywiście nie rozgrzesza, ale dalej nie wiemy, gdzie był i co wyprawiał. A pantoplan...

— Maaee bzee biii baa ciękie wiii... — zauważył Adam.

— Co? — zabrzmiał chór zdumionych głosów.

— Przecież mówię! — zirytował się Adam, przetykając potężny kawał syntetycznego indyka. Indyk był sztuczny, ale najstarsi ludzie twierdzili zgodnie, że wyrabiane ostatnio koncentraty są smaczniejsze niż produkty dawnych farm drobiu. Nic dziwnego, że Adam chwilowo nie mógł wyrazić się jaśniej. Za moment jednak naprawił swój błąd: — Marek przeżył dzisiaj bardzo ciężkie chwile — powtórzył dobitnie, po czym niespodziewanie parsknął głośnym śmiechem. — Kiedy sobie przypomnę... ha! ha! ha! — młody naukowiec zamachnął się widelcem i korzystając z tego, że miał właśnie otwarte usta, władował do nich porcję, która co najmniej na dalszą minutę uniemożliwiła mu branie udziału w rozmowie.

— Wiele przemawia za tym — powiedziała pogodnie Zula — że będziemy musieli uzbroić się w cierpliwość.

— Ktoś jednak wziął pantoplan — przypomniał przez nos Jacek — Ten ktoś...

— Jedz! — przerwała mu stanowczo Lidka, mierząc brata karzącym spojrzeniem. — Potem olśnisz nas swoimi teoryjkami. Nie po to męczyłam się przy kuchni, żeby teraz wszystko wystygło.

— Kobieta! — mruknął swoje Jacek, ale posłusznie sięgnął po widelec.

Wreszcie Adam westchnął i odsunął opróżniony pojemnik.

— Przyprowadziłem go tutaj — skinął głową w stronę majaczącego wśród drzew pojazdu — bo trzeba przeczyścić dysze. Chcę także sprawdzić układ sterowania. Ktoś, kto wybrał się na nim na przejażdżkę, nie miał zielonego pojęcia... Słuchaj — zwrócił się nagle poważnym tonem do Zuli — muszę z tobą porozmawiać...

— Teraz?

— A my? — obruszyła się Lidka.

— A ja? — podkreślił osobno swoje prawa Jacek.

— Ciebie także zostawię na lodzie — uspokoiła go gorzkim tonem Anna. — Nie mają serca ani dla własnych dzieci, ani dla przyszłych dyrektorów...

Wszyscy prócz Jacka zaśmiali się krótko, ale ten śmiech nie zabrzmiał nazbyt wesoło. Jajogłowy natomiast pokręcił ze zdumieniem głową, jakby dziwiąc się, że coś takiego w ogóle mogło go spotkać. W rzeczywistości jego zdziwienie miało nieco głębsze przyczyny. Nawet bowiem przyszli wielcy uczeni miewają swoje słabości. W wypadku Jacka ta słabość nosiła imię Anna.

Rzecz jasna, jajogłowy nigdy w życiu nie przyznałby się nawet sam przed sobą, że byle blond główka zaprzęta jego myśli w stopniu większym niż teoria wielkich szybkości, fluktuacja czy choćby wzory geometrodynamiczne. Większość dziewcząt posiada jednak zdolność przenikania tego rodzaju sekretów, nawet najbardziej ukrywanych, i zdolność ta nie była obca także siostrzyczce Marka. Dodajmy, że i ją w pewien szczególny, a miły sposób niepokoił „przyszły uczonec”, który zachowywał się dziwnie, traktował wszystkich z góry, ale wiedział rzeczywiście dużo ciekawych

rzeczy. Nie byłaby jednak siostrą swego brata, gdyby chwilami nie potrafiła spojrzeć na postępowanie Jacka trzeźwo i z humorem. Nie mówiąc o tym, że musiałaby nie być młodą, śliczną dziewczyną, żeby jeszcze później niż jajogłowy nie strzec swojego sekretu. W tej sytuacji nie trzeba chyba wyjaśniać, że te „sekrety” i Anny, i Jacka dla nikogo prócz nich samych nie były tajemnicą. Co nie zmienia faktu, że biedny jajogłowy zupełnie nie spodziewał się ataku ze strony łagodnej zwykle, przynajmniej dla niego, dziewczyny. Stąd to jego niebotyczne zdumienie i gorzki wyraz w oczach, jakie pojawiły się po ostatnim wystąpieniu Anny. Zula wstała.

— Obiad był pyszny — uśmiechnęła się do Lidki.

— Dziękuję.

— Dziękuję — zabrzmiały słabo cztery głosy.

— To może przejdziemy się kawalek? — Adam nie czekając na odpowiedź wziął Zulę pod ramię i poprowadził ją w stronę pojazdu. Żywo gestykulując lewą ręką mówił coś szybko i z przejęciem, jednak tak cicho, że pozostała przy stole czwórka nie usłyszała ani jednego słowa.

— Nic nam nie powiedzieli — poskarżyła się wreszcie Lidka. Popatrzyła z wyrzutem na Marka i dodała:

— Przynajmniej ty mógłbyś być trochę mniej tajemniczy. Gdzie byłeś?

— W Instytucie — odrzekł niechętnie.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Więc jednak? — zdziwił się uprzejmie Jacek.

— Bujda! — prychnęła pogardliwie Anna.

— No i co? — Lidka przesunęła się na ławeczce, przybliżając trochę do Marka.

— Czy nie sądzisz, że zaczynamy być tutaj zbyt liczni? — zauważył Jacek ostentacyjnie obojętnym tonem. Jego oczy patrzyły w niebo ponad przeciwnym brzegiem jeziora.

— Ty w każdym razie tak! — wypaliła Lidka nie odwracając głowy.

Marek miał dość. Bolały go wszystkie kości, ale znalazł tylko jedno rozwiązanie. Zerwał się i zmusił do uśmiechu.

— Do wody! — zawołał. Puścił się biegiem ku brzegowi i po chwili opisawszy w powietrzu niezbyt udany łuk, zniknął za pomostem. W górę trysnęła prawdziwa fontanna. Tysiące kropel wody zalśniło w słońcu.

Lidka ociągając się ruszyła w kierunku pomostu. Anna także wstała i spojrzała pytająco na Jacka. Ten ściągnął wargi.

— Nie powinno się pływać po jedzeniu — stwierdził rzeczowo, co jego uroczą siostra skwitowała swoim pełnym wdziękiem: „phi!”

Słońce ukryło się za grupą kilkunastu wyższych drzew jakby ustawionych specjalnie w miejscu, gdzie w lipcowe wieczory zasypia dzień.

— Jeszcze raz wszystko obliczyłem — odezwał się półgłosem Aldam — i doszedłem do wniosku, że profesor Sponka może tu być już jutro.

Marek poczuł, że w zapadającym zmroku jego myśli stają się słoneczne i pogodne. Ojciec. Opowie o wszystkim ojcu. Kto wie co Adam naszeptał Zuli? Mama bardzo lubiła młodego Kapicę i zapewne łatwo byłoby mu ją przekonać, że działa w najlepszej wierze... cokolwiek by zrobił. Ale z ojcem nie pójdzie mu tak łatwo. Bogdan Sponka uważał Aleksandra Wielkiego Drugiego za jednego z najwybitniejszych żyjących uczonych. Kiedy się dowie, że Marek na własne oczy widział starego profesora w oplakanym stanie pod główną halą Instytutu, kiedy chłopiec mu powtórzy słowa Adama „strzelaj do wszystkiego”, kiedy opisze odgłos upadku, tam, w mroku pod galerijką...

Czy to naprawdę już jutro?

Do końca dnia Marek odpowiadał półgębkiem na zadawane mu pytania. Wbrew swemu zwyczajowi nie wybrał się wraz z innymi na ostatni wieczorny spacer. Poszedł spać.

Wicher gwałt do ziemi nie tylko smukłe brzozy i pojedyncze sosny, ale nawet krępe, rozłożyste ostrokrzewy. Nad lejkowatą wieżą Instytutu płynęły ciężkie, niskie chmury, prześwietlone ponurą czerwienią.

— Dalej nie pójdziesz! — zabrzmiał głos podobny do grzmotu.

Marek ujrzał przed sobą trzy stalowe postacie. Zagradzały wejście do głównej hali, gdzie chciał się schronić przed burzą.

W tym momencie za plecami robotów pojawiła się wychudła postać w potarganej, niebieskiej koszuli. Profesor! Uniósł wysoko rękę i pomachał nią, jakby wzywając chłopca do siebie. Nagle znieruchomiał. Obejrzał się lękliwie i zniknął. Zamiast niego przed bramą stał Adam. Zabrzmiał głośny, drwiący śmiech. Padły jakieś słowa, które jednak zagłuszył świst wiatru. Stożące przed Markiem automaty poruszyły się i zgodnie dały krok do przodu. Chłopiec cofnął się odruchowo. To znaczy chciał się cofnąć, ale przeszkodził mu potężny wicher, dmący prosto w plecy. Roboty zbliżyły się jeszcze o krok. Marek otworzył usta do krzyku, jednak nie udało mu się wydobyć głosu. Błysnęło, ale zamiast grzmotu ponownie rozległ się przerażający śmiech. Środkowy robot zamigotał jaskrawymi lampkami. Wyciągnął do chłopca swoje stalowe wysięgniki zakończone potężnymi kleszczami.

— Nie! — wrzasnął Marek, który nagle odzyskał zdolność mowy. Robot roześmiał mu się w nos. Chłopiec poczuł, że coś go dotyka, najpierw delikatnie, potem coraz silniej, jakby niecierpliwie. Wreszcie dotyk przeobraził się w brutalne szarpanie. Nie! — zapiszczała znowu ofiara stalowego potwora.

— Co znaczy „nie”?! — powiedział robot dziwnie znajomym głosem, w którym tym razem nie było nic strasznego. Burza jakby się oddaliła. — Nie „nie” — mówił ten sam głos — tylko wstawaj! Woda jak grzana... łazienka przygotowana dla jaśnie pana!

Marek z ogromnym zdziwieniem otworzył oczy i ujrzał tuż nad sobą szeroką, uśmiechniętą twarz ojca. Profesor Sponka miał na sobie jedynie spodenki kąpielowe i ociekał wodą.

Nad drzewami świeciło słońce. Gałązki jagód i trawa lśniły od rosy.

— Tato! — Marek oprzytomniał wreszcie i zerwał się na równe nogi. Składane połowe łóżeczko zaskrzypiało ostrzegawczo. — Tato! — powtórzył chłopiec padając ojcu w ramiona. Odskokczył natychmiast i wzdrygnął się.

— Brr! — zawołał, spoglądając na lśniącą od wody pierś ojca. Zrozumiał, skąd wziął się deszcz w jego śnie.

— Bogdan! — z głębi namiotu dobiegł zaspany, ale uradowany damski głos.

— Co się dzieje? — wymamrotał inny, stłumiony głos. Płachta sąsiedniego namiotu wzdęła się jak żagiel i po chwili wyjrzały z niego twarzyczki Anny i Lidki.

— Ty wariacie! — zawołała przestraszona Zula, bo profesor Sponka, wypuściwszy z objęć syna zajął się z kolei żoną. Porwał ją z łóżka i przytulił mocno do swojej zimnej i mokrej piersi.

— Do wody!

— Na wszystkich możliwych światach znam tylko jedną osobę — powiedział Adam, który wyszedł właśnie z trzeciego namiotu, okrutnie rozczochrany, ale już w spodenkach kąpielowych — zdolną do urządzenia spokojnym ludziom tak okrutnej pobudki. Dzień dobry, profesorze! — zaśmiał się. — Widocznie tam, gdzie pan ostatnio bawił, było trochę sucho. Zateśknił pan do wody? No to dalej! — zakończył wesoło.

Marek spochmurniał. Stały mu przed oczami sceny z poprzedniego dnia. Poczekaj — pomyślał ponuro — niedługo przestaniesz się śmiać...

Wybiegły Lidka i Anna, obie w kostiumach kąpielowych. Profesor Sponka przy akompaniamencie pisków i okrzyków uściskał córkę, następnie stanął przed Lidką, przekrzywił głowę i wpatrzył się z uśmiechem w piękne orzechowe oczy, pełne jeszcze snu.

— Co za dziewczyna! — powiedział zachwyconym głosem. — Marku? — rzucił nie odwracając się. — Czy ty, ciekawski, lekkomyślny młodzieńcze, zdajesz sobie sprawę, jaki skarb...

— On sobie zdaje sprawę — zapewniła ojca Anna.

Bogdan Sponka roześmiał się serdecznie.

— Moja krew! — zawołał z dumą. Lidka spuściła skromnie oczy. W tym momencie z namiotu wynurzyła się imponująca postać jajogłowego. Jacek miał na sobie swoje długie, nienagannie wyprasowane spodnie i świeżą, zielonkawą koszulę.

— Dzień dobry, panie profesorze — rzekł przymilnym tonem. Podszedł bliżej i skłonił się ociekającej wodą i ogromnie zdumionej postaci. — Bardzo się cieszę, że pan zakończył swoje tak ważne badania i przyleciał...

— A to co znowu?! — huknął Sponka, który odzyskał wreszcie głos. — Kpisz sobie z biednego tułacza?! A poza tym czy masz zwyczaj kąpać się w spodniach?

— On uważa — Lidka zachichotała cicho — że przyszły dyrektor instytutu powinien zawsze wyglądać tak, jak na posiedzeniu Rady Naukowej. Poza tym rano jezioro jest dla niego zbyt zimne, a w południe oddaje się rozmyślaniom. Z kolei jest także wrogiem kąpieli po jedzeniu...

Wysła Zula w czarnym kostiumie, który zdobił wyhaftowany wielki, pomarańczowy kwiat. Ze swoją smagłą cerą, długimi, już jako tako uporządkowanymi czarnymi włosami i zgrabną sylwetką bardziej niż kiedykolwiek wyglądała jak starsza siostra Anny. Niezbyt starsza, gdyby ktoś chciał wiedzieć.

— Co tu się właściwie dzieje?! — zawołał z udanym zgorszeniem Bogdan. — Same podlotki! Coście zrobili z moją starą żoną?!

— Nigdy nie było tu nikogo takiego — oświadczył z przekonaniem Adam. — Czy ktoś widział w ciągu ostatnich trzech tygodni jakąś starą żonę, do tego jeszcze profesorową?! — popatrzył dokoła wyzywającym wzrokiem.

Zula zaśmiała się i kokietyryjnie pogroziła mu palcem. Następnie powiedziała do Jacka:

— Zrzuć to — omiotła spojrzeniem wspaniały strój jajogłowego — i chodź z nami do wody.

Jacek odpowiedział wymuszonym uśmiechem, jeszcze raz z godnością skinął głową Sponce i oddalił się do swojego namiotu. Profesor odprowadził go osłupiałym wzrokiem, po czym spytał cicho:

— On tak zawsze?

— Nie. Na ogół jeszcze gorzej — orzekła Lidka, wzbudzając powszechną wesołość.

— Muszę z tobą porozmawiać — kiedy ucichł śmiech, Adam przysunął się do profesora.

— Błagam cię, nie teraz. Jak tu cudownie — Bogdan rozejrzał się po niebie, wierzchołkach drzew, błękitnej wodzie jeziora. — Po tej czerni, gwiazdach, sztucznej atmosferze... przez tyle dni — zaczerpnął głęboko powietrze i wyprostował się. — Ziemia... — powiedział z zadumą. — Ziemia...

Pozostali przyglądali mu się przez chwilę w milczeniu.

— Byłeś na asteroidach? — spytał wreszcie Marek.

Profesor przytaknął ruchem głowy.



— Sprawdzalem pewne obliczenia w moim „Małym Instytucie” — zaśmiał się. Był, jak wiadomo, dyrektorem Instytutu Małych Planet, ale nazywał go zawsze właśnie tak, „Małym Instytutem”, w odróżnieniu od placówki, którą kierował wielki Kapica i z którą ostatnio sam się związał. — Teraz będziemy już mogli zaczynać... — zrobił pauzę.

— Co zaczynać? — nie wytrzymała Lidka.

— Wytyczać drogę do gwiazd — odpowiedział poważnie Bogdan. — Profesor Kapica...

Marek podskoczył, jakby go coś ukaśliło.

— Tato! — zawołał — ja koniecznie muszę ci coś powiedzieć!...

Sponka spojrział ze zdziwieniem na syna.

— Cóż to za dzień! — zawołał z udaną zgrozą. — Co za powitanie! Ciągłe ktoś chce mi powierzać jakieś tajemnice. Nic z tego, moje dzieci — pokręcił głową. — Najpierw kąpiel, potem śniadanie i do roboty! Musimy zwinąć obóz i pożegnać to piękne miejsce. A może nie chcecie lecieć ze mną? — pytanie uznał widać za retoryczne, bo nie czekając na odpowiedź ciągnął: — I tak zasiedzialem się na asteroidach dłużej, niż chciałem. Profesor Kapica na pewno już się niecierpliwi. Mój statek czeka na orbicie, koło sztucznego satelity BOB-23. Zwijamy obóz i startujemy.

— Ale ja... — podjął jeszcze próbę Marek, lecz zaraz umilkł. Rozejrzał się bezradnie. Nie, to na nic. Nie było najmniejszych szans odciążenia ojca i zamienienia z nim choć kilku zdań na osobności. A przecież muszę... — pomyślał z rozpaczą.

— Czym polecimy na satelitę? — spytała rozgorączkowana Lidka.

— Macie tu zdaje się jakiś międzygalaktyczny pocisk — zaśmiał się Bogdan. — A ja wylądowałem koło leśniczówki małą jednoosobową raketką. Wezmę ją z powrotem na pokład statku. Natomiast wasz pantoplan zostanie na BOB-23 i będzie tam na was czekał. O, jest Jacek! Wreszcie wyglądasz jak człowiek! — ucieszył się lustrując wzrokiem mlecznobiałą sylwetkę w czarnych slipach. Jajogłowy odpowiedział grymasem, który od biedy można by uznać za uśmiech.

Przez najbliższe pół godziny nad jeziorem rozbrzmiewały jedynie odgłosy chlupotania, pluskania i prychania, przerywane rzadkimi okrzykami zachwytu. Dzikie kaczki zaszyły się w trzcinach i stamtąd nieśmiałym pogderywaniem dawały znać światu o swym niezadowoleniu.

— A teraz biegi! — zakomenderował Sponka, kiedy cała szóstka znalazła się z powrotem na trawiastym brzegu. — Do tamtej sosny — wskazał drzewko, rosnące w odległości stu pięćdziesięciu metrów. — Kto przybiegnie pierwszy, zostanie wodzem wyprawy na Transplutóna. Uwaga... start!

Marek biegał naprawdę dobrze. Tu i ówdzie, to znaczy bardziej tu niż ówdzie, jego ciało zdołało wprawdzie piękne, fioletowe siniaki, pamiątki po wczorajszych wzlotach i upadkach, ale poza tym był w całkiem dobrej formie. Nic więc dziwnego, że kiedy głównej grupie biegaczy, której przewodził Bogdan, pozostało jeszcze do celu jakieś piętnaście metrów, Marek okrążywszy wskazane drzewo, pędził już z powrotem w stronę obozu.

— Zbiórka załogi za minutę! — wydyszał, przebiegając obok Jacka, który starał się nadążyć za profesorem. — I proszę o dobre śniadanie dla dowódcy...

— Co to znaczy brak treningu! — wysapał chwilę później profesor, padając na ławeczkę obok Marka, który siedział już spokojnie przy stole. — Tam naprawdę nie ma gdzie biegać.

— Ktokolwiek by wygrał, i tak pan będzie szefem naszej wyprawy — stwierdził Jacek, jakby chciał dać do zrozumienia, że gdyby istniała inna możliwość, bieg zakończyłby się zupełnie inaczej.

— Tak czy owak odpowiedzialność spada na Sponkę, mniejsza czy ojca, czy syna — zaśmiał się Bogdan. — A czeka nas nie byle jaka podróż! Dwadzieścia tysięcy razy dalej niż na przykład z Ziemi na Księżyc. Bagatelka!

— Ale pan bywał już dalej — zauważył przymilnie Jacek.

Ojciec Marka zrobił bardzo poważną minę i przytaknął ruchem głowy.

— Owszem, Gdzie to ja nie bywałem, z kim nie miewałem do czynienia! Właśnie ostatnio rozmawiałem z doktorem Putilungwatantoadło z tysiąc dwieście osiemdziesiątej trzeciej galaktyki. Wracałem stamtąd miliard Jat i przyznam się wam, że wracałem niechętnie. Doktor Putilungwatantoadło ma bowiem piękne, kasztanowe włosy, i aż siedem cudownie zgrabnych nóżek...

— Dam ja ci doktora Puti coś tam — mruknęła obiecująco Zula, stawiając na stole tacę ze śniadaniem, co zostało powitane zbiorowym pomrukiem uznania. Mama Marka, chcąc uczcić przybycie męża, objęła „nadprogramowy” dyżur i śniadanie rzeczywiście wypadło olśniewająco.

— Grunt, że dostaliśmy jadło — profesor machnął ręką. — W związku z tym oszczędzę wam opowieści o innych powabach doktora Putilungwatanto... nie mogą jednak przemilczeć, że pomijając kwestię ilości nóżek, ten uczony z dalekiej galaktyki bardzo mi przypomina pewną obecną tu młodą damę... — to mówiąc Sponka zrobił oko do Lidki. Zula wybuchnęła śmiechem, a Marek skupił całą uwagę na swoim talerzu.

— Niepotrzebnie pan to mówi, profesorze — Jacek uniósł brwi i przybrał ton doświadczonego pedagoga. — Ona i tak ma przewrócone W głowie...

— Czyżby? — mruknął przybysz z asteroidów. — To dobrze — zakonkludował.

— Nie ma nic gorszego, niż kobieta z kompleksami. Na przykład zazdrość mojej żony o doktora Puti... — nie skończył, bo nad stołem śmignęła celnie wymierzona soczysta pomarańcza.

— O, proszę! — wykrzyknął, pochwycając pachnący pocisk i natychmiast ją obłupywał go ze skóry.

— Jak nie mam mieć przewrócone w głowie — zaśmiała się z lekkim przymusem Lidka zarumieniona po uszy — skoro najwięksi uczeni mówią mi takie rzeczy. Zresztą to u nas rodzinne. Jacek ma także niesłychanie wysokie mniemanie o własnej...

— Urodzie? — podchwycił ze zrozumieniem Bogdan.

— Rozumiem, rozumiem... — pokiwał z namaszczeniem głową.

— Nie! — gwałtownie zaprotestował napiętnowany. Wszyscy się roześmiali.

— Na twoim miejscu nie ufałbym zdaniu uczonych — Zula uśmiechnęła się sceptycznie do Lidki — przynajmniej pod tym względem. Zawsze zajmie ich bardziej doktor jakiś tam z siedmioma nóżkami...

— To prawda — przyznał z całą powagą profesor Sponka. — Uczeni nie są w tej dziedzinie kompetentni. Wystarczy popatrzeć na ich żony. Żenią się zawsze z najbrzydszymi kobietami w Układzie Słonecznym...

Wszyscy spojrzeli na piękną, smagłą twarz Zuli.

— Nie mam pod ręką niczego ciężkiego — oświadczyła spokojnie „najbrzydsza żona pod słońcem” — a drugiej pomarańczy nie dostaniesz. Tym razem więc ujdzie ci to bezkarnie...

— Szkoda — westchnął ułaskawiony. — Pomarańcze macie naprawdę znakomite...

— Kiedy będę dyrektorem instytutu... zaczął Jacek i ugryzł się w język.

O sekundę za późno.

— Będiesz dyrektorem? — zdziwił się uprzejmie Bogdan. — Czy naukowcem?

— Proszę! — zawołała tryumfalnie Lidka — i kto ma przewrócone w głowie?!

— Można być i uczonym, i dyrektorem — przyszedł Jackowi z pomocą Adam, który nie brał dotąd udziału w rozmowie.

— Bo ja wiem?... — profesor dyrektor Sponka pokiwał z powątpiewaniem głową. Odpowiedział mu jeszcze jeden chóralny wybuch śmiechu.

— No, dość tego obżarstwa — Adam spojrzał porozumiewawczo na profesora. — Mogę cię na chwilę przeprosić?...

Bogdan wznosił oczy do nieba i westchnął.

— Znowu? Co się stało?

— Tato! — Marek zerwał się i stanął między ojcem a Adamem. — Prosiłem cię...

— Ludzie! — krzyknął Bogdan, zasłaniając sobie obiema dłońmi uszy. — Po kolei... Czy to coś ważnego? — spojrzał na Adama.

Ten skinął głową.

— Tak.

Profesor wstał. Uśmiechnął się przepaszająco do syna i powiedział:

— Zaczynajcie zwijać obóz. My zaraz się do was przyłączymy. Chodź, Adam... — skinął na młodego naukowca i odeszli razem, kierując się w stronę lasu.

Marek patrzył za nimi z zasepioną twarzą. Żeby nie wiem co — postanowił sobie w duchu — porozmawiam z ojcem przed startem. A jeśli nie, to po powrocie z Transplutona przyjadę prosto tutaj. Powiem, że czegoś zapomniałem...

Nagle uderzyła go nowa myśl. A jeśli tam na krańcach Układu Słonecznego powita ich najspokojniej... profesor Kapica? Pomimo że był także tu, w opuszczonym Instytucie? Może. Adam inaczej rozegrał swoją ponurą partię, niż to sobie Marek wczoraj wyobraził? Był jeszcze bardziej przebiegły? Nie tylko uprowadził słynnego uczonego z Transplutona, ale podstawił tam równocześnie jego sobowtóra? A więc miał współnika? Więc to był spisek?

Chłopiec zamknął na moment oczy, tylko po to, żeby zaraz je otworzyć i wzruszyć ramionami. Nonsens — omal nie powiedział tego na głos. Wspólnicy, spisek, wszystko po to, by umożliwić Adamowi połączenie się z jego szalową blondynką, w wypadku gdyby zgodnie z tezą Marka profesor Kapica postanowił zrezygnować z pomocy swego stryjecznego wnuka i asystenta? Zupełna bzdura. Nie, trzeba koniecznie powiedzieć ojcu.

Powziąwszy to niewykonalne na razie postanowienie, chłopiec otrząsnął się ze swoich myśli iabrał wraz z innymi do roboty przy zwijaniu obozu.

Kiedy Adam i ojciec Marka wrócili, po biwaku pozostały już tylko ślady. Ani jeden, ani drugi nie odzywali się słowem. Pomogli przy likwidacji kuchni, stołu i ławeczki oraz spaleniu śmieci w specjalnym promienniku. Następnie wszyscy przystąpili od razu do przenoszenia bagażu. I Bogdan, i młody Kapica sprawiali wrażenie pogrążonych w myślach. Na nieliczne pytania odpowiadali monosylabami i nie zawsze przytomnie. Widać było, że bardzo im się spieszy.

W pewnej chwili Marek zdecydował się. Podeszedł do ojca i dotknął jego ramienia.

— Wiem, wiem — zamruczał profesor, nie patrząc synowi w oczy. — Mówił mi Adam, że nie wytrzymałeś i wybrałeś się do Instytutu. Nie powinieneś być tego robić...

— Tato — w głosie Marka zabrzmiała desperacja — ja muszę ci powiedzieć. Tam jest Kapica — szepnął, przytykając usta do ucha ojca.

— Co? — spytał z roztargnieniem Bogdan. — Ach tak, Kapica. Wiem, wiem. Właśnie do niego lecimy.

Marek jęknął. Dalsze próby wtajemniczenia ojca w spisek, uknuty przeciwko słynnemu profesorowi, uniemożliwiło mu pojawienie się Adama.

— Powiedziałeś im już? — spytał, patrząc przenikliwie na chłopca.

Marek otworzył usta, żeby udzielić jakiejś piekielnie chytrej odpowiedzi, ale

okazało się, że pytanie nie było skierowane do niego.

— Nie — rzekł ojciec. — Ale zaraz powiem. Słuchajcie! — zawołał głośno, żeby wszyscy mogli go usłyszeć — zmieniliśmy trochę plany. Ja polecę pierwszy. Przygotuję bramę tryumfalną na wasze przyjęcie — usiłował się uśmiechnąć, ale rozciągnął tylko usta, — jakby udawał żabę, co wcale nie wyglądało śmiesznie. — W każdym razie... no... i... — profesor zająknął się — więc ja wystartuję teraz, a wy za jakieś pół godziny. Adam zna tor i hasło wywoławcze BOB-23. Tak... To byłoby wszystko. No to — rozejrzał się niezbyt przytomnie — na razie! — pomachał im na pożegnanie i już go nie było.

Marek odprowadzał znajomą sylwetkę osłupiałym wzrokiem. Po raz pierwszy w życiu złapał ojca na kłamstwie. A więc sprawy zaszły aż tak daleko? Adam opowiedział jakąś bajeczkę, a profesor Sponka uwierzył. Uwierzył tak samo jak przedtem Zula. Przeżywał męki wyjaśniając rzekomy powód swojego wcześniejszego startu, ale zadał sobie ten gwałt, i to w najlepszej wierze. Co takiego wymyślił Adam? Ile powiedział ojcu i jak uzasadnił swoje postępowanie, że ten, nieświadom prawdziwych celów Kapicy juniora, jeszcze mu pomagał? Bo przecież nie ulegało wątpliwości, że niespoziwany wcześniej odlot ojca wiąże się z tym, co usłyszał. Ale dlaczego ojciec wystartował przed nimi? Co nielojalny asystent chciał w ten sposób osiągnąć?

Chmura, spowijająca myśli chłopca, stała się czarna i ciężka. Niemożliwe, żeby Adam namówił ojca na coś, co byłoby wymierzone przeciw słynnemu uczonemu. Niemniej Aleksander Wielki Drugi pozostanie bez pomocy w opuszczonym Instytucie. Kto zajął jego miejsce na Transplutonie?

Przekonamy się — pomyślał Marek zaciskając pięści. Na miejscu łatwiej będzie zdekonspirować oszusta. I przekonać ojca. Wtedy wrócą od razu po prawdziwego Kapicę.

Na polance koło pantoplanu stał łazik leśniczego Romejki. On sani czekał oparty o burłę. Kiedy ujrzał nadchodzących, przywitał ich uśmiechem.

— Przyszedłem się pożegnać — powiedział. — Odprowadziłem także profesora Sponkę i jego załogę. Warn będzie wygodniej — poklepał dłonią pancerny pantoplanu. — Nie to co tamta zabaweczka. Ledwie się zmieścili...

— Nie lecimy daleko — Zula odpowiedziała uśmiechem sympatycznemu leśniczemu. — Na orbicie czeka na nas duży statek mojego męża. Będziemy podróżować w luksusowych warunkach.

— Do widzenia panu — Anna także uśmiechnęła się do Romejki. — Bardzo tu pięknie u pana. Na pewno będziemy wracać nad nasze jezioro...

— Kiedy będę dyrektorem instytutu, zbudujemy tutaj pomnik na pamiątkę budowniczych pierwszego poligonu doświadczalnego — złożył oświadczenie Jacek. — Mnóstwo ludzi będzie do pana przyjeżdżać.

— Tylko nie to! — zaśmiał się leśniczy. — Zresztą, na szczęście, cały teren mojej puszczy łącznie z dawnym Instytutem ma być rezerwatem.

— Ale nas pan nie wyrzuci? — spytała przymilnie Lidka, przekrzywiając kokieteryjnie główkę.

— Zawsze znajdę dla was ładne i ciche miejsce — odpowiedział Romejko, patrząc z przyjemnością w orzechowe oczy dziewczyny. — O ile wy sami nie zapomnicie o moim lasku...

— Nigdy! — zapewnił go gorąco chór niedawnych obozowiczów.

— No, kochani — Adam spojrział na zegarek — czas na nas. Pół godziny minęło. Do widzenia — pomachał ręką leśniczemu, po czym otworzył pancerny, owalny wąż pojazdu i zniknął w jego mrocznym wnętrzu. Chwilę później usłyszeli cichy, wysoki szum. Ruszyły silniki.

Czy to możliwe — myślał gorączkowo Marek — żeby nikt nie zwrócił uwagi na to, co powiedział Romejko? „Odprowadziłem profesora i jego załogę”... A potem dodał jeszcze: „ledwie się zmieścili”...

Kto był z ojcem? Kto przywita ich, nie na Transplutonie, ale zaraz, za kilka minut, kiedy spotkają się w rakiecie dalekiego zasięgu, którą Bogdan wrócił z asteroidów?...

Marek zamyślił się głęboko.

— Jeśli masz zamiar zostać — dobiegł go przytłumiony głos Zuli, już z głębi pojazdu — to poproś pana Romejkę, żeby cię stąd zabrał. Nie wolno stać tuż koło startującego pojazdu...

Chłopiec podskoczył. Jednym susem dopadł wjazdu. Zapomniał nawet pomachać poczciwemu leśniczemu, którego pojazd oddalał się pozostawiając za sobą delikatny obłoczek pyłu. Polana była piaszczysta.

— Trzy... dwa... jeden... zero... — odliczał monotony głos małego, pokładowego komputera. Marek pośpiesznie wciągał na siebie skafander. Niebawem trzeba się będzie przesiąść. W przestrzeni można to robić tylko w kompletnych próżniowych ubiorach.

## 5. Ostrzeżenie specjalne

Zielona nitka na ekranie szybkiego radaru przemieściła się w prawo, po czym zatoczyła ciasny łuk. W rzeczywistości ta nitka, która wskazywała kierunek do BOB-23, stała cały czas nieruchomo. To tylko pantoplan przystąpił do manewrów poprzedzających spotkanie z inną jednostką.

Sztuczny satelita był już blisko. Za iluminatorami widniała jego pajęcza konstrukcja, oświetlona blaskiem potężnych reflektorów. Marek przytknął nos do szyby i patrzył ciekawie. Nagle widok przesłoniła jakaś czarna masa, wyrosła tuż za owalnym okienkiem.

— Zderzenie! — krzyknął chłopiec odruchowo odskakując od iluminatora. Odpowiedział mu cichy śmiech Adama.

— Tak — potwierdził młody naukowiec nie odwracając się od pulpitu sterowniczego — zderzenie. Właśnie taranujemy statek profesora Sponki...

Dziewczęta zachichotały. Jacek mruknął coś niezrozumiale i pokiwał z politowaniem głową.

Marek w milczeniu przesunął się z powrotem bliżej okienka. Nie popisał się jako (bywalec kosmosu. Powinien był zdać sobie sprawę, że pantoplan już dobrą chwilę temu wytracił szybkość niemal do zera. Ale gdyby ta rozchichotana gromadka wiedziała to co on... i gdyby na przykład pod jajowatą czaszką brata Lidki kłębiły się równie ponure myśli...

— Zero i zero — powiedział Adam. — Co u ciebie, profesorze?

— Witajcie — popłynął z głośnika dźwięczny baryton Bogdana Sponki. — Zapraszam na obiad. Krem pieczarkowy, paszteciki, zrazy a la Saturn, sałatka słoneczna, lody po ganimedzku i mrożona cola. Czym chata bogata...

— Czy nie dałoby się jakoś przyspieszyć tej przesiadki? — zainteresowała się żywo Lidka.

— Tak, właśnie?... — podchwyciła ochoczo Zula. Anna znowu zachichotała.

Wesoło im — przemknęło przez myśl Markowi. Nie da się jednak ukryć, że przerażająca tajemnica, jaką chował w sobie chłopiec, nie przeszkodziła mu powoli i dokładnie przejechać językiem po wargach.

— Moja rakietka jest jeszcze na zewnątrz — mówił dalej profesor Sponka już poważniejszym tonem. — Spieszyłem się, żeby wszystko przygotować na wasze przyjęcie i nie zdążyłem zamknąć jej w ładowni. Dlatego musicie trochę uważać, kiedy będziecie przeskakiwać do statku. Jej dysze napędowe wydzielają silne szczątkowe promieniowanie...

Znowu jakieś szczątkowe promieniowanie — pomyślał z ironią Marek.

— No, dzieci, wysiadać — Adam podniósł się z fotela pilota i wyprostował. — Opuszczamy pantoplan. Potem satelita sam wprowadzi go na odpowiednią orbitę, a kiedy wrócicie, podstawy go wam z powrotem. Żegnaj, poczciwy gruchocie — zaśmiał się. — Witajcie gwiazdy!...

Gwiazd było miliony milionów. Kiedy po sprawdzeniu szczelności skafandrów i po krótkim pobycie w służbie chłopiec stanął wreszcie w otwartym włazie, ujrzał dokoła jakby czarnogranatowe nieskończone pole, na którym jak okiem sięgnąć rozkwitają świecące białozłote i złotoczerwone kłosa pszenicy. Tylko wokół sztucznego satelity gwiazdy ginęły w blasku reflektorów, a nieco w dole zasłaniała je nieregularna plama czerni. Statek ojca. Ta plama była przekłuta jednym nikłym światełkiem, oznaczającym otwarty gościnnie właz wielkiej rakiety.

— Jacek idzie pierwszy — usłyszał w słuchawkach umieszczonych wewnątrz

kasku głos Adama. Wezwany odbił się trochę niezgrabnie od progu śluzy i dał nura w czarną pustkę.

— Pistolet! — upomniała przyszłego dyrektora Zula.

Niknąca w mroku postać w białym skafandrze dała o sobie znać fioletowym ognikiem. Posługując się pistoletem gazowym, którego odrzut popędzał ciało zawieszzonego w przestrzeni człowieka w pożądanym kierunku, Jacek zmierzał prosto ku czekającemu statkowi. Po Jacku tę samą drogę odbyły Anna i Lidka. Kiedy przyszła kolej na Marka, chłopiec zawahał się przez moment. Nie dlatego żeby droga przez próżnię budziła w nim lęk. Przeciwnie, uwielbiał takie swobodne żeglowanie pod gwiazdami, czy lepiej wśród gwiazd. Ale żał mu było tego widoku, tej nie osłoniętej przestrzeni bez kresu, która choć tak ogromna, pełna najdziwniejszych zagadek, wybuchających słońc, świecących i czarnych obłoków, jednak ulegała powoli ludziom, stawała się dla nich drogą wiodącą ku coraz dalszym galaktykom i tajemnicom.

— No, hop! — usłyszał za sobą wesoły okrzyk Zuli. Wtedy westchnął i zrobił ten jeden krok, który pilotów ery kosmicznej tak często prowadzi od świata Ziemi, którego częścią jest przecież każda rakietka — do świata gwiazd.

Właz wielkiego, pokrytego czerwonym pancerzem statku osiągnął bez kłopotów. Chwilę tylko zmarudził, kiedy zza burty opuszczonego już przez wszystkich pantoplanu wyłoniła się Ziemia. Jeziora, lasy, morza i góry starej ojczyzny są bardzo piękne. Ale prawdziwą wartość Ziemi można ocenić dopiero tutaj, kiedy ukazuje się jako cudowna, kolorowa, opalizująca kula, przypominająca dzieło natchnionego rzeźbiarza.

Marek westchnął ponownie, tym razem z najczystsze zachwyty, po czym już bez dalszej zwłoki wpłynął do śluzy ojcowskiego statku. Zaraz za nim wylądowała Zula, a po niej Adam. Wtedy nad włazem, zapłonęła pomarańczowa lampka. Kłapa zamknęła się, przylgnąwszy szczelnie do pancerza. Czekali jeszcze chwilę, zanim śluza wypełni się powietrzem. Wreszcie pomarańczowe światełko zgasło, a na jego miejscu ukazało się zielone. Wtedy otworzyły się drzwi prowadzące do wnętrza statku.

Wszyscy pozbywali się swoich ciężkich, próżniowych strojów, jedynie Adam nie zdjął nawet kasku. Za przezroczystą osłoną widać było jego dziwnie poważną, skupioną twarz. Marek posłał mu kosę spojrzenie. Czy młody Kapica znowu coś knuje?...

— Na co czekasz, Adam? — spytała Zula, wygładzając swój błękitny, lekki kombinezon, który miała pod skafandrem. — Nie interesuje cię powitalny obiad Bogdana?

— Owszem — mruknął zagadnięty. — Ale przyjdę trochę później. Musimy sprowadzić raketkę profesora na pokład... inaczej nie moglibyśmy wyruszyć. A przecież każda chwila jest droga. Zjemy, kiedy statek będzie już w drodze...

— Masz ci los — użaliła się Lidka. — A tak się ładnie zaczęło...

— Będzie ładnie i potem — uspokoił ją z uśmiechem Adam. — To nie potrwa długo...

Co oni będą robić z tą raketką? — zadał sobie w duchu pytanie Marek. — Przecież ojciec mógł ją z powodzeniem sam ulokować w ładowni.

W tym momencie przypomniał sobie, że leśniczy Romejko mówił o „załodze” profesora Sponki.

W ładowni nie ma powietrza. Nie można także przejść z niej do mieszkalnej części statku. W razie potrzeby automaty same przygotowują pomocnicze pojazdy do drogi, wyprowadzają je i podstawiają pod właz osobowy. A więc?... Nie, żeby nie wiem, co, musi zobaczyć na własne oczy wprowadzanie tej raketki na pokład i przekonać się, dlaczego Adam chce koniecznie asystować ojcu przy tej czynności.

Przeszli wygodnym korytarzem i przez otwarte, przezroczyste drzwi wkroczyli do obszernej kabiny. Było to największe pomieszczenie na statku, jadalnia, salon wypoczynkowy, a także miejsce pracy nawigatorów, o czym świadczyły umieszczone pod ścianami wąskie pulpity. Pośrodku stał owalny stół otoczony fotelami.

— Rozgoście się — powiedziała Zula.

Mama Marka pracowała wprawdzie na Ziemi, ale towarzyszyła mężowi w wielu kosmicznych podróżach i była za pan brat ze wszystkimi możliwymi statkami. Sama posiadała licencję pilota czwartej klasy, co upoważniało ją do samodzielnych lotów w całym Układzie Słonecznym, z wyjątkiem strefy między Słońcem a Merkurym, i to ona właśnie miała pilotować statek stacji badawczej, którym po krótkiej wizycie cała gromadka z wyjątkiem Bogdana i Adama będzie wracać na Ziemię.

— To są pulpity sterownicze komputera — dodała po chwili, widząc, że dzieci przyglądają się ciekawie zainstalowanym pod ścianami aparatom. — Stąd kieruje się poszczególnymi sekcjami głównego „mózgu” statku i obserwuje wyniki ich pracy na tych ekranach

— pokazała prostokątne, oszklone okienka poświęcające blado nad każdym z pulpitów. — W pokładowym języku sala nosi nazwę nawigatorni — ciągnęła. — A tutaj jest kabina pilotów — spojrzała w stronę drzwi po przeciwnej stronie korytarza. Te drzwi były także otwarte. Za przejściem, nad ogromnymi fotelami ciągnęły się tam półkoliste wielkie ekrany, widać było grube, kolorowe kable, rozmaite skomplikowane urządzenia, setki sygnalizacyjnych lampek i wskaźników.

Stamtąd wszedł do nawigatorni profesor Sponka.

— Prosimy, prosimy — powitał przybyłych. — Niestety — zaśmiał się — co do obiadu, to obawiam się, że zbyt wcześnie narobiłem wam apetytu...

— Coś bym zjadła... — nie wytrzymała Lidka, posyłając gospodarzowi najpiękniejszy ze swoich uśmiechów. Ojciec Marka zrobił skruszoną minę. Był w próżniowym skafandrze, tak samo jak Adam, tylko bez—kasku, który trzymał pod pachą.

— Bardzo głodni — mrugnął do Lidki — mogą już zaczynać. — Tylko chwilowo będziecie musieli się obsługiwać sarni. Muszę jeszcze wyjść, żeby umieścić w grodzi ładunkowej moją raketkę. Adam mi pomoże, więc za pięć minut będziemy z powrotem. Ale proszę

— wskazał nakryty zgodnie z zapowiedzią stół — nie chciałbym nikogo narażać na śmierć głodową. Byłby to pierwszy tak haniebnny wypadek na statkach naszych Instytutów...

— Poczekamy — zgodziła się wielkodusznie Lidka.

— Co do mnie — Zula omiotła fachowym spojrzeniem apetycznie wyglądające pojemniki — niczego nie obiecuję...

W kasku, który Bogdan nadal trzymał pod pachą, coś zaburczało.

— Tak, już — powiedział twórca powitalnego obiadu. Marek odwrócił się. W drzwiach korytarza stał Adam. Oczywiście mając na głowie próżniowy hełm mógł porozumiewać się z innymi tylko przez radio. Jednak z tych innych jedynie ojciec miał przy sobie słuchawki, wprawdzie nie na skroniach, ale dostatecznie blisko, żeby usłyszeć, co mówi młody asystent. Zapewne Adam nalegał, żeby poszli już załatwić te jakieś dziwne sprawy, dotyczące raketki i jej „załogi”.

Kiedy Adam wraz z profesorem Sponką zniknęli w korytarzu, Marek spytał głośno:

— Gdzie tutaj jest łazienka?

Zula otworzyła usta, ale ubiegł ją Jacek.

— Na statkach tego typu — zaczął z namaszczeniem — odpadki trafiają do stacji filtrów, gdzie są oczyszczane i kierowane do zbiorników. Dlatego wszystkie



pomieszczenia, w których powstają zanieczyszczenia, są zlokalizowane obok siebie, w pobliżu centralnego ciągu przepompowni. A ponieważ łazienka należy do takich właśnie pomieszczeń...

— Łazienka jest w połowie korytarza — zdołała wreszcie wtrącić się Zula.

Że też on nie potrafi dwóch słów powiedzieć po ludzku... — uznała za stosowane dorzucić Lidka.

— Jeśli ktoś posiadający kartę pilotażu, którą się zresztą chwali na prawo i ma lewo, musi pytać, gdzie na statku jest łazienka, to nie zasługuje, żeby mu odpowiadać po ludzku... — zauważyła chłodnym tonem Anna. Jacek spojrzał na nią przychylnym wzrokiem i skłonił z uznaniem głową.

W innej sytuacji Marek z pewnością nie byłby pozostawił tych słów bez odpowiedzi. Teraz jednak miał ważniejsze sprawy na głowie. Wiedział doskonale, gdzie należy szukać łazienki. Spytał specjalnie, i to tak głośno jedynie po to, żeby obecni przyjęli jego odejście jako coś naturalnego i nie dziwili się, że go nie ma. Nie pisnawszy słówkiem, okręcił się więc tylko na pięcie i ruszył w ślad za ojcem i Adamem.

Zaraz za drzwiami przyspieszył. Minął szereg wejść do kabin pasażerskich, łazienki, salkę z aparaturą medyczną i znalazł się w miejscu, gdzie od korytarza odchodziły dwie wąskie odnogi. Lewa biegła w dół, ku maszynowni, prawa natomiast prowadziła na wyższy pokład, gdzie między innymi znajdowała się cała aparatura łączności i główne zespoły komputera.

Bez wahania skręcił w prawo i po chwili piął się już wąskimi kręconymi schodkami. Mógł skorzystać z windy, ale bał się zwrócić na siebie uwagę. A nuż ojciec i Adam zechcą także coś lub kogoś przetransportować na wyższe piętro?

Dotarł do niskiego, trójkątnego przedsionka z trzema pancernymi drzwiami. Jedne z nich prowadziły do bloków komputera. Na wprost znajdowało się wejście do podręcznego magazynu. Trzecie były otwarte i te właśnie wybrał chłopiec. Wszedł do zupełnie ciemnego wnętrza i najpierw starannie zamknął za sobą drzwi, a następnie bardzo ostrożnie zaczął posuwać się po omacku przed siebie. Niebawem poczuł pod nogą stopień. Nad nim był następny. Nie namyślając się długo, zaczął powoli wchodzić pod górę, aż stanął na czymś w rodzaju stalowej platformy. Przed nim w ścianie statku widniał owalny iluminator, za którym była granatowoczarna próżnia i gwiazdy. Przytknął nos do szyby. Na razie nie widział nic, lecz po chwili wyłowił z mroku kontury rakiety ojca, niemal tuż za iluminatorem. Okrągły właz stateczku przypominający pokrywę staroświeckiej Studni, był uchylony. I akurat w momencie kiedy wzrok Marka oswoił się z ciemnością na tyle by rozróżnić kształty przysłaniające gwiazdy, w tym właśnie ukazała się czyjaś głowa. W pojedynczej smudze małego reflektora umieszczonego zapewne na kasku kogoś, kto znajdował się jeszcze wewnątrz rakiety, chłopiec rozpoznał za przeźroczystą szybą hełmu twarz Adama.

Młody naukowiec wystawił głowę ze stateczku i natychmiast cofnął ją z powrotem. Akurat w tej chwili zmieniło się wzajemne położenie statków i sztucznego satelity. Rakietka ojca stanęła w blasku potężnych reflektorów BOB-23. Gdyby Marek szukał przez miesiąc, nie mógłby wybrać lepszego punktu obserwacyjnego.

Kask Adama ukazał się znowu. Tym razem jednak młody Kapica nie zatrzymał się we włazie. Wyplął w przestrzeń i balansując ciałem odwrócił się do góry nogami. Oczywiście tak naprawdę „górze” i „dół” to są słowa, które w próżni nie mają żadnego znaczenia.

Adam jedną ręką przytrzymał się teraz krawędzi włazu, a drugą sięgnął do wnętrza. Po chwili zaczął się powoli prostować, ciągnąc za sobą...

Marek wstrzymał oddech. Wszystkie włosy zjeżyły mu się na głowie, a całe ciało

pokryła gęsia skórka. Przez moment myślał, że zasnął i znowu śni mu się coś koszmarnego. Ale to nie był sen.

Adam ciągnął za włosy jakiegoś człowieka. Człowieka bez kasku. Te włosy były bujne i zmierzwiłone. Ukazała się chuda, straszliwie biała w świetle reflektorów twarz. Dalej cienka szyja i ramiona. Rozpięta na piersi niebieska koszula...

Chłopiec poczuł, że na czoło wystąpiły mu kropelki zimnego potu. Już wiedział. Ten odgłos upadku wtedy w Instytucie, pod tarasem, na którym stały roboty. Przecież żywy człowiek nie może podróżować przez próżnię bez skafandra. Czyli że profesor Kapica, słynny Kapica nie żył. A sprawcą jego śmierci był Adam. Natomiast świadkiem strasznego czynu stryjecznego wnuka i asystenta Aleksandra Wielkiego Drugiego był nie kto inny jak on sam, Marek.

Za Adamem i przerażającą postacią profesora ukazała się tkwiąca w próżniowym kasku głowa Bogdana Sponki. Marek pamiętał przecież, kto przyleciał tutaj tym stateczkiem z, jak to nazywał pocziwy Romejko, „załogą”, a potem wyruszył z Adamem dokonać wprowadzenia rakiety do grodzi ładunkowej, ale po prostu nie przyjmował dotąd do wiadomości, że ojciec wie.

Na jedną krótką chwilę chłopiec oderwał nos od szyby iluminatora. Z jego piersi wyrwało się podobne do jęku westchnienie. Oczywiście, że ojciec nie bierze udziału w żadnym spisku, wymierzonym przeciw profesorowi Kapicy. Ale obawy Marka znalazły potwierdzenie. Bogdan dał się zwieść jakimś bajkom opowiedzianym przez Adama.

Biedny tata, nie przypuszczając, by asystent słynnego Aleksandra mógł się dopuścić najmniejszej nielojalności względem swojego wielkiego krewnego, przyjął za dobrą monetę wszystko, co od Adama usłyszał. Co to mogło być? No cóż, ostatecznie wystarczyłoby chociażby zmyślić historię o nagłej chorobie profesora, w wyniku której ten ostatni nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, przyleciał na Ziemię i ukrył się w starym Instytucie, gdzie pozbawiony opieki i pomocy umarł. I dodać, że lepiej będzie przetransportować jego zwłoki z powrotem na Transplutona, żeby tam pochować twórcę teorii szybkich lotów, oraz że trzeba to zrobić w tajemnicy przed Zulą i dziećmi, by oszczędzić im przykrej świadomości, że podróżują z nieboszczykiem. Przecież profesor Sponka przyleciał nad jezioro bezpośrednio z kosmosu i mógł nie słyszeć komunikatu o zaginięciu starego Kapicy. Zresztą załoga Instytutu Planet Granicznych nie musiała w ogóle nadać takiego komunikatu. Należało się przecież liczyć z tym, że wiadomość o zniknięciu jednego z najsłynniejszych uczonych zelektryzuje cały świat. Może mieli nadzieję, że odnajdą go własnymi siłami?

Marek pokiwał głową. Tak, to możliwe...

Nie. Niemożliwe — pomyślał z rozpaczą. Ojciec już po rozmowie z Adamem poganiał ich, mówiąc, że nie powinni pozwolić czekać na siebie profesorowi Kapicy tam, na Transplutonie. A przecież nie kłamałby tak naiwnie, wiedząc, że niebawem oni wszyscy wylądują w stacji Instytutu i poznają prawdę.

Cała ta historia nie trzyma się kupy.

Pozostają fakty. Faktem jest ponury orszak ciągnący przez próżnię, tam za iluminatorem, w świetle reflektorów sztucznego satelity.

Nagle Marek, który z powrotem przywarł twarzą do szyby, ujrzał coś, co swoją okropnością przewyższało wszystkie dotychczasowe widoki i domysły. Człowiek bez skafandra, wędrujący w temperaturze niemal absolutnego zera przez niemal absolutną próżnię, poruszył ręką. Koszmarne przywidzenie? Nie. Prawa ręka nieboszczyka wleczonego do statku uniosła się powoli, ruchem charakterystycznym dla stanu nieważkości. Otwarta dłoń przygładziła szpakowate włosy na skroniach, jakby trup przygotowywał się na spotkanie z kimś, na kim postanowił wyrzucić korzystne

wrażenie. W następnej chwili cała trójka zniknęła z pola widzenia chłopca, wpływając za rufę statku, gdzie czekał na nią otwarty właz.

Tego było już za wiele. Marek wydał dziwny zdławiony okrzyk i rzucił się w powrotną drogę ku drzwiom. Zapomniał jednak o stopniach. Stracił równowagę i z przeogromnym łomotem zjechał na podłogę, na szczęście wyłożoną grubą, mięsistą masą.

Siedział jeszcze próbując pozbierać nie tyle sponiewierane ciało, ile myśli, krążące pod czaszką w jakimś oszalałym z pośpiechu diabelskim kole, kiedy tuż za drzwiami usłyszał podejrzany szelest. Odruchowo przesunął się do tyłu i przykucnął za schodami prowadzącymi na platformkę, którą przed chwilą opuścił w tak błyskawicznym tempie. Dosłownie dwie sekundy później drzwi z korytarza stanęły otworem. Do komórki wpadł snop ostrego światła. Oślepiiony chłopiec na próżno usiłował odgadnąć, czy ten blask wydaje latarka przytwierdzona do kasku Adama czy ojca. Jednak nawet gdyby to rzeczywiście ojciec wszedł jako pierwszy, ani miejsce, ani pora nie pozwalały na składanie bądź przyjmowanie jakichkolwiek wyjaśnień. Skulił się więc tylko jeszcze bardziej i siedział jak mysz pod miotłą.

Mężczyzna w kasku usunął się, oświetlając twarz kogoś, kto szedł za nim. Ta twarz była Markowi znana, i to aż za dobrze. O wiele za dobrze, w każdym razie jak na to, żeby mogła należeć do człowieka żywego.

Osobnik w niebieskiej koszuli i spodniach, tych samych, w których chwilę temu bez skafandra podróżował przez próżnię, absolutnie nie zachowywał się jednak jak nieboszczyk. Można powiedzieć, że wręcz przeciwnie. Wykonał kilka pośpiesznych kroków, jakby go ktoś lekko popchnął w plecy. Rozległ się jakiś nieokreślony pomruk. Tego dźwięku nie mógł wydać ani Adam, ani ojciec, ponieważ obydwaj mieli jeszcze na głowach kaski, a Marek ze zrozumiałych powodów nie wybrał się do łazienki ze słuchawkami. Z pewnością jednak coś do siebie mówili, chociaż widać było, że realizują plan już przedtem przedyskutowany i uzgodniony. Inaczej nie uwinęliby się tak szybko. Zaledwie bowiem profesor Kapica znalazł się w pomieszczeniu, zajęтым wcześniej przez Marka, drzwi zatrzasnęły się z głuchym łomotem i nastąpiła cisza.

Chłopiec siedział nadal jak trusia, wlepiając oczy w nieboszczyka, który nagle ożył. A raczej w tę nieco jaśniejszą plamę, jaką jego niebieska koszula odcinała się od panujących w komórce ciemności.

Był zbyt wstrząśnięty obecnością tej plamy, by ocenić całą niezwykłość pechowego przypadku, który sprawił, że ze wszystkich pomieszczeń całego wielkiego statku ojciec i Adam wybrali akurat tę samą co on ślepą komórkę, aby w niej umieścić niesamowitego gościa czy... więźnia.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Nagle uszu Marka dobiegł lekko zachrypły chichot, który w najzwyczajniejszych warunkach, w blasku zwykłego ziemskiego dnia, mógł przerazić największego śmiałka. Co dopiero tutaj!

Chichot umilkł i rozległ się spokojny, choć dość cienki głos:

— A ty co tutaj robisz?

Gdyby wszystkie gwiazdy zwały się chłopcu na głowę, wrażenie nie byłoby większe. Ale gwiazd nie było widać. Co gorsza, oprócz samego Marka nie było widać nikogo, do kogo mógł mówić zmartwychwstały profesor Kapica.

— Dlaczego się nie odzywasz? Co tam porabiasz za tymi schodami? A w ogóle, to byłbym ci wdzięczny za informację, gdzie właściwie jesteśmy?

Zagadnięty nadal starał się robić wrażenie, że go tutaj nie ma. „Starał się” to może nie najwłaściwsze określenie. On po prostu czuł się tak, jakby go nie było. Nie tylko tutaj, ale w ogóle nigdzie.

Jaśniejsza plama poruszyła się niecierpliwie.

— Przecież widzę, że tam siedzisz!

Chłopiec zdecydował się otworzyć usta. Potrzymał je chwilę otwarte, po czym postanowił wykorzystać ten fakt i przemówić. Pierwsza próba wypadła fatalnie. Zupełnie jakby w jego gardle zamieszkał stary świerszcz cierpiący na koklusz.

— Co? — zdziwił się niebieski.

Marek zdecydowanym ruchem sięgnął do brody i przytrzymał ją palcami. Nie uszło jego uwagi, że te palce wykonują jakieś dziwne ruchy, jakby każdy z nich żył swoim własnym życiem. Za to broda wraz z dolną szczęką utrzymywała teraz jako tako stałą pozycję.

— Przeprzećcież je jest ciciemno — stwierdzenie tego oczywistego faktu wypadło jednak jakoś nieprzekonująco.

— Żyjesz — zachichotał znowu były nieboszczyk. — A już myślałem, że posadzili tam jakiegoś zepsutego robota.

W tym momencie Markowi zaświtała pewna myśl. Niestety, przejęty swoją sytuacją, nie zdołał jej poświęcić tyle uwagi, na ile zasługiwała. Szkoda, bo w przeciwnym razie sam, i to już teraz, rozwiązałby całą zagadkę. No, powiedzmy, niemal całą. Ale za to z pewnością zapobiegłby czemuś, co omal nie doprowadziło do zagłady... ale nie uprzedzajmy wypadków.

— Co pan tu robi? — udało mu się zadać pytanie. O dziwo, głos, który wypłynął z jego krtani, brzmiał prawie normalnie. Gdyby jeszcze nie ta broda i palce...

— Lecę do siebie.

Aha. Leci do siebie. Pewno, że do siebie. Jakie to proste.

— Ale dlaczego tutaj... w tej komórce? — spytał niesłuchanie chytrze Marek.

— Ty także wybrałeś sobie właśnie tę komórkę — odpowiedział zmartwychwstały profesor, po czym zachichotał znowu. — I nie dziw się, że cię zobaczyłem, chociaż jest ciemno. Jestem wyposażony w specjalną aparaturę. Promienie ultraczzerwone, rozumiesz? Nie rozumiesz — odpowiedział sam sobie. — No, nic... poczekaj no — zmienił nagle ton i umilkł.

Nad ich głowami, jakby na tej platformie, na którą prowadziły strome schodki, rozległ się nieco zniekształcony głos mężczyzny.

— ...dla rejonu Wielkich Planet — mówił nieznajomy. — Wiatr słoneczny w normie. Promieniowanie poniżej wielkości krytycznych. Na całej przestrzeni nie zaobserwowano meteoroidów pozaukładowych. Uwaga. Ostrzeżenie specjalne dla statków, znajdujących się na granicznych orbitach Układu Słonecznego...

— Do licha! — krzyknął profesor Kapica. — Nadają komunikat! Muszę... — nie skończył.

Marek usłyszał dudnienie szybkich kroków na żelaznych schodach. Jaśniejsza plama przed nim zniknęła jak zdmuchnięta.

— ...ekipa Instytutu Planet Granicznych przeprowadzająca eksperyment w rejonie Transplutona ostrzega...

Coś trzasnęło, rozległ się zgrzyt, jakby ktoś przeciągnął nożem po szkle, i głos nieznajomego mężczyzny czytającego komunikat dla pilotów nagle umilkł. Równocześnie z góry dobiegło westchnienie ulgi.

— Teraz wiem, że dolecimy! — zadudnił głucho głos profesora. — No cóż, niezbyt tu wygodnie... zwłaszcza dla kogoś takiego jak ty, ale damy sobie radę. Prawda?

Chłopiec nie odpowiedział. Profesor odczekał chwilę, po czym z góry spłynął znajomy, przejmujący do szpiku kości chichot.

— Nie zatrzymają się — powiedział niezbyt zrozumiale słynny uczonec. — A ty nie próbuj robić hałasu. Pomyśl, że to ja, więc i tak nie przyjdą. Bardzo dobrze... — zaśmiał się znowu.

— Uff — odsapnęła serdecznie Lidka, odsuwając opróżniony do ostatniej kropelki pojemnik z lodami. — To było ponad moje siły. Uczta uczt! Przez tydzień będę teraz na ścisłej diecie! — spojrzała ze zgrozą po sobie.

— Brzuszek ci na razie nie grozi — zaśmiał się Adam z fatalnym skutkiem, ponieważ zapomniał, że moment wcześniej wsunął w usta świeży ładunek zrazików a la Saturn oraz sałatki słonecznej. Przyszedł później, razem z ojcem Marka, i teraz skwapliwie nadrabiał zaległości.

— Jako gospodarz czuję się w pełni usatysfakcjonowany — oświadczył z dumą profesor Sponka, strzepując z klapy kombinezonu strzępki sałatki.

— Sam jesteś sobie winien! — zaśmiała się Zula.

— Nie trzeba było stawiać tego wszystkiego na stole...

— Ale pycha! — Anna wzniosła oczy do góry. — Nad jeziorem było wspaniale, ale kiedy pewne osoby miały dyżur przy kuchni, człowiek mimo woli przypomniał sobie, co czytał o starożytnych pustelnikach. Podobno żywili się suszoną szarańczą...

— ...brr — otrząsnęła się Lidka. — Jak możesz o tym mówić... i to przy stole!

— Co do mnie — zaprotestował łagodnie Bogdan — nie przeraża mnie wizja suszonej szarańczy. W takim towarzystwie zjem absolutnie wszystko...

— A propos — Zula zwróciła się do Anny — czy ta mnie miałaś na myśli, kochanie, mówiąc o pewnych osobach?

— Och, mamó! — obruszyła się Anna.

— Ona myślała o Jacku — wyjaśniła podstępnie Lidka. — Mój uczony braciszek uważał, że gotowanie jest zajęciem uwłaczającym jego godności. W efekcie karmił nas czymś, co przypominało stare podeszwy w sosie własnym. Suszone szarańcze byłyby przysmakiem wobec tego, co on potrafił zrobić z najlepszej konserwy...

— Myślałam o Marku — sprostowała Anna, patrząc z wyrzutem w orzechowe oczy Lidki. Te oczy odpowiedziały teraz ostrymi ognikami.

— Marek radził sobie całkiem dobrze — burknęła siostra jajogłowego, który z kolei wzruszył ramionami.

— Kiedy zostanę dyrektorem Instytutu... — zaczął przez nos.

— ...nie będziesz miał czasu na gotowanie. Na szczęście... — dopowiedziała gładko Lidka. — Ale, ale, co się właściwie dzieje z Markiem? — rzuciła od niechcenia.

Jacek machnął pogardliwie ręką.

— Bądź spokojna — zdobył się na ojcowski uśmiech. — W tutejszej łazience trudno zabłądzić...

Adam i profesor Sponka wymienili przelotne spojrzenia. Przez chwilę trwała cisza, wreszcie młody Kapica bąknął:

— Jeśli za chwilę nie przyjdzie, pójdę go poszukać. Szkoda obiadu — dodał, jakby dla podkreślenia, że chodzi tylko o powitalną ucztę.

— Wiecie co — powiedziała Zula — włączcie radio. Komputer utrzymuje wprawdzie łączność ze wszystkimi satelitami i prowadzi nas bezpiecznie do celu, ale ja chciałabym po prostu posłuchać wiadomości. Przez trzy tygodnie wiedliśmy wspaniały żywot dzikich ludzi, ale teraz wracamy do świata nauki. Nie wypada zjawiać się tak... tak...

— Prosto z lasu — podpowiedział Adam. Wszyscy się roześmiali, a Bogdan Sponka wstał i podszedł do pulpitu pod ścianą. Po chwili z głośników popłynęła cicha, pogodna melodia. Była to ostatnia fraza popularnej „suity galaktycznej” skomponowanej przez Jana Svenssona do filmu „Pilot wszechczasów”, który to film z ogromnym powodzeniem obiegił wszystkie ekrany świata. Po chwili muzyka ucichła, a z głośnika popłynął dźwięczny męski głos:

— Nadajemy komunikat dla żeglugi w obszarze Wielkich Planet. Trwające na Jowiszu burze spowodowały odchylenie pola magnetycznego globu. Załogi satelitów powinny chwilowo pozostawać w swoich obiektach. Wychodzenie w przestrzeń grozi szokiem grawitacyjnym. Przypominam, że nadajemy komunikat dla rejonu Wielkich Planet. Wiatr słoneczny w normie. Promieniowanie poniżej wielkości krytycznych. Na całej przestrzeni nie zauważono meteorów pozaukładowych. Uwaga. Ostrzeżenie specjalne dla statków znajdujących się na granicznych orbitach Układu Słonecznego...

— To dla nas — szepnęła Anna. — Jutro tam będziemy.

— Tss... — uciszył ją niecierpliwie Jacek.

— ... Ekipa Instytutu Planet Granicznych, przeprowadzająca eksperyment w rejonie Transplutona ostrzega...

Po tym słowie aparat wydał nagle straszliwy zgrzyt i ucichł. Adam i Bogdan zerwali się ze swoich miejsc. Podbiegli do pulpitu i zaczęli przyciskać gorączkowo jakieś klawisze, zadając w ten sposób pytania komputerowi, który odpowiadał rzędami cyfr oraz falującymi liniami ukazującymi się na ekranach. Wreszcie obaj wyprostowali się i spojrzeli po sobie. Ręce im opadły.

— Cała łączność — szepnął zdławionym głosem Adam. — Co...

— Słuchaj... — mruknął jakby do siebie profesor Sponka. — Czy to nie on? Adam uderzył się dłonią w czoło.

— Do stu księżyców! — zawołał z rozpaczą. — Przecież tam są wszystkie przekaźniki anten odbiorczych!

„Niebieski” dalej robił coś na górze, na platformie, od czasu do czasu dodając sobie otuchy piekielnym chichotem.

— Niech teraz naprawiają! — zawołał w pewnej chwili tryumfalnie. — Będą mieli zabawę na całe tygodnie!

Coś upadło na blaszaną podłogę.

— Koniec! — rozległ się piskliwy, zachrypnięty śmiech. Odpowiedziało mu niesamowite echo. Jeszcze dudniło między ścianami zamkniętej komórki, kiedy wmieszały się inne dźwięki. Ktoś pośpiesznie otwierał drzwi.

Domyślili się nareszcie, że jestem tutaj — przeszło przez myśl Markowi. Nie znaczy to, że doznał uczucia ulgi. Pewno, że dobrze będzie wydostać się z tej pułapki i opuścić kłopotliwe towarzystwo. Z drugiej strony jednak teraz wszyscy dowiedzą się gdzie był, a niektórzy zaczną ponadto podejrzewać, co widział.

Zamek wreszcie ustąpił i drzwi stały otworem. Z korytarza wpadła smuga jasnego światła. Za nią zamajaczyły dwie męskie sylwetki — tym razem bez skafandrów i kasków.

— Marek! Marek!

Chłopiec wyprostował się odruchowo. Zdał sobie sprawę, że w blasku latarek, które obaj mężczyźni trzymali w dłoniach, przedstawia widok może malowniczy, ale z pewnością mało imponujący. Toteż dołożył starań, żeby przyoblec twarz w wyraz gniewnej powagi.

Adam ocknął się pierwszy. Wpadł do kabiny i wyciągnął do Marka rękę.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknął chłopiec, którego twarz w okamgnieniu zmieniła wyraz. Adam zatrzymał się osłupiały. Jego ramię powoli opadło.

— Co... co... — wybełkotał.

— Marek?! — w głosie profesora Sponki, który także wszedł do komórki, zabrzmiało niebotyczne zdumienie.

Chłopiec postanowił porzucić wszelką dyplomację. Zanurkował pod ramieniem Adama i rzucił się w stronę ojca. Ten w pierwszym odruchu zrobił dwa kroczki do

tyłu.

— Tato! — stalowe ściany zajęczały wysokim echem. — Tato! — Marek pochwycił oburącz klapy ojcowskiego kombinezonu — ja wszystko wiem!

Po tym dumnym wyznaniu nastąpiła grobowa cisza. Wreszcie Adam odwrócił się i spojrział z wyrzutem na profesora Sponkę.

— A widzisz?... — mruknął. Ojciec Marka wpatrywał się jednak w chłopca i chyba nie zauważył nawet, że młody Kapica coś powiedział.

— Co to znaczy „wszystko”? — spytał nieswoim głosem. — I dlaczego jesteś taki roztrzęsiony? A przede wszystkim co tutaj robisz, kiedy wszyscy inni siedzą przy stole? Zabłądziłeś?

Marek już otwierał usta, żeby odeprzeć to oburzające podejrzenie, kiedy nad głowami całej trójki zabrzmiał znajomy chichot.

— Jak to co? — spłynął z ciemności lekko zachrypnięty głos — dotrzyśmy mi towarzystwa! Hi, hi, hi...

— Łączność!!! — Adam złapał się nagle obiema garściami za włosy, wypuszczając latarkę. Natychmiast schylił się po nią i skierował jej światło na schody. — Co zrobiłeś z antenami?! — wrzasnął, zupełnie zapominając o swej powadze naukowca. — Chodź tu zaraz do nas!

— Nie słyszałem, chłopcze — dobiegła z góry odpowiedź — o zwyczaju odzywaniu się takim tonem do własnego stryjecznego dziadka. A może tak należy zwracać się do swoich profesorów?

Adam jęknął głośno. Bogdan zdecydowanym ruchem odsunął na bok syna, który teraz przestał nie tylko cokolwiek rozumieć, ale w ogóle myśleć.

— Bardzo cię proszę, zechciej zejść do nas — powiedział uprzejmie. — Pójdziemy do nawigatorni. Tam właśnie podano obiad i czekamy tylko na ciebie.

— Czekacie? Hi, hi, hi! To dziwne. Tam czekacie, a tu samiście mnie zamknęli! — rozumowaniu niedawnego nieboszczyka trudno było odmówić logiki. — Obiad? — powtórzył takim tonem, jakby nie wiedział, co to słowo znaczy. — Hmm... dotychczas nie jadałem...

— Ale zależy nam na twoim towarzystwie — rzekł w dalszym ciągu uprzejmie, a nawet przymilnie ojciec Marka. — Wszyscy bardzo chcą cię poznać...

— Tu czuję się całkiem dobrze... — odburknął głos z góry, po czym jednak rozległy się odgłosy stąpania po blaszanych schodkach. Chwilę później profesor Kapica stanął przed nimi w całej swej przedziwnej osobie.

— To ty uszkodziłeś przekaźniki łączności — Sponka pokiwał głową, patrząc w przymrużone oczy słynnego uczonego. — Dlaczego to zrobiłeś?

— Nie powiem! Hi, hi, hi...

— Przecież tak samo jak nam zależy ci na spotkaniu z profesorem! — wykrzyknął Adam, wprawiając tym odezwaniem myśli Marka w pośpieszny, obłąkany taniec, jeśli można wprawić w jakikolwiek taniec coś, czego nie ma. Może to zresztą lepiej, że pod czaszką chłopca panowała właśnie próżnia. Licho wie, co mogłoby się stać, gdyby do jego świadomości dotarła odpowiedź osobnika w niebieskiej koszuli:

— Tak. Chcę być z sobą. Dlatego doprowadziłem do tego, że lecę z Wami...

— Radio i szybka łączność pomogłyby nam bezpiecznie osiągnąć cel podróży. Więc niszcząc przekaźniki anten, postąpiłeś bez sensu...

— Może... hi, hi, hi! A może nie!... — odpowiedział zagadkowo profesor Kapica.

— No, dość tego! — warknął Adam spoglądając z wściekłością na słynnego uczonego. — Chodźmy stąd — machnął zrezygnowany ręką.

W tym momencie Marek odzyskał jeśli nie przytomność umysłu, to w każdym razie pamięć.

— Tato! — wskazał szeroko otwartymi oczami Adama. — Ja... ja poszedłem do

tego opuszczonego Instytutu. Tam był...

— Wiem, synu — przerwał mu łagodnym tonem Bogdan. — Wiem także, co wiedziałeś... Adam mi mówił...

— Ale nie powiedział ci — wybuchnął z rozpaczą chłopiec — że to on zabił... zabił...

W świetle latarki ujrzał uśmiechniętą twarz profesora Kapicy, mieszkańca opuszczonych budowli nad Jeziorem Tajemnic, nieboszczyka, a także swojego współlokatora w zamkniętej komórce — i zaniemówił.

— Coś ty?! Co?... ja... — dukał przerażony Adam.

— Nikt nikogo nie zabił — ojciec uśmiechnął się przelotnie. Jak mogłeś myśleć...

— Marku! — w głosie Adama brzmiało teraz oburzenie i wyrzut.

— Miałeś rację — profesor spojrział poważnie na młodego naukowca. — Widzisz — zwrócił się ponownie do syna — Adam radził, żeby ci wszystko wytłumaczyć. Ale potem postanowiliśmy zabrać tego tutaj — musnął wzrokiem jegomościa w niebieskiej koszuli — z sobą i doszedłem do wniosku, że lepiej będzie na razie zachować to w sekrecie. Nie chciałem niepokoić Zuli i dziewcząt. Zawsze to trochę dziwne towarzystwo... To był mój pierwszy błąd — stwierdził. — A drugi to zamknięcie zdalnika akurat tutaj, gdzie są zespoły łączności — dopowiedział. — Byłeś tam na górze?

... Zdalnika? — Na wszelki wypadek chłopiec przełknął głośno ślinę i skinął głową. Profesor Sponka westchnął.

— Pewnie cały czas siedziałeś przy iluminatorze. Widziałeś, jak przeprowadzaliśmy go do statku?

— Tak...

— Ale jak mogłeś podejrzewać mnie o... — Adam najwyraźniej nie mógł oswoić się z myślą, że w oczach Marka uchodził od wczoraj za zbrodniarza.

— A co ty wyobraziłbyś sobie na jego miejscu? — pospieszył synowi na pomoc Bogdan. — Powinniśmy cię przeprosić — znowu uśmiechnął się blade do chłopca — musiałeś przeżyć niezbyt miłe chwile tylko dlatego, że my dwaj zachowywaliśmy się tak tajemniczo. Ale ty także przeskrobałeś wybierając się do opuszczonego poligonu... więc powiedzmy, że jesteśmy kwita. Tam na górze — zmienił temat — są specjalne urzędnictwa z przekaźnikami łączności. W tym miejscu na zewnątrz statku znajdują się anteny. Na szczęście tylko odbiorcze. Inaczej w ogóle nie moglibyśmy lecieć dalej.

— On nic nie widział! — zaśmiał się dyszkantem stary Kapica. — A ja jestem wyposażony...

— Wiemy aż nadto dobrze, w co jesteś wyposażony — przerwał mu gorzko Adam. — A teraz chodźmy już do nawigatorni. Jeszcze tylko... — zatrzymał się i sięgnął do kieszonki swojego kombinezonu. Wyjął z niej jakiś niewielki przedmiot, w którym natychmiast zapaliło się maleńkie, zielone światełko.

— Wzywam pierwszą, drugą i trzecią sekcję automatów naprawczych — powiedział do tego pudełka. — Uszkodzeniu uległy przekaźniki łączności, blok odbiorczy bezpośrednio pod antenami. Rozpoznać awarię i naprawić. Czas potrzebny dla usunięcia szkód podać za pięć minut do dyspozytorni. Koniec.

Profesor Sponka pokiwał głową.

— Nie ma się co łudzić — mruknął. — Nie uporają się z tym przed dziesięcioma godzinami. Wtedy będziemy już na Transplutonie.

Aleksander Wielki Drugi znowu wydał z siebie radosny chichot.

— Nie poszkapilem się. Łączność to w pewnym sensie moja specjalność, szanowny młody kolego...

— Niestety — zgodził się ponuro Adam. — No, idziemy — westchnął, ruszając w



stronę korytarza. Za nim, nie przestając chichotać, podążył jego stryjeczny dziadek. Za dziadkiem Marek, dla pewności zachowując bezpieczną odległość od niesamowitej postaci w niebieskiej koszuli. Pochód zamykał zatroskany profesor Sponka.

## 6. EB-5 nie odpowiada...

- Co?... co?... kto to?
- O rany!
- Profesor? Tutaj? Jakim cudem? Jak pan wygląda?! — tylko Zuli udało się zadać trzy pytania naraz.
- Pozwoli pan, profesorze, że się przedstawię. Jestem Jacek Saperda i czuję się zaszczycony...
- Hi, hi, hi, hi!!!
- Zapanowała martwa cisza. Przybyli zatrzymali się w progu, jakby pragnąc nasycić oczy wrażeniem, jakie wywarło ich pojawienie się w dyspozytorni. Wreszcie ojciec Marka z nieco nienaturalnym uśmiechem powiedział:
- Zaraz wam wszystko wytłumaczymy — powiódł po obecnych zmęczonym wzrokiem. — A ty — zwrócił się do chichoczącego nieszczęśnika — siadaj tutaj — wskazał mu wolny fotel pod ścianą. — Zula, dopilnuj żeby Marek zjadł obiad — uśmiech profesora stał się — odrobinę pogodniejszy — wprawdzie chwilowo stracił zdaje się apetyt, ale o ile go znam, zaraz mu to przejdzie...
- Zula nie spuszczając wzroku ze starego Kapicy wzięła syna za rękę i poprowadziła go do stołu.
- A pan, panie profesorze, nie usiądzie z nami? — spytał słodko-przymilnym głosem Jacek.
- Bardzo dobry obiad — poparła brata Lidka.
- Ja?... hi, hi, hi!
- Nie usiądzie — burknął niegrzecznie Adam, wzbudzając u obecnych nowy przyptyk zdziwienia, graniczącego z osłupieniem. Następnie podszedł szybko do jednego z pulpity. — Przejdziemy na automatyczny kod? — spytał oglądając się na profesora Sponkę.
- Ojciec Marka wzruszył bezradnie ramionami.
- Nic innego nam nie pozostało — westchnął. — Jak tam kontrolki nadajników? — spytał, po czym ubiegając odpowiedź sam podszedł do pulpitu i stanął obok Adama. Przycisnął jakiś klawisz i rzucił głośno przed siebie:
- Uwaga, sekcje nadawcze! Oprócz kodu namiarowego emitować bez przerwy aż do odwołania następujący tekst. Komputer gotów?
- Proszę dyktować — popłynął ze ściany łagodny, miękki głos.
- Statek EB-5 na torze bezpośrednim do ZZAA-1. Mamy uszkodzone wszystkie anteny odbiorcze. Prosimy o drogę. Statek EB-5 idzie z pilną misją do stacji eksperymentalnej Instytutu Planet Granicznych ZZAA-1. Z tego względu nie przerywamy lotu. Jeszcze raz prosimy o wolny tor. Dziękujemy.
- Profesor Sponka umilkł, odczekał chwilę, po czym spytał:
- Przyjęte?
- Ten sam łagodny męski głos co poprzednio odpowiedział ze wszystkich stron naraz:
- Tekst przyjęty. Będę go nadawał równoległe z automatycznym kodem namiarowym aż do odwołania. Zrozumiałem. Dziękuję.
- Mamy najnowszy model komputera — w głosie profesora Sponki, kiedy odwrócił się ponownie do zgromadzonych w kabinie pasażerów statku EB-5, zabrzmiała nutka dumy. — A teraz powiem wam krótko, jak wygląda sytuacja. Ktoś, kogo sprowadziliśmy na pokład bez waszej wiedzy, uszkodził przekaźniki odbiorcze całego bloku łączności. Naprawa potrwa... a właśnie, poczekajcie...

Jeszcze raz zwrócił się twarzą do pulpitu i ponownie uderzył palcem w klawisz.  
— Czy obliczyłeś już, ile czasu zajmie automatom naprawa uszkodzenia? — spytał.

— Zgodnie z rozpoznaniem przeprowadzonym przez automaty naprawcze — odpowiedziały ściany — około jedenastu godzin. Trzeba wymienić wszystkie przekaźniki i zaprogramować na nowo cały system sprzężeń....

— Pomyliłem się o jedną godzinę — stwierdził smętnie Adam.

— To nasz statek nazywa się „EB-5”? — Lidka spojrzała z zainteresowaniem na Marka.

— Nie rozumiem, dlaczego nie chce pan zjeść z nami obiadu — nie dawała za wygraną Zula, uśmiechając się zachęcająco do jegomości w niebieskiej koszuli:

— Czy to poważna awaria? — spytał przez nos Jacek.

— Tato, kto właściwie zepsuł radio?! — zawołała z przejęciem Anna. — Przecież to niemożliwe!

Właśnie, że możliwe — stwierdził w myśli Marek. Nic jednak nie powiedział, bo jakoś tak mimo woli zainteresował się stojącym przed nim pojemnikiem. Zraziki pachniały rzeczywiście cudownie...

Profesor Sponka westchnął. Przypomniawszy sobie, że miał wyjaśnić obecnym sytuację i powtórzył:

— Naprawa potrwa jedenaście godzin. Może dziesięć. Tymczasem dokładnie za dziewięć godzin będziemy u celu. Oznacza to, że przez całą drogę nie nawiążemy łączności z profesorem Kapicą...

— Jak to? — przerwała zdławionym głosem Anna. Jej oczy, wpatrzony w chichoczącego mężczyznę rozwalonego najspokojniej w fotelu, stały się wielkie i okrągłe jak dwa srebrne pieniążki.

— Nie przerywaj — upomniał ją łagodnie Adam. — O tym za chwilę.

— Właśnie — Bogdan skinął głową. — Więc, jak mówiłem, odbędziemy lot w trochę nienormalnych warunkach. Ale nie ma powodu do obaw. Wprawdzie my nie będziemy mogli odbierać komunikatów ani od ZZAA-1, ani też od stacji pośrednich, ale nasz statek, wysyła normalne sygnały. Oprócz nich, jak słyszeliście przed chwilą, nadajemy specjalne ostrzeżenie. Usłyszą je wszystkie jednostki, które ewentualnie mogłyby nam wejść w drogę. Dolecimy bezpiecznie. Tyle tylko że po przybyciu na miejsce zastaniemy same niespodzianki, bo przecież Kapica ani jego współpracownicy — tu spojrzał przelotnie na Adama, który ni stąd ni zowąd zarumienił się po białka oczu — nie mogą nam przekazać żadnej wiadomości.

— Co to znaczy „sprowadziliśmy na pokład bez waszej wiedzy”? — spytała po krótkiej chwili milczenia Zula. — I dlaczego ciągle mówicie o profesorze Kapicy, który czeka na Transplutonie, skoro tutaj... — zająknęła się i urwała, ze wzrokiem utkwionym w osobniku „znalezionym” przez Marka w opuszczonym Instytucie.

Kredowo błada twarz drugiego (a może pierwszego?) Aleksandra Wielkiego Nauki, rozciągnęła się teraz w uśmiechu, świadczącym o zadowoleniu z siebie.

— Jestem przyzwyczajony do tego, że o mnie mówią — oświadczył takim tonem, jakby chciał dać do zrozumienia, że to co o nim myślą inni, nie ma dla niego najmniejszego znaczenia. Zula po raz któryś pomyślała, że ten profesor Kapica „sprowadzony na pokład bez ich wiedzy” zachowuje się zupełnie inaczej, niż słynny uczony, którego nieraz widywała w towarzystwie męża. Natomiast Adam syknął gniewnie, a następnie powiedział:

— To dobrze, bo zaraz usłyszysz jeszcze o sobie i to dużo ciekawych rzeczy. Ale zaczniemy chyba od początku? — spojrzał pytająco najpierw na Marka, a potem na jego ojca.

— Tak, tak! — zawołała ochoczo Lidka.

— „Lidka–Tak” — zauważył z przekąsem Jacek, ale nikt się nie zaśmiał.

— Mówcie, byle szybko — zniecierpliwiła się Zula.

— Wszystko stało się z powodu wścibstwa pewnego młodego człowieka...

— Ciekawości! — poprawił Marek marszcząc brwi.

— Niech będzie ciekawości — zgodził się z uśmiechem profesor Sponka. — Nie wytrzymał i poszedł do opuszczonego Instytutu... a wtedy Adamowi nie zostało nic innego, jak tylko pośpieszyć mu na ratunek. Ale na miejscu okazało się...

— ...że niektóre agregaty są czynne — podchwycił Adam — pomimo że opuszczając Instytut, jego załoga wyłączyła dopływ energii. Na przykład aparat do wytwarzania zmiennych pól grawitacyjnych... Aby umożliwić ziemskim statkom podróże z szybkościami nadświatłymi, trzeba je wyposażyc w specjalne urządzenia, dzięki którym same będą sobie stwarzać supersilne pole... ale mniejsza z tym — zorientował się, że zabrnął za daleko. — Tam, na Ziemi, w poligonie Instytutu przeprowadzaliśmy wstępne doświadczenia. Zbudowaliśmy między innymi urządzenie, które lokalnie, na bardzo niewielkiej przestrzeni znosiło naturalną grawitację naszego globu. Marek wszedł w pole wytwarzane przez to urządzenie i zamienił się w balonik... który najspokojniej wylądował na szczycie doświadczalnej wieży...

Chłopiec pomyślał, że wyrażenie „najspokojniej” jest co najmniej nieuprzejme, a Zula zawołała ze zgrozą:

— Marku!

— Jako umysł zdyscyplinowany — rzekł z przekąsem Jacek — jestem przeciwny poczynaniom, które są podejmowane wyłącznie dla zaspokojenia ciekawości...

— W zasadzie masz rację — odpowiedział niechętnie profesor Sponka. — Tak w każdym razie powinienes myśleć do zakończenia studiów. Ale potem zrozumiesz, co znaczą wyobrażenia i... ciekawość, jeśli naprawdę masz zamiar zostać...

— ...dyrektorem instytutu — podrzuciła Udka.

— ...uczonym i odkrywcą — dokończył swoją myśl Bogdan. — Ale przerwaliśmy ci — spojrzał na Adama.

— Z tej wieży udało mi się ściągnąć naszego przyszłego badacza i odkrywcę — uśmiechnął się młody naukowiec — ale nie mogłem stamtąd odejść, bez wyjaśnienia zagadki, dlaczego pomimo braku dopływu energii, niektóre urządzenia, automaty i komputer byłego Instytutu są czynne. W dodatku Marek patrząc z góry zobaczył profesora Kapicę we własnej osobie — Adam uczynił gest w stronę siedzącej pod ścianą postaci. — Profesor zachowywał się bardzo dziwnie i sprawiał wrażenie lekko pomyłonego. Nic dziwnego, ponieważ właśnie wracał z nieudanej przejażdżki... naszym pantoplanem.

— Co?! — wyrwało się Annie.

— Jak to, profesor porwał... to jest, przepraszam zabrał, to znaczy, chciałem powiedzieć... — zaplątał się Jacek.

— Niemożliwe — zawyrokowała z przejęciem Lidka.

— Myśleli, że to ja — mruknął ponuro Marek.

— Kiedy pantoplan się znalazł — podjął z uśmiechem Adam — powiedziałem wam, że znam tylko jednego człowieka na świecie, który mógł doprowadzić nasz pojazd do stanu, w jakim się znajdował. Profesor Kapica, skądinąd najwybitniejszy umysł naszych czasów, słynie z tego, że nie potrafi sobie poradzić z własną maszynką do golenia, nie mówiąc już o pilotażu. A ponieważ przedtem byłem w instytucie, od razu domyśliłem się, komu zawdzięczamy zniknięcie pojazdu. Zabrał go, żeby samemu spróbować polecieć do stacji ZZAA–1 na Transplutonie...

— Co?! — powtórzyła Anna.

— Nic nie rozumiem... — wyznała zdumiona Zula.

— Nic nie rozumiem — przytaknął jak echo Jacek.

— Ani ja — zgodziła się Lidka.

— Ani ja — orzekła po namyśle Anna.

— Za chwilę zrozumiecie — uspokoił ich Adam. — Ale na razie wróćmy jeszcze do tego, co działo się wcześniej w Instytucie. Komputer mi powiedział, że otrzymuje prąd z baterii słonecznych, więc pobiegłem i wyłączyłem je. Dla Wszelkiej pewności zerwałem nawet kable. To było grube niedopatrzenie — zwrócił się do Bogdana Sponki, który przytaknął ruchem głowy — że zostawiono te baterie z kompletnym oprzyrządowaniem. Zważywszy, że profesor Kapica wyposażył swojego zdalnika w tak dalece posuniętą samodzielność...

Zdalnik — powtórzył w myśli Marek. — Znowu to niezrozumiałe słowo. Nie miał jednak czasu, by próbować rozgryźć, co ono mogło znaczyć, bo Adam mówił dalej:

— Wtedy w umyśle naszego ciekawskiego — chłopiec poczuł, że robi mu się gorąco — wyległy się najokropniejsze podejrzenia. W dodatku dałem mu miotacz i poprosiłem, żeby strzelał do wszystkiego, co się poruszy. Bałem się, że samozwańczy gospodarz opuszczonego poligonu będzie trochę zbyt samodzielny... skoro potrafił uruchomić baterie słoneczne, doprowadzić energię do Instytutu, a nawet porwać pantoplan. No i skoro udało mu się „ożyć”, pomimo że pozostawiono go wyłączanego. Na szczęście zdalniki mają wbudowane blokady, które nie pozwalają im szkodzić żywym ludziom. Toteż bez trudu udało mi się obezwładnić naszego gościa — spojrzał wymownie na osobnika w niebieskiej koszuli, który siedział z taką miną, jakby mówiono cały czas o kimś innym, zupełnie mu nieznanym.

— Wprawdzie zepsuł komputer, kiedy ten miał mi zdradzić jego kryjówkę, ale to właśnie naprowadziło mnie na jego ślad. Bo wyłączyć komputer można tylko w jednym miejscu, pod galeryjką w głównej hali. Poszedłem tam i po chwili było już po wszystkim. Ale Marek — mrugnął porozumiewawczo do chłopca — utwierdził się w swoich podejrzeniach. Powiniennem był mu powiedzieć... postanowiłem jednak poczekać na ciebie — spojrzał na Bogdana. — Tak... — westchnął. — Dalszy ciąg już znacie. Profesor Kapica nie wie, czemu zbudował swojego zdalnika tak, że zewnątrz jest niesłychanie podobny do niego samego. Z tego względu postanowiliśmy z Bogdanem zabrać go na Transplutona, żeby nasz wielki Aleksander sam zdecydował, co z nim zrobić. Rozumiecie — rozejrzył się bezradnie po obecnych — było nam jakoś głupio niszczyć go lub choćby wyłączać... mielibyśmy wrażenie, że robimy coś złego prawdziwemu profesorowi... może to dziecinada — westchnął — ale popatrzcie tylko na niego...

Wszyscy skierowali wzrok na bladą twarz niezwykle gościa, który niespodziewanie znowu zachichotał.

— Więc to... to... nie jest profesor?... — wykrztusił Jacek.

— Podobny, prawda? — powiedział ponuro Bogdan.

— Nic dziwnego, że Marek Wziął go za mojego stryjecznego dziadka — podjął znowu Adam — najpierw w Instytucie, a potem kiedy zobaczył przez iluminator, jak transportowaliśmy go z rakiety do statku. Bo trzeba wam wiedzieć, że obserwował tę scenę, schowany w pomieszczeniu aparatury łączności...

— Powiedział, że idzie do łazienki! — Zula pokiwała głową i pogroziła synowi palcem. — Czy naprawdę nie ma żadnego sposobu na takich jak on?! — rozłożyła bezradnie ręce.

— Nie wiem — zaśmiał się Adam. — W każdym razie pech chciał, że naszego gościa postanowiliśmy umieścić w tej samej komórce, którą wybrał Marek. „Pan profesor” wykorzystał to od razu... w ten sposób, że popsuł radio, na szczęście tylko instalacje odbiorcze. Dlatego lecimy teraz na ślepo, wysyłając ten tekst, który Bogdan podyktował komputerowi...

Dłuższą chwilę panowało milczenie. Przerwała je Zula.

— Ale jak to się mogło stać, że wyłączone baterie słoneczne starego Instytutu zaczęły nagle pracować na nowo? — spytała z zadumą.

— On był nieczynny tylko przez tydzień — mruknął Adam, spoglądając złym wzrokiem na domniemanego profesora Kapicę. — Czas już chyba, żebyście się przekonali, z kim naprawdę mamy do czynienia — dodał.

Odszedł od pulpitu i stanął przed fotelem, zajęтым przez osobliwego, chichoczącego starszego pana.

— Jak się nazywasz? — spytał. — Dzieci cię nie znają — dodał takim tonem, jakby chciał usprawiedliwić obcesowość swojego pytania.

— Mógłbyś im sam to powiedzieć — spokojnie odrzekł zagadnięty. — Znasz mnie przecież. Jestem Aleksander Kapica. Współpracujemy nad teorią geonów. A ściślej nad jej zastosowaniem do lotów w nadprzestrzeni...

— Więc jesteś dyrektorem Instytutu Planet Granicznych — skwitował wtrącając się do rozmowy Bogdan Sponka. — Dobrze. Dlaczego zatem jesteś tutaj, na statku, a nie w bazie Instytutu, na Transplutonie?

Jegomość w niebieskiej koszuli pomyślał chwilę.

— Zostawiono mnie samego na Ziemi.

— Ale przecież eksperymenty na Transplutonie trwają. A kieruje nimi nie kto inny, jak właśnie profesor Kapica. Jak to możliwe, że jesteś równocześnie tam i tutaj?

— Możliwe.

— Więc was jest dwóch?

— Nie. Jestem jeden.

— Tu i tam?

— Przecież wiesz...

— Ja wiem — powiedział z naciskiem ojciec Marka — ale chciałbym, żebyś to wyjaśnił mojej żonie i dzieciom. Dzieci są ciekawe... — dodał podstępnie. — Powiedz dlaczego ty lecisz z nami, a nie zostałeś w Instytucie na Ziemi?

— Żeby prowadzić doświadczenia na Transplutonie.

— Przecież cały czas i tak je prowadziłeś?

— Muszę być razem... nie wiem, jak to powiedzieć... — po raz pierwszy na bladej twarzy dziwnego człowieka odmalował się wysiłek.

— Pomogę ci — rzekł Sponka. — Pragniesz być jak najbliżej siebie, tego siebie, który teraz jest na Transplutonie. Czy tak?

— Uhm...

— Dlatego użyłeś podstępu, żeby się tam dostać. Uruchomiłeś baterie słoneczne, przeciągając dodatkowy kabel i czekałeś na sposobność. Czekałeś długo, bo przeszło rok. Wreszcie nad sąsiednim jeziorem pojawili się ludzie... Przyjechali tam pantoplanem, czyli pojazdem, którym od biedy ktoś nie wymagający zbyt wiele, nie potrzebujący nawet powietrza ani jedzenia, potrafiłby się dostać do granic Układu Słonecznego. Ukradłeś pantoplan i próbowałeś wystartować. To było wczoraj, prawda?

— Umm...

— Zapomniałeś o jednym — głos Bogdana jakby złagodniał — a mianowicie, że profesor Kapica jest szeroko znany nie tylko jako odkrywca. Chyba wszyscy dziennikarze pisali już o jego przesławnym roztargnieniu, a także o tym, że wielki uczony nie potrafi sobie poradzić ze zwykłym rowerem, nie mówiąc o pojazdach doby kosmicznej. Tak, tak, mój drogi — pokiwał z uśmiechem głową — sam czytałem wiele barwnych anegdot, jak to nie wiedziałeś, co począć z najprostszymi mechanizmami we własnym mieszkaniu, podczas gdy równocześnie obliczałeś drogę do najdalszych galaktyk. I ty porwałeś się na to, aby ukraść pantoplan i próbować na

nim dotrzeć do Transplutona?

— Nie wiedziałem — burknął osobnik w niebieskiej koszuli. — Tego się nie wie o sobie...

— Jeśli nie jest się sobą — podsumował Bogdan. Więc powiem im, kim naprawdę jesteś. Zdalnikiem...

— Kim?

— Co?

— Zdalnikiem — powtórzył profesor Sponka. — Automatem, wyposażonym w świadomość słynnego uczonego Kapicy. On sam go zbudował — wyjaśniał, zwracając się teraz do reszty słuchaczy — żeby brał udział w eksperymentach. Rozumiecie?

Nikt nie odpowiedział. Zula zamrugwała szybko powiekami. Anna potrząsnęła głowę. Marek odniósł wrażenie, że coś jakby zaczyna mu świtać, ale za nic nie potrafiłby tego świtania wyrazić w słowach. Lidka powiedziała krótko: „nie”. Tylko Jacek chrząknął znacząco, po czym rzekł z zastanowieniem:

— Sądzę, że będzie lepiej, jeśli wytłumaczy im to pan dokładniej... — To „im” zostało wymówione ze stosownym naciskiem, którym jajogłowy wyraźnie akcentował, że jeśli chodzi o niego, wszelkie dalsze wyjaśnienia są najzupełniej zbędne.

Ani profesor Sponka, ani Adam nie przejęli się jednak zbyt słowami Jacka. Natomiast ojciec Marka postanowił pójść za jego radą i wszystko wytłumaczyć.

— Powiedzmy, że człowiek wysłał eksperymentalny statek do gwiazd — zaczął.

— Oczywiście, bez żywej załogi, bo w tej chwili nie mamy jeszcze rakiet, które potrafiłyby wrócić z najbliższych bodaj gwiazdozbiorów przed upływem kilkudziesięciu, a nawet kilkuset lat. Otóż aparatura zainstalowana na takim statku przekazuje uczonej dane dotyczące lotu, materii międzygwiazdnej, promieniowania... słowem mnóstwo liczb i faktów. Nie otrzymujemy jednak wiadomości o tym co najciekawsze, a mianowicie jak czułby się tam w dalekiej przestrzeni człowiek i jakie byłyby jego wrażenia. Dlatego ktoś dawno już wpadł na pomysł budowy zdalników. Konstruuje się bardzo skomplikowaną maszynę informatyczną, coś w rodzaju mózgu elektronicznego, tylko superpojemnego i „przelewa się” do takiej maszyny zawartość mózgu jakiegoś prawdziwego człowieka. To znaczy „uczy się” maszynę wszystkiego, ale to wszystkiego, co ten człowiek wie. Nie tylko wiadomości naukowych, ale wspomnień dotyczących przeżyć tego człowieka, dzieciństwa no... wszystkiego. A ponieważ ta maszyna jako sztuczny mózg, potrafi sama „myśleć”, rozumować, obserwować otoczenie i wysnuwać wnioski, więc kiedy nawiąże z nią kontakt ktoś, kto przekazał jej treść własnych szarych komórek, to jest wtedy tak, jakby ten ktoś rozmawiał z samym sobą. Potem taki sobowtór leci w kosmos, a człowiek, jego, że tak powiem, pierwowzór, odbiera bezpośrednio całym swoim układem nerwowym, wszystkimi ośrodkami mózgowymi wrażenia, jakich tamten doznaje w eksperymentalnej rakiecie. Rozumiecie, jakie to chytre... i ważne? A co do łączności, zapewniają ją fale biologiczne. Wiecie, a jeśli nie, to dowiecie się wkrótce — spojrzął przelotnie na Lidkę i Marka — że każdy z nas wysłał takie fale. Wystarczy je odpowiednio wzmocnić...

— To nieludzkie... — wykrztusiła nagle Lidka. Wszyscy popatrzyli na nią zaskoczeni.

— Dlaczego? — zdumiał się Adam. — Wzmacniacze pól elektromagnetycznych, otaczających nasze ośrodki mózgowy to zupełnie niewinne aparaciki.

— Poczekaj — przerwał mu Bogdan. — Zdaje się, że wiem, o co ci chodzi — popatrzył ze zrozumieniem na dziewczynę. — Myślisz, że jeśli on jest tak wierną kopią człowieka, to wysyłanie go w bezpowrotną podróż, narażanie na katastrofy, ból,

śmierć i tak dalej, nie mówiąc o takich uczuciach jak tęsknota czy smutek...

— Właśnie! — podchwyciła Anna. — Myślałam o tym samym.

— Dla nauki... — zaczął Jacek, ale Sponka nie pozwolił mu mówić. Przyszły dyrektor Instytutu stanowczo nie miał dzisiaj dobrego dnia.

— Zaraz was uspokoję — powiedział ojciec Marka, (wyciągając przed siebie dłonie, jakby chciał się obronić przed czymś atakiem. — Przede wszystkim w zasadzie nie buduje się zdalników człękoksztalnych. Ten tutaj jest, o ile wiem, jedynym istniejącym egzemplarzem. To był właściwie taki kaprys Kapicy... coś w rodzaju żartu...

— Ładny mi żart! — obruszył się tym razem Marek.

— Ale to nieistotne — ciągnął Bogdan. — W końcu zdalnik nie musiałby być człękoksztalny, żeby czuć jak człowiek. Można by mu nadać postać kuli, skrzyni, obojętnie czego. Ważna jest przecież tylko aparatura. Ale nawet człękopodobne zdalniki... zresztą, zaraz się przekonacie.

Odwrócił się na powrót w stronę fotela zajętego przez rzekomego profesora Aleksandra Kapicę.

— Kto to jest? — spytał wskazując oczami Adama. „Profesor” poszedł za jego wzrokiem, po czym wzruszył ramionami.

— Adam Kapica — odpowiedział lekko zniecierpliwionym tonem. — Mój asystent i stryjeczny wnuk.

— To znaczy krewny?

Stryjeczny dziadek swojego asystenta spojrzął na niego spod ściągniętych powiek.

— Krewny? — powtórzył z namysłem.

— Kochasz go? — spytał zamiast odpowiedzieć Bogdan.

Bruzda na czole zdalnika pogłębiła się.

— Co to znaczy?

— Co czułeś, kiedy Adam cię uderzył i związał... pamiętasz, tego dnia, kiedy nie udało ci się uprowadzić naszego pojazdu?

— Ze nie mogę się ruszać...

— Nie bolało?

— Ból? Znam to pojęcie, ale...

— A jak przenosiliśmy cię z rakiety do statku, przez próżnię, nie było ci zimno? Nie brakowało ci powietrza?

— Wystarczy — powiedziała Zula drżącym od emocji głosem. — Teraz już Lidka nie będzie mieć wam za złe, że postępujecie z nim tak... tak... nieludzko. Prawda, kochanie?

— Och... — westchnęła Lidka tak cicho, jakby za oknem przeleciała ćma.

Bogdan Sponka uśmiechnął się przelotnie.

— Jeszcze jedno pytanie, a potem postaram się o nową niespodziankę. Jesteś profesorem Kapica, tak? — zwrócił się znowu do osobliwego tworu w fotelu.

— Tak.

— Co to jest teoria geonów?

— Dziecinne pytanie — burknął pewnym siebie tonem zapytany. — Chodzi o cząsteczki, tworzące krzywiznę czasu i przestrzeni. Posiadają masę, a więc ulegają prawom grawitacji. A skoro tak, to można w substancji naszego dostrzegalnego zmysłami świata znaleźć „dziury”, prowadzące do jakiegoś innego świata. Czyli przedostać się do nadprzestrzeni. Tę teorię opublikował bodaj jeszcze w dwudziestym wieku Wheeler, twórca geometrodynamiki. Nasze eksperymenty...

— Właśnie — przerwał mu Bogdan. — Wystarczy — dodał szybko, zauważywszy rozpaczliwe znaki, dawane przez Adama, który obserwując twarze słuchaczy doszedł do słusznego ze wszech miar wniosku, że wywoływanie rzekomo uczonego są stanowczo



niewiele zbyt specjalistyczne. — Bardzo pięknie powiedziałeś o tych geonach — skłonił się zdalnikowi. — A teraz, ponieważ jesteś równocześnie tutaj i na Tratasplutonie, zechciej nam jeszcze wyjawić, czego dokonaliście ostatnio? Kiedy wystartuje pierwsza rakietka do lotu w nadprzestrzeni?

— Co?...

— Pytanie chyba jeszcze bardziej dziecinne i proste niż poprzednie... dla jednego z największych ziemskich uczonych.

— Ja... — zająknął się niebieski.

— ...rok temu straciłeś kontakt z „tym drugim sobą”, a właściwie jedynym prawdziwym profesorem Kapicą — rzucił demaskatorskim tonem Bogdan. — W tym całą rzecz. Masz cały zasób wiedzy profesora, ale tylko do momentu opuszczenia przez niego Instytutu nad jeziorem. Potem Kapica odrzucił swoje wzmacniacze fal biologicznych i przerwał kontakt z tobą. Po przeniesieniu na Transplutona, zbyteczne sprzęty pozostały tam, na dawnym poligonie, a ty byłeś potrzebny jedynie do wstępnych eksperymentów. Od momentu zerwania łączności przez profesora Aleksandra Kapicę powinieneś pozostawać nieczynny, wyłączony, bo uruchamiają cię tylko fale biologiczne, które on emituje. Tak to było pomyślane. Ty jednak potrafiłeś „ożyć” i mogeś nawet powiedzieć, jak tego dokonałeś. Profesor — zwrócił się do milczącej gromadki — wyposażył tego tutaj swojego zdalnika w pewną samodzielność. Z jednej strony jest on kopią jego mózgu, która zaczyna funkcjonować zgodnie ze swoim przeznaczeniem tylko wtedy, kiedy nasz wielki Aleksander posyła mu fale biologiczne. Skądinąd jednak ten jegomość — skinął ręką w stronę fotela — jest jakby połączeniem zdalnika ze zwykłym automatem..., może nie zupełnie zwykłym, bo dysponując całą wiedzą słynnego uczonego jest „mądrzejszy” od przeciętnego automatu. W każdym razie posiada własne baterie energetyczne. Otóż to właśnie... — przerwał na moment dla zaczerpnięcia tchu — pozwoliło mu wrócić do życia nawet wówczas, gdy profesor Kapica wyłączył definitywnie swój wzmacniacz fal biologicznych, zrywając z nim łączność. Wiecie, że nawet zużyte baterijki w zwykłej latarce, odłożonej na kilka dni, mogą się trochę podładować. Tak samo podładowały się jego akumulatory. Był nieczynny przez tydzień, a potem nagle ocknął się i zrozumiał, że jest skończony. Wystarczyło mu jednak tej szczątkowej energii, w akumulatorach, żeby uruchomić baterie słoneczne i naładować się na nowo. Od tego momentu przestał być właściwie zdalnikiem, a stał się samodzielnym automatem. Pozostał sobą tylko co do jednego...

— Wiem, co chcesz powiedzieć — przerwał mu nagle jegomość w niebieskiej koszuli. — Ale znowu stanę się zdalnikiem, kiedy odzyskam kontakt z sobą...

— Może — zgodził się bez przekonania Bogdan. — Na razie jednak pozwól mi skończyć. Otóż nasz gość — uśmiechnął się krzywo do zdalnika — ma wbudowany w swój sztuczny system nerwowy pewien... jakby to nazwać... — zawahał się — ... instynkt. Tak, instynkt. Mianowicie odczuwa bardzo silną potrzebę przebywania stale możliwie najbliższej swojego żywego pierwowzoru. Rozumiecie? Chodzi o to, żeby eksperymentalnym statkom, na których polecą zdalniki, dać trochę większą szansę powrotu. Automaty, wyposażone w Mci... taki... instynkt, zrobią więcej niż zwykłe komputery, żeby odnaleźć drogę do człowieka, z którym chcą się połączyć, a tym samym drogę do bazy. Zresztą, macie przykład. Przecież on — jeszcze raz zerknął na niebieskiego — tylko dlatego mógł uruchomić baterie słoneczne, czekać tak długo, porwać pantoplan i wreszcie trafić na pokład naszego statku, że czuł potrzebę znalezienia się znowu razem z prawdziwym, żywym Kapicą. Tak — Sponka wyprostował plecy i westchnął. — Możesz być zadowolony. Lecisz na Transplutona, a tam jest profesor. Tylko dlaczego — mówił teraz wprost do zdalnika — skoro znalazłeś się już na pokładzie tego statku i skoro Adam powiedział ci dokąd lecimy,

bo powiedział ci przecież, dlaczego — powtórzył podniesionym tonem — zepsułeś radio?! Przecież w ten sposób przynajmniej teoretycznie zmniejszyłeś nasze wspólne szanse dotarcia bezpiecznie do celu?

— Nie powiem.

Sponka machnął ręką.

— Mniejsza z tym. Tak czy owak radio jest zepsute i musimy je naprawiać. Nie będziemy dociekać, co i dlaczego robią jakieś zwariowane zdalniki...

— Wcale nie jestem zwariowany — zaprotestował rzekomy Kapota. —

Przekonacie się sami... Hi, hi — niespodziewanie odzyskał pogodę ducha, jeśli naturalnie można mówić o pogodzie ducha w wypadku automatów, nawet przesadnie samodzielnymi.

— A ja — odezwał się słabym głosem Marek — podejrzewałem...  
podejrzewałem...

— Daj już spokój — uśmiechnął się Adam. — Jestem szczęśliwy, że nie przyszło ci na myśl zabawić się samemu w obrońcę uciśnionych i dzielić mnie na przykład drągiem po głowie, żeby obezwładnić zbrodniarza i oswobodzić biednego, prześladowanego profesora...

Z głębi kabiny dobiegł cichy, dziewczęcy chichot, a chłopiec poczuł, że się czerwieni, przez co jego humor nie stał się wcale lepszy.

— A co do podejrzeń — Bogdan Sponka potoczył po obecnych surowym wzrokiem — to wy wszyscy nie zgrzeszyliście nadmiarem zaufania do nas, naukowców. Jak mogliście przypuszczać — spojrzał na Lidkę — że obdarzamy zdalniki ludzkimi uczuciami... godząc się z tym, że używani do eksperymentów będą cierpieć, znosić ból, tęsknotę...

Zula spojrzała mężowi w oczy.

— Ale rozłąkę jednak odczuwają boleśnie, jak wynika z tego, o czym mówiliście — szepnęła z zastanowieniem.

— Przecież nie powiesz, że żelazo tęskni do magnezu — zareplikował Adam — chociaż przyciągają się wzajemnie. To sprawa czysto techniczna. Podejrzewasz swojego męża lub mnie, że bylibyśmy zdolni narażać czującą istotę na wieczną tułaczkę w próżni, katastrofy, czy chociażby nigdy nie spełnione tęsknoty? Nawet umysł superzdyscyplinowany — mrugnął do Jacka — nie jest zdolny do okrucieństwa...

— Niekiedy bywamy nawet za bardzo tolerancyjni — wtrącił Bogdan — jak to się właśnie niedawno okazało...

Powiedziawszy to, podszedł do zdalnika i zanim ten zdążył cokolwiek zrobić, sięgnął do paska przy jego niebieskich spodniach. „Profesor Kapica” zamrugał oczami, po czym znieruchomiał.

— Wyłączyłem go — mruknął Bogdan, prostując się. — Powinienem był to zrobić od razu, jeszcze na Ziemi. W każdej chwili przecież można z powrotem zaniknąć obwody łączące jego sztuczny system nerwowy z akumulatorami. Ale nie chciałem go likwidować bez prawdziwego Kapicy... to w końcu maszyna, stworzona przez niego, posiadająca jego wiedzę i w dodatku podobna do niego jak dwie krople wody... wydawało mi się to jakieś... jakieś... nieładne. A teraz wszyscy za to cierpimy — dodał gorzko.

— W takim razie dlaczego wyłączyłeś go właśnie teraz? — spytała Zula.

— Żeby niczego więcej nie popsuć — wyjaśnił jej mąż. — Ale nie tylko dlatego. Obiecałem wam przecież jeszcze jedną niespodziankę...

— O! — wyrwało się Lidce. Marek mimo podniecenia wywołanego ostatnią wypowiedzią ojca spojrzał na dziewczynę z zachwytem.

— Nie chciałem także, żeby zdalnik Kapicy zorientował się, że ma konkurenta —

mówił dalej Bogdan filuternym tonem. Przesunął jakieś gałki i nagle zgasły wszystkie lampy. W nawigatorku zapanował mrok.

— To dla większego efektu — zaśmiał się profesor Sponka. — A teraz uważajcie...

Ekran nad pulpitem zajaśniał matowym, srebrzystym światłem. Pośrodku jego tarczy powstała okrągła, brązowa plamka, jak źrenica oka.

— Już nas widzi — ojciec Marka ściszył głos do szeptu.

— Dzień dobry — popłynął skądś zza ściany głos... Bogdana Sponki. — Zdaje się, że spałem. Czy lecimy zgodnie z planem?

— Co to jest? — wymamrotał Adam najwidoczniej zaskoczony, tak samo jak pozostali. Zapytany mrugnął do niego szelmowsko i położył palec na ustach.

— Tak, tylko mamy awarię radia — odpowiedział swojemu własnemu głosowi.

Oko na ekranie rozszerzyło się odrobinę.

— Awarię radia? Łączności? Jak mogło do tego dojść?

— Automaty już przystąpiły do naprawy. Zresztą nieczynne są jedynie sekcje odbiorcze. Nadajniki pracują normalnie. Wysyłamy namiar, a ponadto specjalny apel do wszystkich stacji i jednostek na naszym kursie.

— Mimo wszystko to dziwne — podsumował „ścienny” Sponka. — Czy Kapica w ogóle wie, że EB-5 jest już w drodze?

— Nie. Od razu po powrocie na Ziemię zabrałem pasażerów i wystartowałem.

— Powinienem był jednak połączyć się przedtem z ZZAA-1. Stary bardzo nalegał na jak najszybsze przeprowadzenie eksperymentu. Nie podoba mi się to, że lecimy nie wiedząc, co tam się dzieje.

— Tak — zgodził się z sobą mężczyzna stojący przed pulpitem. — Niestety, nie zrobiłem tego.

— Trudno. Przynajmniej nie lecę z próżnymi rękami. Te obliczenia, które wykonałem na asteroidach, potwierdzają słuszność teoretycznych założeń profesora. W warunkach określonej grawitacji zewnętrznej możliwe jest przekroczenie szybkości światła i wejście w nadprzestrzeń.

— Mój syn i moja żona — Bogdan mrugnął porozumiewawczo do Zuli i Marka dając im znać, że teraz powinni wyteńczyć całą uwagę — jeszcze nie wiedzą o eksperymencie. Oczywiście, wrócą na Ziemię, zanim przystąpimy do decydującej próby...

— Mój syn i moja żona?... — powtórzyła tym samym głosem ściana. — Co to znaczy?

— Zapominasz, że masz jeszcze córkę — w zupełnej ciszy zabrzmiał szept Zuli.

— Właśnie... — rezolutnie upominała się o siebie Amina. — Zazawsze o mmimmnie zapominasz...

— Córkę? — podchwycił z widocznym wahaniem drugi zapominalski tata, przemawiający nie wiadomo skąd. Nic nie rozumiem...

— Przecież są tutaj. Moja rodzina. Kocham rodzinę, prawda?

— Mówię dość dziwnie... — zniecierpliwiał się głos.

— Mam śliczną żonę — w tonie profesora Sponki pojawiło się rozbawienie, choć równocześnie zadrgała w nim nutka szczerzego wzruszenia — uroczą córkę, o której nigdy nie zapominam — odpowiedział na niedawną interwencję Zuli i Anny — oraz syna, bijącego wszystkie rekordy ciekawości. Nie poznają ich? Są tutaj...

— To chyba sen?! — Miarek uszczypnął się w policzek i wiedział od razu, że nie ma mowy o żadnym śnie.

— Dlaczego pan mówi w pierwszej osobie? — wykrztusiła Lidka.

— Cichło bądź — syknął Jacek. — On tak musi. Przecież rozmawia z własnym...

— Polecę w przestrzeń — podjął po krótkiej przerwie profesor Sponka, — Może

nawet w nadprzestrzeni.

Czy nie będę tęsknił do tych, których Kocham?

— Tęsknił? ... Kocham? ... Nie rozumiem — głos zza ściany zabrzmiał pół tonu wyżej. — Operuję teraz nieznanymi pojęciami. Muszę być tylko razem... to znaczy cały...

Bogdan pochylał się nad pulpitem. Oko zgasło. Tarcza ekranu zasnuła się cieniem.

— Rozumiecie? — rzucił wesoło profesor, tocząc spojrzeniem po oniemiałych słuchaczach. — Powiedziałem wam, że jest tylko jeden zdalnik, zbudowany na podobieństwo człowieka — zerknął w stronę nieruchomej postaci w fotelu. — Ale nigdy nie mówiłem, że zbudowaliśmy w ogóle tylko jednego zdalnika. Ten, którego słyszeliście przed chwilą, to numer drugi. I nie przypomina człowieka, prawda? Oczywiście, poza głosem...

— To... to ty? — spytała Zula. Na jej twarzy odmalowało się uczucie niechęci.

— Ja... do pewnego stopnia — potwierdził Bogdan. — To znaczy do momentu, w którym kończy się wiedza, a zaczynają ludzkie uczucia...

— Dlaczego właśnie ty? — głos Anny brzmiał już mniej więcej normalnie, chociaż widać było, że podobnie jak Zulę, niezbyt uradowało ją odkrycie „drugiego” taty w ścianie.

— Dlaczego ja? Po prostu dlatego, że spędziłem w tym statku ostatnie tygodnie i kiedy czekałem na wyniki kolejnych badań przeprowadzonych przez automaty, miałem czas na zabawę w konstruktora. Widzicie, to właśnie EB-5, na którym teraz lecimy, będzie bohaterem eksperymentu. To ten statek wejdzie w nadprzestrzeń i odbędzie drogę... właśnie, dokąd? Kto to wie? — rozłożył ręce. — Może do najdalszych mgławic? A razem z nimi na tę pierwszą w dziejach wyprawę, co się zowie w nieznane, poleci niejaki Bogdan Sponka. Z całą swoją wiedzą i wrażliwością... poza zdolnością odczuwania bólu, strachu czy... tęsknoty, bo chociaż komputer ma zarejestrowane wszystkie matematyczne, a lepiej: informatyczne odpowiedniki tych uczuć, sam zdalnik waszego starego taty — mrugnął do Anny i Marka — nie będzie tęsknił ani cierpiał. Słyszeliście, co odpowiedział; kiedy chwaliłem urodę jego żony? Tak, jego — zaśmiał się — bo on jest przecież mną. Ale nie wie, co to jest rodzina i co czuje człowiek względem swoich najbliższych... choćby byli tak nieznośni jak pewni szybkobiegacze, których nie będę wytykał palcami...

— I pan... pan... będzie z nim, to znaczy z sobą, nie, co ja mówię!... — Lidka zamachała rękami.

— Ona, jak sądzę, chciała się upewnić — rzekł swoim zwyczajem przez nos Jacek — że pan i pana zdalnik będziecie w kontakcie podczas eksperymentalnego lotu tego statku.

— Tak — odpowiedział lekko zniecierpliwionym tonem profesor Sponka. — Przecież po to go skonstruowałem. Przed startem włączę go znowu, a potem przez całą drogę moje i jego nerwy, oczy, palce, ośrodki mózgowy będą (połączone niewidzialnymi niteczkami fal biologicznych. Będę odbierał te same wrażenia i widział to co on... Oczywiście nie musiałem go tak programować, żeby przemawiał moim głosem... ale przyznacie, że to wcale zabawne, tak sobie pogawędzić... z samym sobą.

— Nie widzę w tym nic zabawnego — burknął obrażonym tonem Marek.

— Ani ja — stanęła wyjątkowo po stronie brata Anna.

— No dobrze — odezwała się po dłuższej chwili Zula — a co z nim? — wskazała oczami „jedyny egzemplarz” zdalnika człękoksztalnego.

— O tym zadecyduje sam „oryginał” — odpowiedział ze śmiechem Adam — to znaczy mój stryjeczny dziadek. Nie chciałbym znowu narażać się Markowi. Zaraz

okrzyknąłby minie zbrodniarzem i pobiegł do jakiejś komórki, zaopatrzonej w okienko, przez które mógłby mnie śledzić...

— Nie! — zaprotestował gwałtownie młody detektyw.

— Nie! — poparła go nie wiedzieć czemu Lidka.

Zula spojrzała na Jacka, a Jacek na Zulę. Ta ostatnia skinęła nieznacznie głową.

— Trzy... cztery... — zaczął jajogłowy.

— „Lidka–Nie!” — zabrzmiał zgodny duet.

— Nie — wykrzyknęła oburzona dziewczyna.

Kiedy wszyscy wyśmiali się już do syta, wzrok Adama ponownie spoczął na nieruchomym jegomościu w niebieskiej koszuli.

— Żebym tylko wiedział, dlaczego zepsuł radio — mruknął poważniejąc młody naukowiec.

— W każdym razie — westchnął profesor Sponka — kiedy znajdzie się już na ZZAA–1, będzie na pewno grzeczny.

— Tato — odezwał się Marek. — a czy ten twój zdalnik — uniósł rękę i zatoczył nią łuk, wskazując wszystkie ściany kabiny — także ma ten jakiś... instykt? To znaczy, czy także będzie tak bardzo chciał do ciebie wrócić?

— Owszem — przytaknął Bogdan. — Na przebieg samej próby nie będzie to miało wpływu, bo w nadprzestrzeni przestaje funkcjonować cała informatyka, przynajmniej ta którą dotąd znamy. Jeśli oczywiście eksperyment się uda i statek rzeczywiście wejdzie w nadprzestrzeń. Natomiast potem może zaistnieć sytuacja, że dzięki temu „instyktowi”, chociaż to niezbyt szczęśliwe określenie, bo instykt mają przecież tylko żywe istoty, zdalnik pomoże sprowadzić statek z powrotem do bazy. Komputer będzie wtedy bezradny, bo zabraknie mu danych dotyczących przebytej drogi. Liczymy się z tym, że EB–5 zostanie na zawsze w kosmosie, ale gdyby mimo wszystko wrócił, zyskalibyśmy mnóstwo dodatkowego materiału naukowego... jakieś fragmenty zapisów w bębnach pamięciowych komputera, kiedy on sam będzie głupiutki poza czasem i przestrzenią, jakiś osad na pancerzu... no, ale dosyć na dzisiaj — profesor Sponka spojrział na zegarek i zaśmiał się. — Bez mała noc. Ciekawość to straszna cecha — pogroził z udaną surowością synowi. — Wszystko trzeba tłumaczyć i tłumaczyć... w nieskończoność.

— Tato! — zawołał bez zastanowienia Marek. — Ja i tak nic nie rozumiem...

— Przynajmniej szczerze — uradował się ojciec. — Pociesz się, że nie ty jeden. Twoja mama na przykład ma bardzo mądry wyraz twarzy, co świadczy niezbicie, że obmyśla nową serię pytań...

— Jaka szkoda — mruknęła Zula — że nie mam pod ręką pomarańczy... i to bardzo ciężkiej.

— Tak czy inaczej, teraz Marek zje wreszcie obiad — orzekł Adam. Była to uwaga ze wszech miar słuszna, ponieważ chłopiec zafrapowany przedziwnymi historiami, które opowiadali ojciec i młody Kapica, na śmierć zapomniał o jedzeniu. — Na razie dość o zdalnikach, nadprzestrzeni, eksperymentach i... instyktach.

— Poza jednym — sprostował z powagą Jacek. — A mianowicie instynktem samozachowawczym. To on właśnie spowoduje, że Marek, pogodziwszy się chwilowo z tym, że nie wszystko rozumie, jednak zje obiad...

Wszyscy się roześmieli.

— Mój brat przemówił ludzkim głosem! — zawołała Lidka wznosząc ręce ku niebu. — A może to jego zdalnik?!

— Kiedy będę dyrektorem — zaczął przez nos Jacek, ale przerwał mu nowy wybuch śmiechu.

— No, wszystko w porządku — podsumował Adam.

— Na szczęście trzeci zdalnik nie wchodzi w rachubę.

Dość nam tych dwóch... a zwłaszcza jednego — dodał poważniejąc.

— Dość, dość — zgodził się skwapliwie Marek, z ustami wypchanymi zimnymi zrazikami.

W nawigatorni zapanowała cisza. Od czasu do czasu dawały się jedynie słyszeć odgłosy zmagania się samotnego biesiadnika z kremem, zrazikami, sałatką słoneczną, lodami i czym tam jeszcze. Ale Marek jadł z mniejszym apetytem, niż na to zasługiwała powitalna uczta. Wszyscy pograżyli się w myślach. Ten statek unoszący ich przez nieskończoną czerń kosmosu, tam gdzie wielkie, złote, prażące słońce staje się tylko jedną z miliardów gwiazdek, leci ku swojemu niezbyt jasnemu przeznaczeniu ślepy i głuchy. Czy eksperyment się powiedzie i czy ta kabina, teraz tak bardzo swojska, przeniknie do tej jakiejś niepojętej nadprzestrzeni, to inna sprawa. Na razie trzeba dotrzeć do stacji Instytutu na granicy Układu. A po raz pierwszy w dziejach współczesnej kosmonautyki zdarzyło się, aby taką drogę odbywała rakietą odcięta od komunikatów, wskazówek satelitów kierunkowych i głosów dyżurnych koordynatorów w bazach orbitalnych oraz placówkach nawigacyjnych na księżycach Jowisza, Saturna, Neptuna i Urana.

Za iluminatorami była tylko czerń i nieskończone mrowie złotawych szpileczek. Komputer uruchomił wszystkie zespoły i sekcje robocze. Świadczyły o tym błyskające na pulpitach lampki i poświęcające linie, wijące się gorączkowo na tarczach ekranów. Statek szedł kursem na Transplutona.

Przed półkolistą, szeroką tarczą, w pomieszczeniu przypominającym kopułę zdjętą z dachu starożytnej katedry i umieszczoną na potężnych, żelbetowych fundamentach, starszy mężczyzna z bujną szpakowatą czupryną zwrócił się do swego młodszego towarzysza.

— Co nowego, (królu?

Łysa jak kolano czaszka wykonała ruch w lewo a potem w prawo. Przez moment zalśnił na niej niebieskawy refleks jedynej palącej się w głębi pomieszczenia słabej lampki.

— Nic. Namiar jest, ale EB-5 nadal nie odpowiada.

Za plecami mężczyzn poruszyła się złocista główka.

— Czy nic nie można zrobić? — spytał dziewczęcy głos, w którym drgała tłumiona rozpacz. — Przecież oni... przecież...

— Uspokój się, dziewczyno — powiedział łagodnie starszy. — Zrobimy wszystko co w naszej mocy. Przerwać procesu już się nie da, wiesz o tym tak samo dobrze jak my. Ale oni przecież zdążą. Muszą zdążyć. Do stu księżyców, kiedyś w końcu się odezwą...

— Wzywam EB-5 — rzucił przed siebie łysy. — Wzywam EB-5. Uwaga, wszystkie jednostki! Specjalne wezwanie alarmowe dla EB-5. Ktokolwiek zdoła nawiązać łączność z rakieta EB-5, leżącą na kursie Ziemia-Transpluton, niech natychmiast zawróci ją z drogi. Polecenie Dyrektora Instytutu Planet Granicznych. Uwaga! Wezwanie alarmowe dla EB-5...

Łysy przerwał na chwilę. Gdzieś za ścianą kopuły jakiś mały, drewniany młoteczek stuknął miarowo, jakby odliczał czas.

— Dalej nic — mruknął starszy.

— Dalej nic — powtórzyła łamiącym się głosem dziewczyna.

— Nic — potwierdził łysy. — EB-5 nie odpowiada...

## 7. Skoro już jesteście...

- Wstawaj, śpiochu! Godzinę temu przecięliśmy orbitę Plutona!
- Mmmeemm... — odpowiedział ze zrozumieniem Marek.
- Jeśli zaraz nie wstaniesz, zostawię cię w statku i wyślę razem z nim na koniec wszechświata! Będziesz miał miłe towarzystwo. Pamiętaj, że mój zdalnik umie mówić... — zaśmiał się ojciec.
- Słowo „zdalnik” poruszyło w chłopcu jakieś sprężyny. Wskoczył z rozłożonego fotela jak oparzony.
- Co się stało?!
- Poza tym, że za półtorej godziny będziemy na miejscu, na razie nic — uspokoił go Bogdan. — Lecimy szybciej, niż przewidywałem, bo począwszy od Jowisza nie ma dzisiaj w przestrzeni żadnego ruchu. Pewnie dlatego, że wszyscy odbierają nasz komunikat i schodzą nam z drogi, ale to mimo wszystko dziwne...
- A radio? — spytał Marek, któremu stanęły przed oczami wydarzenia wczorajszego dnia.
- Ojciec pokręcił głową.
- Automaty robią co mogą. Wiesz, obliczyłem w nocy, ile czasu zajęłaby naprawa, gdyby wykonywali ją ludzie. Zgadnij?
- Marek tylko pokręcił głową. Pośpiesznie kończył toaletę i naciągał już na siebie lekki, biały kombinezon.
- Mniej więcej dwadzieścia pięć lat — oświadczył z dumą profesor. Ta nutka dumy była zrozumiała, zważywszy, że to przecież on sam konstruował automaty, które pracowały o tyle szybciej niż ludzie.
- Chłopiec zatrzymał się. Z jedną nogawką zamiatającą podłogę maleńkiej kabiny spytał:
- Jak to możliwe? Te anteny instalowali chyba żywi ludzie?
- Skądże znowu. Ludzie tylko dają automatom zadania, a one same sporządzają plany konstrukcyjne i potem je realizują. Czasy kiedy żywi projektanci sami rysowali plany i sporządzali szczegółowe programy dla komputerów, należą do zamierchłej przeszłości. Nie wiemy i nie chcemy wiedzieć, jak i co robią automaty. Określamy tylko funkcje, jakie powinno spełniać urządzenie, które one wyprodukują. Kiedyś gospodynie domowe także nie wiedziały, co się dzieje na przykład w pralce automatycznej. Wystarczało im, że wrzucały brudną, a wyjmowały czystą bieliznę. Masz zamiar tak paradować przez cały dzień? A może to jakaś nowa moda? — spytał niespodziewanie.
- Marek, który uważał, że jak pośpiech, to pośpiech, Skakał właśnie na jednej nodze ku drzwiom, nadal wlokąc po podłodze nogawkę kombinezonu.
- Zawsze mnie zagadasz! — odpowiedział atakiem.
- Ojciec zaśmiał się szczerze.
- Bądź zadowolony, że w przestrzeni trzeba oszczędnie gospodarować wodą! — zawołał. — Inaczej zbudziłbym cię o wiele szybciej...
- Chłopiec przypomniał sobie, w jak niegodny sposób ojciec wyrwał go ze snu wczoraj nad jeziorem, i nasrożył się jeszcze bardziej.
- U innych też już byłeś? — burknął.
- Jackiem zajął się Adam, a dziewczętami mama. Mnie jak zwykle przypadła najtrudniejsza misja. Jeśli się nie pośpieszysz, ze śniadania zostaną żałosne resztki. A zaraz potem będziemy musieli zająć się poważniejszymi sprawami. Niebawem lądujemy...

Nie wiadomo, co podziało skuteczniej, słowo „lądujemy” czy też wzmianka o śniadaniu, dość że minutę później obydwaj wchodzili już do dyspozytorni.

Przy stole, zastawionym skromniej niż wczoraj, ale jak z miejsca ocenił Marek, zupełnie zadowolająco, siedzieli Adam, Jacek i Anna. Zula krzątała się jeszcze przy syntezatorze żywnościowym, z którego dochodziła smakowita woń jajecznicy.

— Już jestem — zabrzmiał od progu dźwięczny głosik i nagle ktoś dał Markowi potężną bombę w plecy. Chłopiec wykonał kilka rozpaczliwych podskoków i znacznie prędzej, niż się spodziewał, wylądował nie tyle przy stole, ile pod nim.

— Och, przepraszam! — wykrzyknęła Lidka. — To dlatego, że jeszcze się na dobre nie zbudziłam...

— Mam nadzieję — powiedział z powagą Adam — że we śnie jesteś silniejsza niż na jawie. Inaczej pan Niziołek znalazłby godnego rywala... a raczej, o wstydzie, rywalkę...

— Nic nie szkodzi — mruknął Marek, gramoląc się na fotel.

— Umysł zdyscyplinowany potrafi zapanować nad ciałem w każdej sytuacji — zauważył Jacek.

— Zgadnijcie, co powiedziała Lidka, kiedy ją budziłam? — spytała z uśmiechem Zula.

— Nie! — wyrwało się znowu dziewczynie. Chwilę później śmiała się już wraz z innymi.

— Kim jest ten... jak powiedziałeś?... — Zula zwróciła się do Adama.

— Niziołek? Niedługo go poznacie. Ma na imię Dariusz i dlatego profesor Kapica nazywa go królem albo królem królów, na pamiątkę jakiegoś starożytnego perskiego władcy, który ponoć kazał się tak tytułować. Bardzo miły człowiek. Jest automatykiem i pilotem. Na ZZAA-1 pracuje jako technik łączności. Słynie z tego, że potrafi podnieść solidny, kamienny pomnik średniej wielkości...

— Siła fizyczna! — parsknął Jacek z nieopisaną pogardą.

— Siła jak siła — odpowiedział filozoficznie Adam. — Czasem się przydaje. Natomiast sprawność fizyczna jest potrzebna każdemu, kto myśli o gwiazdach. Niziołek ma łapy jak koparki, ale potrafi nimi naprawić urządzenie, którego nie widać gołym okiem...

— Automaty zrobią to i tak lepiej...

— Automaty nie zawsze są pod ręką — uciął Adam.

Pierwszy skończył jeść profesor Sponka. Wstał, westchnął i bez słowa przeszedł do sąsiedniej sterowni. Otwarte drzwi pozwalały wszystkim obserwować jego poczynania. Stał nad centralną łączności i pokiwał głową. Następnie zlustrował uważnie czujniki, przyjrzał się ekranom, a wreszcie usiadł w fotelu pilota, znikając za jego wielkim, łódkowatym oparciem.

— Odtąd musimy już bez przerwy sami kontrolować kurs — mruknął pod nosem Adam. — Ostatni etap lotu...

— Jeszcze daleko — powiedział lekceważącym tonem Jacek. — Niedawno przecięliśmy orbitę Plutona. A Transpluton jest przecież dwa razy dalej od słońca niż Pluton, który przez tyle wieków uchodził za ostatnią planetę naszego układu...

— Jako umysł ścisły i zdyscyplinowany — Adam wymówił te słowa bez śladu ironii, co nie przeszkodziło, że twarz Lidki rozjaśniła się promiennym uśmiechem — powinieneś wiedzieć, że „niedawno”, „dalej” i tym podobne słówka tutaj tracą jakiegokolwiek znaczenie. Jesteśmy na granicy Układu Słonecznego i lecimy bez radia...

— Ale automatyczny pilot nie potrzebuje radia? — zdziwiła się Anna. — Sam mówięś...

— Automatyczny pilot jest niezawodny... w granicach programu, jaki



przygotowali dla niego ludzie. Nigdy nie wiadomo, kiedy i gdzie zajdzie coś, co będzie wykraczać poza te granice. Automaty są niezawodne, ale nie potrafią wyjść poza to, co dało się przewidzieć. Ludzie są zawodni, jednak nie mają żadnych ograniczeń. To podstawowa różnica między Bogdanem a automatycznym pilotem.

— Sądysz, że coś nam grozi? — spytała Zula. Adam uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Nie. Ale gdybyśmy chcieli czuwać tylko wtedy, kiedy nam już coś grozi, nigdy nie polecilibyśmy do gwiazd. Zabrakłoby w pewnym momencie żywych kosmonautów.

— W przyszłości zajmę się automatami— złożył swoje kolejne oświadczenie Jacek. — Powinny być tak samo nieograniczone jak ludzie...

Lidka prychnęła gniewnie, co wzbudziło odruch protestu u Anny. Natomiast Adam powiedział poważnie:

— To niemożliwe. Żadna maszyna nie potrafi traktować świata dynamicznie, to znaczy z uwzględnieniem wszystkich zachodzących w nim procesów i zmian. Przecież każda sekunda przynosi mnóstwo nowych informacji o kosmosie, o osiągnięciach naukowych, o ludziach. Musielibyśmy budować maszyny w pełni niezależne, homeostaty...

— Co? — przerwał niezbyt grzecznie Marek. — Co budować?

— Automaty zdolne do samoorganizowania się... kiedy już będziesz umysłem zdyscyplinowanym — młody naukowiec zerknął przelotnie w stronę jajogłowego, który jednak udał, że nie dosłyszał — a poza tym trochę ciasniej wypełnionym wiadomościami...

— Ładnie ci się to powiedziało — burknął urażonym tonem chłopiec. Adam zaśmiał się, ale zaraz spoważniał.

— Zdolność do samoorganizowania się jest cechą organizmów żywych... a zwłaszcza ludzi, i zapewnia między innymi umiejętność działania w zmieniającym się świecie — wyjaśnił. — Teoretycznie można budować nawet tak niesłychanie skomplikowane maszyny. Tylko że wtedy prędzej czy później moglibyśmy mieć z nimi kłopoty... jak z niegrzecznymi dziećmi — zakończył. — A teraz przepraszam, pójdę zobaczyć, czy automatyczny pilot sprawuje się jak przystało ograniczonej maszynie.

Wstał i przeszedł do sterowni, gdzie zajął miejsce obok profesora Sponki.

— To jeszcze tylko godzina? — spytała po chwili Lidka. Jej oczy załśniły. — Ciekawa jestem, co powie tatuś... — szepnęła rozmarzonym głosem.

— Obawiam się, że z niespodzianki nici — powiedział niby to od niechcenia Jacek. — Gdybyśmy mieli radio, nie musielibyśmy nawiązywać łączności akurat z ZZAA-1. Wystarczyłoby meldować się w stacjach pośrednich. Ale skoro lecimy na oślep wysyłając na wszystkie strony ostrzegawczy komunikat, musieli go już odebrać. A więc wiedzą...

— Jako umysł niezdiscyplinowany stwierdzam, że rozumujesz nielogicznie — wtrącił się bardzo uprzejmie Marek. — Nawet gdybyśmy mieli radio, ojciec i Adam daliby znać profesorowi Kapicy, że są już w drodze. Przecież czeka na nich niecierpliwie. Natomiast nie musieliby mu wcale mówić, że my... to znaczy Lidka i ty, lecicie razem z nimi, skoro nasza wycieczka miała być niespodzianką dla waszego taty. Ale przecież pod tym względem nic się nie zmieniło. W komunikatach ostrzegawczych nie ma najmniejszej wzmianki, że oprócz ojca i Adama ktoś jeszcze znajduje się na pokładzie EB-5. Więc...

— Dziękuję, Marku! — zawołała Lidka, a chłopiec znalazł się nagle w jakiejś niezmiernie pięknej krainie, w której rosły piękne kwiaty i rozbrzmiewała nie mniej piękna muzyka. Z tej krainy wyrwał go dopiero chłodny głos Jacka.

— Rozumowanie bezbłędne — orzekł lojalnie jajogłowy. — Istotnie, popełniłem mały błąd. Kiedy będę dyrektorem Instytutu, zrobię cię swoim zastępcą...

— Słyszysz, Marku? — ucieszyła się podejrzenie głośno Zula.

— Nie radzę — mruknęła Anna. — Zaraz pobiegnie do jakiegoś zakazanego magazynu, znajdzie pomyłonego zdalnika i razem zrobią zamach stanu. A przynajmniej zepsują radio...

— Gdybym tam nie był poszedł, ten zdalnik zrobiłby coś znacznie gorszego — odparował Marek. — Miał do dyspozycji potężną energię...

Lidka wzdrygnęła się, jakby nagle chwyciły ją dreszcze.

— To było niebezpieczne... — wyszeptwała.

Siostra przyszłego zastępcy dyrektora pokiwała ze zrozumieniem czarną główką.

— Zwłaszcza że nasz ciekawski wpadł na trop straszliwej szajki. Adam, ojciec...

— Daj spokój, Anno — wtrąciła pojednawczo Zula. — Było, minęło. Na drugi raz Marek podejmując jakąś wielką wyprawę zaprosi może kogoś do towarzystwa. Myślę — zakończyła dość niespodziewanie — że na przykład ja bardzo bym chciała zobaczyć ten stary poligon nad Jeziorem Tajemnic...

— Dziecko jest dziedzicznie obciążone — stwierdziła surowym tonem Anna. — Jak tu kształtować charakter młodego człowieka, jeśli jego rodzona matka...

— W każdym razie nie łamię dziecku kariery, jak jego rodzona siostra, która radzi dyrektorowi Instytutu, żeby go nie robił swoim zastępcą... — przerwała ze śmiertelną powagą Zula. Anna uśmiechnęła się kwaśno, a Lidka parsknęła śmiechem, co przekonało Marka, że także może się roześmiać. Nawet jajogłowy po namyśle wydał z siebie niktę: ha, ha, ha.

Zabawę przerwał Adam. Stał w drzwiach sterowni i zawołał:

— Za pięć minut będzie radio! A przed nami leci jakaś rakietka. Sygnalizuje laserem...

— Rakietka?!

— Gdzie?

— Kto to?

— Tata! — w okrzyku Lidki zabrzmiała niezachwiana pewność.

— Jest na ekranie?

— Duża rakietka?

— Możemy pójść do was?!

Adam oderwał dłonie od uszu i powiódł po kabinie nieprzytomnym wzrokiem.

Wreszcie potrząsnął głową, jak człowiek, któremu przed chwilą przywidziało się coś okropnego, i powiedział:

— Obcy statek jest widoczny na ekranie czołowym. Zrównał szybkość z nami i leci przed EB-5, naszym kursem. Pewnie specjalnie, żeby nawiązać kontakt.

— Możemy przejść do sterowni? — powtórzyła za Markiem Zula. — Będziemy się zachowywać, jakby nas tam nie było — zapewniła.

Adam zawahał się przez moment, po czym machnął ręką.

— Chodźcie. Tylko nie odzywajcie się do Bogdana. Jest teraz bardzo zajęty...

Przestroga była o tyle zbędna, że profesor Sponka nie zwróciłby chyba uwagi na słońca, gdyby ten nagle stanął obok niego i przemówił ludzkim głosem. Siedział lekko pochylony do przodu i co jakiś czas szybko wduszał któryś z kolejnych przycisków w pulpicie sterowniczym. Twarz miał zupełnie nieruchomą, tylko jego oczy przeskakiwały z głównego ekranu na wskaźnik komputera i z powrotem.

Weszli na palcach i stanęli milczącym szeregiem za jego plecami. Marek kątem oka zauważył, że Adam daje im jakieś znaki. Spojrzał we wskazanym przez młodego naukowca kierunku i zobaczył, że przez boczny ekran przeskoczyła cieniutka, ale ostra jak błyskawica niteczka ognia. Strzeliła z czerni przed statkiem i pomknęła ku

gwiazdom.

— Nic nie widzę — zabrzmiał tuż przy jego uchu cichutki, rozpaczliwy szept.

— Tsss — przestraszył się Jacek.

Marek pochylił się do Lidki, wziął ją za rękę i wycelował jej palec prosto w ten punkcik strzelający złotymi szpileczkami.

— Interpretacja! — powiedział nagle profesor Sponka. W zupełnej ciszy jego głos zabrzmiał jak wystrzał. Wszyscy drgnęli, a Anna odruchowo wtuliła głowę w ramiona.

— Spełniam polecenie — rozległ się ten sam miękki głos, który przemawiał ze ścian nawigatori, zanim odezwał się niewidoczny zdalnik Bogdana. — Przekazuję znaczenie odebranych sygnałów. Z pokładu IPG-1 wita was profesor Karol Saperda. Nadaję wezwanie awaryjne...

— A mówiłam! — rozległ się rozradowany głosik.

— Tato!

— Proszę nie przeszkadzać! — rzucił nie odwracając się Sponka. Lidka, a także nie wiedzieć czemu Marek wstrzymali dech w piersiach.

— Stacja ZZAA-1 nie emituje już kodu namiarowego — mówił dalej komputer swoim beznamiętnym głosem. — Załoga opuściła stację ZZAA-1 osiem godzin temu. Zredagowano komunikat ostrzegawczy. Ruch w całym obszarze Planet Granicznych został wstrzymany...

— To dlatego dolecieliśmy tak szybko — szepnął Adam. — Powiniennem się był domyśleć, że coś jest nie w porządku...

— Cisza! — huknął profesor Sponka. Adam położył sobie palec na wargach i przybrał pokorny wyraz twarzy. W jego oczach odmalował się jednak niepokój.

W przestrzeni przed statkiem pojawiła się nagle nowa gwiazda. Zaczęła szybko rosnąć, świeciła coraz jaśniej, jaśniej...

— Interpretacja!!! — ryknął znowu ojciec Marka, takim głosem, że wszystkim obecnym ciarki przeszły po krzyżach.

— Brak danych — odrzekł łagodnie komputer. — Czekam na nowe sygnały.

— Wzywam EB-5! Wzywam EB-5! — padło raptem z głośników. Marek przez chwilę był święcie przekonany, że to znowu zbuntował się jakiś zdalnik, by tym razem zepsuć komputer. Z błędu wyprowadził go okrzyk Lidki:

— Tato!!!

Był to już trzeci czy czwarty raz, kiedy Lidka sprzeniewierzyła się obietnicy danej przez Zulę w imieniu wszystkich, których wpuszczono do sterowni. Tym razem jednak nikt nie zwrócił na to uwagi. Bo jeśli tutaj, w EB-5, odezwał się głos profesora Saperdy, to mogło znaczyć tylko jedno. Automaty naprawcze uporały się wreszcie z uszkodzonymi przekaźnikami łączności...

— Tu EB-5 — powiedział spokojnie ojciec Anny i Marka. — Słyszę cię. IPG-1. Odbiór.

— No, nareszcie — huknęły głośniki. — Ludzie, za dwie minuty roztrzaskalibyście się o naszą starą stację ZZAA-1. Zmieniliśmy jej orbitę przed eksperymentem... leży nadal na waszym kursie, ale znacznie bliżej...

— To ta gwiazda — szepnął Adam. Zły na siebie potrząsnął niecierpliwie głową i zacisnął dłonie w pięści.

— Poczekaj, Karol — powiedział szybko profesor Sponka. — Komputer, proszę sprawdzić sekcje...

Ekran kontrolny komputera zamienił się w wirujący z opętańczą szybkością kalejdoskop. Następnie przybladł, zmatowiał, a ułamek sekundy później znowu rozległ się łagodny głos:

— Wszystkie sekcje sprawne.

— Zmiana kursu — powiedział dopiero teraz Bogdan. Wszyscy usłyszeli westchnienie ulgi, jakie wyrwało się Adamowi. Ale też z wyjątkiem człowieka, który siedział przy sterach, nikt lepiej nie zdawał sobie sprawy, jak blisko byli katastrofy. Rzekoma gwiazda na ekranie czołowym powiększyła się już do niebezpiecznych rozmiarów i przybrała kształt dużej stacji kosmicznej. W tym rejonie znajdowała się tylko ZZAA-1. To ona właśnie, jak oświadczył przed chwilą profesor Karol Saperda, zmieniła orbitę i „wysłała” im na spotkanie. A przedtem, opuszczona przez ludzką załogę, przestała ostrzegać o swoim istnieniu. Dlatego komputer sterujący automatycznym pilotem prowadził EB-5 prosto na nią, kierując się danymi, jakie otrzymał przed startem. Gdyby ojciec Lidki i Jacka spóźnił się o kilka sekund, gdyby o te same kilka sekund dłużej trwała naprawa radia...

Teraz statek profesora Saperdy zniknął z ekranu. IPG-1 musiał zejść z kursu, żeby samemu nie roztrzaskać się o kosmiczną stację, ale i EB-5 wszedł już w ostry łuk wymijając ZZAA-1. Przelecieli obok stacji tak blisko, że kto chciał, mógł na własne oczy zobaczyć za iluminatorem opuszczone schrony, zabudowania, lądowiska. Wszystko było oświetlone potężnymi reflektorami. Na głównym polu startowym zauważyli stojący pionowo wysoki zaostrzony u góry walec. Była to, jak potem się okazało, jedyna pozostawiona na ZZAA-1 rakieta dalekiego zasięgu.

Minęło kilka sekund. Stacja pozostała szczęśliwie za nimi i wtedy ponownie zabrzmiał z głośników znajomy głos.

— Słyszę cię, Karol — odpowiedział niezupełnie regulaminowo Sponka. — Czy teraz możesz nam już wyjaśnić, co to wszystko znaczy? I dokąd właściwie lecimy?

— Prowadzę was na ZZAA-2, do rezerwowej bazy. Lećcie za mną, to blisko, nie warto wprowadzać korekty do programów...

— Ale przecież na ZZAA-2 mieliśmy się przenieść bezpośrednio przed eksperymentem — zdumiał się profesor Bogdan Sponka.

— Stary przyspieszył termin próby — odpowiedział Saperda. — Gdyby wasze odbiorniki funkcjonowały normalnie, musielibyście już o tym wiedzieć. Od wczoraj idą co chwila komunikaty na wszystkich pasmach, w osiemnastu programach trivi i radio. Ruch w tym rejonie został całkowicie wstrzymany.

— Ale dlaczego... — pilot EB-5 urwał w pół słowa. Być może przyszło mu na myśl, że stało się coś, o czym nie powinni wiedzieć Wszyscy zgromadzeni teraz za jego plecami. Profesor Saperda nie mógł jednak widzieć sterowni podążającego jego śladem statku i poświęcających w jej mroku sześciu par oczu. Toteż odpowiedział jakby nigdy nic:

— Odebraliśmy nie znane dotąd promieniowanie kosmiczne. Po wstępnych badaniach okazało się, że niesie ono pewne informacje. One są logiczne! Rozumiesz, co to znaczy?

— Chyba rozumiem — mruknął Sponka. — Ale to jeszcze nie musi niczego znaczyć — dodał z zastanowieniem. Brzmienie jego głosu świadczyło jednak, że wiadomość wywarła na nim głębokie wrażenie.

— Nie musi — zgodził się Saperda — ale może. Tak przynajmniej uważa stary. Podobnie myśli profesor Zyz.

— A ten co tutaj robi?

— Kto? — szepnął z mimowolnym niedowierzeniem Marek. Promienie, informacje, logika? Co to wszystko znaczy? Do tego ten jakiś... jak mu tam?...

— Tss... — Adam ponownie położył palec na wargach.

— Profesor Zyz? — powtórzył Karol Saperda takim tonem, jakby się uśmiechał. Przyszli go z Ziemi specjalnie, żeby obserwował, a potem zaopiniował nasz eksperyment. Sprzeciwiał się przyspieszeniu terminu próby, ale Kapica potrafił go przekonać. Chciałbym zobaczyć takiego — dodał jakby do siebie — którego nasz

stary by nie przekonał...

— Oj, to prawda — tym razem sam Adam nie mógł się powstrzymać, by nie potwierdzić scenicznym szeptem uwagi pilota IPG-1 o swoim stryjecznym dziadku.

— Czy namierzyliscie kierunek tego promieniowania? — pytał dalej Sponka, łypnąwszy przedtem groźnie na Adama, który natychmiast umilkł.

— Tak — odpowiedział profesor Saperda. — Biegnie z okolic gwiazdozbioru Reticulum...

— Daleko...

— Uhm... A jeśli nasz eksperyment... uważaj, EB-5! — rzucił nagle zmienionym tonem ojciec Lidki i Jacka, nieświadom jeszcze ciągle niespodzianki, jaką zgotowały mu jego pociechy przylatując na niewinną, kilkugodziną wycieczkę. A swoją drogą kto mógł się spodziewać...

— Kurs zero, zero, jeden, zero... widzisz mnie?

W czerni przed dziobem statku rozbłysła pojedyncza ognista nitka.

— IPG-1, widzę cię — odpowiedział natychmiast Bogdan. — Idę twoim kursem...

— Silniki stop.

— Silniki stop — powtórzył pilot EB-5.

— Silniki zastopowane. Napęd na jałowym biegu — zameldował komputer.

— Trzymać kurs.

— Trzymać kurs.

— Stacja rezerwowa ZZAA-2 woła EB-5 — odezwał się tym razem z własnej inicjatywy miękki, beznamiętny głos.

— IPG-1, przerywam łączność — powiedział Bogdan Sponka. — Dziękuję...

— Nie ma za co — mruknął Karol. — Przekazuję cię stacji. Do zobaczenia za pięć minut.

— ZZAA-2 do EB-5! ZZAA-2 do EB-5...

— Słyszę. EB-5 odbiera.

— Co za licho was przyniosło akurat teraz?! I gdzie zbijałeś bąki do tej pory?! — rozległ się ostry, skrzekliwy głos, który Markowi od razu wydał się znajomy. Ależ tak! To był głos... to był głos...

Chłopiec odruchowo skoczył do drzwi zajrzeć do dyspozytorni i przekonać się, czy zdalnik profesora Kapicy siedzi dalej grzecznie w swoim fotelu. Dopiero kiedy zobaczył na własne oczy, że jegomość w niebieskiej koszuli jest chwilowo absolutnie niezdolny do przemawiania przez radio, w dodatku z jakiegoś innego obiektu kosmicznego, palnął się pięścią w czoło. Przecież ojciec swojemu zdalnikowi dał także własny głos. Tym bardziej musiał tak postąpić profesor Kapica, który zrobił z „niebieskiego” swojego wiernego sobowtóra!

Szybko wrócił do sterowni, w sam czas, żeby usłyszeć odpowiedź ojca.

— Umówiłem się z niejakim Aleksandrem Kapicą — rzucił lekkim tonem Bogdan Sponka — że przeprowadzę, pewne badania, niezbędne, jak słyszałem, dla powodzenia eksperymentu z rakieta kolapsacyjną i że wrócę na Transplutona, zanim przystąpimy do tego eksperymentu. Ale może się wtedy przesłyszałem?...

W głośniku coś zatrzeszczało, po czym rozległy się jakieś niewyraźne pochrząkiwania. Wreszcie niemiły głos raczył przemówić ponownie:

— Nie przesłyszałeś się, do wszystkich ślimaczych mgławic! Ale spodziewałem się ciebie wczoraj. Miałem wiadomość z twojego Instytutu na asteroidach. Odleciałeś stamtąd dwa dni temu. Wstąpiłeś po drodze na Merkurego, czy co?!

— Niewiele się pomyliłeś, profesorze — Sponka stanowczo nie był zbyt przejęty tonem starego Kapicy. — Byłem na Ziemi. Zabrałem stamtąd całą gromadkę pięknych kobiet i wścibskich dzieci.

— Co?!!!

— Wiem, wiem — zaśmiał się ojciec Marka. — Trochę nie w porę, jak się okazało. Ale przecież nie mogłem wiedzieć... mieli wrócić jutro naszym statkiem. Ten, na którym lecimy, przygotowałem specjalnie do eksperymentu.

— Kogo tam masz ?!!!

— Syna i córkę profesora Saperdy...

— I co ja z nimi zrobię!

— A także moją Annę, mojego Marka i moją... żonę...

Tym razem słynnemu uczonemu zabrakło słów. Głośnik zgrzytał tylko dłuższą chwilę. Właściwie nie odezwał się już ludzkim słowem aż do momentu, kiedy na ekranie czołowym EB-5 pasażerowie statku ujrzeli oświetlone reflektorami lądowisko rezerwowej bazy Instytutu Planet Granicznych. Wielka rakietka przywarła miękko do magnetycznej płyty. Po chwili komputer zameldował, że włączony jest połączony hermetycznym tunelem z budynkiem stacji.

Dopiero teraz Aleksander Wielki Drugi odzyskał zdolność mowy.

— Chodźcież wreszcie — zniecierpliwiał się. — Skoro już jesteście...

W okrągłej salce, której sklepienie przypominało wydrążoną górną połowę gruszki, powitał ich ojciec Lidki i Jacka.

— A cóż was tu przyniosło?! — zawołał głosem, w którym radość szła o lepsze z troską, a nawet lękiem.

— Stęsknili się za tobą — powiedział krótko Bogdan. Uścisnął mocno dłoń Karola Saperdy, która wciąż jeszcze tkwiła w grubej rękawicy należącej do próżniowego ekwipunku, i usunął się na bok.

Marek przyjrzał się uważnie profesorowi. Widział go dotychczas zaledwie dwa czy trzy razy w życiu, i to przelotnie, kiedy przychodził po ojca do gmachu Komisji Kosmicznej. Profesor Karol Saperda był mężczyzną średniego wzrostu, krępy, o jasnych włosach, szerokiej twarzy i wesołych oczach. Cieszył się opinią świetnego cybernetyka i pilota. Tutaj pełnił stanowisko zastępcy Kapicy, a to mówiło już samo za siebie. Razem z ojcem Marka był współautorem koncepcji lotów w nadprzestrzeni. Tyle że Bogdan Sponka miał, jak wiadomo, swój „własny” Instytut, a z Aleksandrem Kapicą związał się tylko na czas przygotowań do decydującego eksperymentu.

— Lidka i Jacek tak bardzo chcieli zrobić panu niespodziankę — powiedział niespodziewanie dla samego siebie Marek, patrząc w zasmucone orzechowe oczy. — A my z Anną skorzystaliśmy z okazji, żeby wybrać się na wycieczkę...

— To moja wina... — zaczęła niepewnie Zula.

— I moja... — przerwał jej lojalnie, choć także dziwnie cicho Adam.

Oboje „winowajców” pogodziła Lidka.

— Tato! — zawołała niemal ze łzami w oczach — jak na czulego ojca przeszedłeś sam siebie!

— Nie powinniśmy mieć mu tego za złe — rzekł przez nos Jacek. — Prawdziwy uczony zapomina o wszystkim, kiedy jest zajęty.

Dalszą orację uniemożliwił mu ojciec kładąc dłoń na jego ustach. „Prawdziwy uczony” uściskał mocno syna, po czym zwrócił się do Lidki. Ta zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła twarz w jego ramię. Ojciec podniósł ją i okręcił w powietrzu.

— Oj! — dobiegł stłumiony pisk z wnętrza profesora.

— Moje rozkoszniczki — powiedział podejrzenie miękko głosem profesor Saperda, stawiając dziewczynę z powrotem na ziemi.

Marek mimo woli zerknął z niedowierzaniem na jajogłowego. Nie do wiary, żeby taki wyblakły nudziarz miał tak sympatycznego ojca. Natychmiast jednak uświadomił sobie, że ten mężczyzna był także ojcem Lidki, i przestał się dziwić.

— Nie chcę wracać do tego, co było — sympatyczny ojciec nie wypuszczając z objęć swojej pięknej córki uśmiechnął się do Żuli i Adama — ale Kapica i tak wam nie daruje. Jest wściekły... po swoim, oczywiście. To znaczy, pokrzykuje...

— Przejdzie mu, kiedy się dowie, kogo mu przywieźliśmy... — mruknął obiecująco Adam.

— Jeszcze kogoś?! — zawołał z udaną zgrozą Saperda. — Mniejsza z tym — zerknął na zegarek i zaczął mówić szybciej. — Jeszcze dwie minuty, a nie mógłbym was przywitać... już nigdy — powiedział to lekkim tonem, nadrabiając miną, ale jego oczy mówiły co innego. — Zderzylibyście się z ZZAA-1. A gdybyście przylecieli godzinę później, dostalibyście się w strefę objętą eksperymentem. Teraz zostało czterdzieści minut. Nie ma się co dziwić staremu Kapicy, że jest trochę... zdenerwowany.

— Nie mogliście przesunąć tego eksperymentu, skoro wiedzieliście już, że lecimy? — spytała z łagodnym wyrzutem Zula. — Przecież odebraliście chyba nasz komunikat?

— Tak. Ale raz uruchomionego procesu kolapsu grawitacyjnego nie da się już przerwać... przynajmniej na razie tego nie potrafimy. Generatory ruszyły dokładnie o północy. Rozpoczęło się odliczanie. Powoli, lecz stale pole grawitacyjne wokół ZZAA-1 ulega zmianom. Za czterdzieści minut proces osiągnie stan krytyczny. Wokół naszej dawnej stacji powstanie coś, co dwudziestowieczni astrofizycy nazywali czarną dziurą. Wtedy z ZZAA-2 wystartuje doświadczalny statek... przygotowaliśmy na wszelki wypadek inny, ale skoro już jesteś — zwrócił się do profesora Sponki — skierujemy tam natychmiast twój EB-5...

— To dobrze — Bogdan skinął głową. — Poświęciłem sporo czasu, żeby go odpowiednio wyposażać. Sam tam będę — zaśmiał się krótko — kiedy wejdzie w nadprzestrzeń. — Ale nie podziękowaliśmy ci jeszcze, Karolu... — dodał ciszej. — Przecież lecąc przed nami, żeby nam wskazać drogę do rezerwowej stacji, sam mogłeś się rozbić o ZZAA-1. Nam zostały dwie minuty... ale tobie znacznie mniej...

— Tato!

— Tato!

Dwa młodzieńcze głosy zabrzmiały równocześnie. Sprawcy „radosnej niespodzianki” teraz dopiero zdali sobie sprawę, że ich ojciec uratował EB-5 nie tylko w ostatniej chwili, ale i z narażeniem własnego życia.

Saperda skrzywił się zabawnie.

— Gdybym wiedział, kto jest na pokładzie — powiedział, mrużąc jedno oko — zastanowiłbym się poważnie nad tym lotem. Rodzina jest dla biednego uczonego fatalnym obciążeniem.

— Dalszy ciąg mowy powitalnej — wymamrotała Lidka, nie odsuwając się jednak od ojca.

— ...nastąpi — zakończył Jacek. Wszyscy zaśmiali się, ale zaraz spoważnieli...

— Gdzie jest Kapica? — spytał profesor Sponka, rozglądając się po niewielkim pomieszczeniu. Oprócz przejścia na pole startowe znajdowały się tutaj tylko jedne, zamknięte drzwi. Te właśnie wskazał wzrokiem Karol Saperda.

— Wszyscy są w bunkrze obserwacyjnym — odpowiedział. — Nie mogą się doczekać. Stary Zyz...

— A właśnie — podchwycił Bogdan idąc już ku wskazanym drzwiom. — Wspomniałeś o nim. Kiedy przyleciał?

— Przedwczoraj. Jest oficjalnym delegatem Najwyższej Rady Naukowej. Od kiedy zaczęło się odliczanie, nieustannie zrzedzi — uśmiechnął się ojciec Lidki i Jacka. — Był przeciwny przyspieszeniu terminu próby...

— I chyba miał rację — Jacek wpadł znowu w swój uczonej ton. — Sikoro raz się

coś przemyślało i ustaliło...

— A tobie co się stało? — spytał zdziwiony Saperda.

— Cytujesz jakiegoś średniowiecznego mędrka?

Marek poczuł, że ma ochotę uściskać profesora Saperdę, tak jak zrobiła to Lidka. Swoją drogą — przeszło mu przez myśl — biedny uczony musiał ostatnio dość rzadko widywać się z rodziną, skoro zdążył odwyknąć od sposobu bycia swojego jajogłowego.

— Chodźmy do nich — zaproponował Bogdan. — Czy... — omiotł niepewnym spojrzeniem całą liczną gromadkę zgrupowaną w maleńkiej salce — zmieścimy się tam?

— Tak — powiedział Saperda, odrywając wzrok od twarzy Jacka, która stała się jakby odrobinę mniej blada. — Podczas eksperymentu musimy być wszyscy w bunkrze obserwacyjnym. Te ściany są mocne — wzniosł oczy 'ku kopulastemu sufitowi — ale nie wiadomo, co zrobią statki w warunkach kolapsu grawitacyjnego. Czy zamiast 'ku gwiazdom nie muszą z ZZAA-1 akurat tutaj, żeby nas „po drodze” staranować. Poza tym zostanie wyzwolona ogromna energia... a pierwsza stacja jest dość blisko. Bunkier wytrzyma, nawet, jeśli cała ta łupina, którą zbudowaliśmy podczas twojej nieobecności — tupnął nogą w podłogę — rozleci się na dziesiątki tysięcy okruchów. Chodźcie — zakończył ruszając jako pierwszy.

Przeszli przez niski mroczny tunel i stanęli przed grubymi, pancernymi drzwiami. Karol przesunął jakąś dźwignię i ciężkie skrzydło bezszelestnie się uniosło.

— Proszę — powiedział cofając się, żeby przepuścić gości.

Za Bogdanem weszła Zula ciągnąc za rękę Annę, następnie Lidka i Jacek. Marek chciał poczekać na Adama, ale ten pchnął go lekko w plecy.

— Nigdy już nie zostawię cię samego w miejscu, które możesz uznać za dostatecznie ciekawe, by...

— Dobra, dobra — mruknął chłopiec, posłusznie przekraczając niewysoki próg. Jako ostatni do bunkra wszedł profesor Saperda. Pancerne drzwi zamknęły się za nim równie bezgłośnie jak otwały.

W pierwszej chwili Marek nie mógł się zorientować w kształtach czy rozmiarach pomieszczenia, ani tym bardziej rozpoznać twarzy obecnych w nim osób. Dopiero kiedy jego wzrok oswoił się trochę z ciemnością, stwierdził, że co do twarzy przebywających tu ludzi to i tak nie mógłby ich żadną miarą poznać, ponieważ wszyscy siedzieli tyłem do drzwi, wpatrzeni w ogromny, panoramiczny ekran, przekazujący obraz nieba. Czerń nacętkowana gwiazdami. Tylko w dolnym prawym rogu wielkiej tarczy rysował się oświetlony reflektorem skrawek płyty startowej bazy ZZAA-2, ze statkiem, którym tak niedawno przybyli z Ziemi.

Karol Saperda chrząknął dwukrotnie, a kiedy to nie pomogło, powiedział bardzo głośno:

— Przyprawiałem gości...

Upłynęło jednak jeszcze kilka ładnych sekund, zanim dwie głowy poruszyły się. Przybysze usłyszeli gniewny pomruk, a potem dziwnie skrzypiący głos, który powiedział:

— Skoro już jesteście, znajdźcie sobie jakieś krzesła i siedźcie cicho. Do startu pozostało zaledwie dwadzieścia dziewięć minut.

— „Skoro już jesteście” — powtórzył z przekąsem Jacek.

— Tsss... — przestraszyła się Lidka.

— Jak niespodzianka, to niespodzianka — powiedziała pogodnym tonem Zula. Dopiero na dźwięk jej głosu jeden z siedzących przed ekranem mężczyzn wstał ze swojego fotela.

— Dzień dobry pani. Niespodzianka? Wiem coś o tym — zabrzmiał ten obcy,



zgrzytliwy i bardzo niezadowolony głos. — Kiedyś moja siostra uparła się, żeby pojechać ze mną, kiedy zakładaliśmy bazę na Uranie. Zaraz po przybyciu na miejsce zniknęła. Szukaliśmy jej dwie godziny. Potem się okazało, że poszła po jakieś okruchy skalne, żeby ozdobić nimi wnętrze prowizorycznej stacji. Tam są takie kolorowe, szpiczaste kamyczki... Kiedy ją znaleźliśmy, właśnie skończył jej się tlen...

— Kwiatki przydałyby się i tutaj — odpowiedziała z niezmaconym spokojem Zula — choćby skalne. Ale ja na razie nigdzie się nie wybieram... o ile oczywiście pana wspomnienia, panie profesorze, nie każą panu wyrzucić mnie stąd, kiedy zaczniecie eksperyment. Znam tu kogoś — obejrzała się na Bogdana — kto nie zmartwiłby się zbytnio takim obrotem sprawy...

— Tak? — rozległ się śmiech, przypominający skrzywienie kół muzealnego wozu — w takim razie nie zrobimy temu komuś tej przyjemności. Nie zasłużył na nią, przywożąc was tutaj. Nie gniewaj się, moje dziecko.

Marek oniemiał, słysząc, że jego rodzona mama jest dla tego Obcego człowieka „dzieckiem”, ale zanim zdążył zdecydować, czy powinien zabrać głos w tej sprawie, druga postać oderwała się od ekranu i podeszła do nich.

— Nie przejmujcie się tym, co on wygaduje — zabrzmiał niemal równie chrapliwy, ale tym razem znajomy głos. — Zrzedzi od północy...

— Cicho bądź! — ofuknął go pierwszy. — Więc, jak powiedziałem, moja mała, wybaczone, że na razie nie złożymy ci hołdów, należnych tak pięknej dziewczynie — Marek w tym momencie wypuścił z płuc powietrze i rozchmurzył się — ale ci — tutaj, a zwłaszcza Kapica — w jego głosie zabrzmiało udane lekceważenie — dostali takiego kręcka, że mnie, staremu człowiekowi, nie dali się nawet przespać, nie mówiąc już o śniadaniu. A wszystko przez to — wziął Zulę za rękę i pociągnął ją w mroczny kąt kabiny.

Marek natychmiast ruszył w ich ślady, a pozostali także nie czekali na zaproszenie.

Z mroku wyłonił się dość długi, prostokątny pulpit, w którym migotało kilkanaście maleńkich, kolorowych lampek. Powyżej umieszczono niewielki owalny ekran. Przez jego środek wiła się sinusoidalnie cieniutka, poświęcająca srebrzyście nitka.

— Chcecie posłuchać? — spytał „stary zrzęda”, po czym nie czekając na odpowiedź wcisnął jakiś klawisz.

— Ta-ti-ta-t-ta-ta-ta-ti... — zaśpiewało cichutko.

— Spokój tam! — huknął z głębi sali Kapica.

— To ty siedź cicho! — ofuknął go obcy. — Sam przez te „pi-pi-pi” straciłeś resztkę zdrowego rozsądku, a teraz nie pozwalasz nawet posłuchać ich swojemu rodzonemu wnukowi...

— Wcale nie rodzonemu, tylko stryjecznemu — odburknął Aleksander Kapica odrobinę łagodniejszym tonem. — A poza tym tutaj nie ma żadnych wnuków, a już w każdym razie dziadków... poza jednym — dodał z naciskiem.

Adam parsknął śmiechem, ale zaraz z przerażeniem zakrył sobie usta dłonią.

Tymczasem Sponka przyglądał się w milczeniu światelkom na tajemniczym pulpicie i falującej na ekraniku linii.

— Co to jest? — szepnął Marek wprost do ucha ojca.

— Centralka łączności dalekiego zasięgu — równie cicho odpowiedział zapytany.

Chłopiec przełknął głośno ślinę.

— To te sygnały?... Te niby „logiczne”?...

— Tak — odpowiedział Saperda, który nie wiadomo kiedy znalazł się za ich plecami. — Na razie nie udało się ich odszyfrować. Komputer pracuje nad tym od ładnych kilku godzin. Przekazaliśmy je już także centralnym placówkom informatycznym na Ziemi. Wiadomo tylko, że pochodzą z okolic gwiazdozbioru

Reticulum.

— A więc to?... — zaczęła najcichszym szeptem Zula i nie skończyła.

— Na razie nie wiadomo — mruknął Saperda.

— Czy?... czy?... — zająknął się Marek.

Ojciec spojrział na niego z powagą.

— Chcesz spytać, czy to przemawia do nas jakaś obca cywilizacja kosmiczna?

Może... — rozłożył ręce i przekrzywił głowę. — A może nie...

— O rany! — zapiszczało coś w mroku, za plecami profesora Saperdy.

— Fantastyczne! — wyrwało się Annie.

— Chyba za wcześnie, by wysuwać jakiegokolwiek hipotezy... — zauważył filozoficznie Jacek.

— Za wcześnie?... — westchnął Sponka. — Ano, chyba tak...

— W każdym razie nie da się wykluczyć, że słyszymy mowę mieszkańców gwiazd... — szepnęła przejęta do głębi Zula.

Dłuższą chwilę panowała cisza.

— To cudowne! — zawołała nagle Lidka. Ten okrzyk zabrzmiał już jednak stanowczo zbyt głośno, nie tylko dla profesora Kapicy, ale nawet nieznanego „starego zrędy”...

— Uspokójcie się — zawołali obydwaj naraz. — Siedźcie spokojnie i nie przeszkadzajcie — dodał Aleksander Wielki Drugi. — Sikoro już jesteście!...

## 8. Niziołek, kogo ty tam zamknąłeś?!

Bogdan Sponka ocknął się nagle. Spojrzał na zegarek, po czym zapominając o wszystkich możliwych oraz niemożliwych mieszkańcach gwiazd podszedł szybko do profesora Kapicy i szepnął mu coś do ucha. Słynny uczyony aż podskoczył.

— Co??? — przeszył kabinę dziki krzyk. — Gdzie?!!!

— Na moim statku — odpowiedział Sponka już normalnym głosem, słusznie mniemając, że w tej sytuacji konspiracyjne szept nie zdadzą się już na nic.

— Przed chwilą ktoś prosił o spokój — zazgrzytał starszy mężczyzna, ten sam, który mówił do Żuli „moja mała”.

— Nie! Nic! — Kapica zamachał gniewnie rękami. — Po co to tu przywiozłeś?! — zaatakował gwałtownie Bogdana.

— Co się stało? — dobiegł z mroku dziewczęcy szept. Marek rozejrzał się. Adam, który dotychczas stał obok nich, gdzieś zniknął. Chłopiec wyteżył wzrok i dostrzegł młodego naukowca po przeciwnej stronie sali. Tuż obok niego widniała jakaś jaśniejsza plama. Akurat w tym momencie nieznacznie zmieniła położenie i znalazła się także na tle ekranu. Od razu przeobraziła się w kobietę główkę, ozdobioną pięknymi jasnozłotymi włosami. Aha — pomyślał Marek — znalazł się więc powód, dla którego oczy Adama, jeszcze tam, nad błękitnym jeziorem tak często zasnuwała melancholijna mgiełka. Ina Krasek. To przez nią Adam przeobraził się w zbrodniarza... przynajmniej w wyobraźni młodego poszukiwacza przygód...

Chłopiec z niesmakiem odpędził od siebie wspomnienie tego, co przeżył i myślał w opuszczonym Instytucie oraz komórce pod antenami ojcowskiego statku. Z powrotem zaczął usilnie słuchać, o czym mówią uczeni, zajęci ważniejszymi sprawami niż najpiękniejsze nawet blondynki.

Bogdan Sponka skończył właśnie opowiadać profesorowi Kapicy osobliwą historię jego osobliwego zdalnika. Umilkł na moment dla zaczerpnięcia tchu, po czym powiedział:

— Teraz trzeba zdecydować. Możemy go wysłać razem z moim... albo przyprowadzić tutaj. To zależy od ciebie...

Kapica bez słowa sięgnął do rękawa swojej koszuli. Była tak samo niebieska jak ta, którą wczoraj ujrzał Marek ze szczytu wieży, jednak w nieco lepszym stanie. A poza tym w kieszonce na rękawie miała małą płytkę z przyciskami.

Dłuższą chwilę nic się nie działo. Nagle ciężka kłapa drzwi znowu powędrowała w górę. Na progu stanął... tak, drugi profesor Kapica.

— Jestem tu wreszcie — powiedział przybyły.

— Jestem — odrzekł identycznym głosem żywy uczyony. — Słyszałem, że narozrabiałem — dodał z przekąsem. — Hi, hi, hi...

— Hi, hi, hi — odpowiedziało chrapliwe echo.

— Co to jest?!!! — spytał okropnym tonem najstarszy z obecnych.

— Nie „co”, tylko „kto” — odpowiedziała postać w postrzępionej koszulinie i niebieskich spodniach. — O ile się nie mylę, jesteście tu już od dawna razem, profesorze Zyz?

Więc to jest ten członek Rady! — olśniło Marka. Słynny profesor Zyz, nestor astrofizyków! Jeden z kilkunastu ludzi, którzy w sprawach nauki mieli decydujący głos w całym zamieszkałym przez człowieka świecie. Miał chyba z dwieście lat. Nic dziwnego, że mama pozwoliła mu mówić do siebie per „moja mała”...

— Masz rację — powiedział Kapica do ojca Marka. Zmierzył jeszcze raz

spojrzeniem swego dziwnego sobowtóra i powtórzył z obrzydzeniem: — masz rację. Niech leci razem z twoim. W ten sposób będziemy mieć na — pokładzie eksperymentalnego statku dwóch dodatkowych informatorów. Siadaj tutaj — Wskazał swojemu zdalnikowi fotel, który opuścił przed chwilą.

Były mieszkaniec porzuconego Instytutu zachichotał i usiadł. Wtedy prawdziwy profesor z cichym westchnieniem ponownie sięgnął do kieszonki w rękawie koszuli. Postać w fotelu znieruchomiała.

— Nie chcę już żadnych niespodzianek — głos Kapicy stał się znowu suchy i chrapliwy. Nie pozwolę mu samemu wracać do rakiety. Niziołek go zanieśe...

— Chętnie! — zaśmiał się niewidoczny dotąd mężczyzna, siedzący nieco z boku i jak wszyscy inni zapatrzony w ekran. Teraz odwrócił się do profesora. Zobaczyli okrągłą twarz i czaszkę podobną do napompowanej piłki. Czy ktoś widział piłkę z włosami? No właśnie.

— Czy nikt mi nie raczy powiedzieć, co się tu właściwie dzieje?! — zagrział profesor Zyz. — Pytałem, zdaje się, kto to jest?! — spojrzał na niebieskiego, a potem przeszył strasznym wzrokiem Kapicę.

— Zdalnik — wyjaśnił ten ostatni.

— Kto?!!!

— Nie kto, tylko co — odciął się od swojego „sobowtóra” profesor. — Zdalnik.

— Taki?!

— A co? Nieładny? Hi, hi, ni — ucieszył się Kapica. — Co do mnie — dodał z dumą — uważam, że jest wyjątkowo przystojny. Hi, hi, hi...

Zyz zazgrzytał zębami.

— Co za czasy! — zakrzyknął wznosząc oczy do góry. — Uczeni bawią się jak małe dzieci! No, przynajmniej będę miał o czym pisać, sporządzając raport dla Rady...

— Ile zostało do startu? — Adam oderwał się wreszcie od swojej złotowłosej.

— Dwadzieścia jeden minut — odpowiedział profesor Saperda. —

Zaplanowaliśmy lot tak, żeby doświadczalny statek nie musiał lądować na ZZAA-1. Osiągnie starą stację dokładnie w krytycznym momencie eksperymentu. Inaczej mówiąc, od razu znajdzie się w polu kolapsu grawitacyjnego...

— I zniknie z przestrzeni oraz z czasu — uzupełnił ojciec Marka, co zabrzmiało jak dziwny żart, chociaż chłopiec wiedział, że obecnym tutaj nie w głowie żarty, przeciwnie, że przeprowadzają właśnie najdonioślejszą w dziejach współczesnej kosmonautyki próbę. Jeśli eksperyment się powiedzie, przed ludźmi stanie otworem cały wszechświat. Tak przecież mówił Adam... a potwierdził to potem ojciec.

— W takim razie — Kapica junior zmierzył wzrokiem swoją niedawną, domniemaną ofiarę — najlepiej byłoby go zabrać od razu. Za chwilę będziemy musieli cofnąć hermetyczny tunel łączący statek z bazą i wtedy pan Niziołek może mieć kłopoty...

— Poradzę sobie — zaśmiał się beztrąsko łysy, a Marek przypomniał sobie, co mówiono o jego sile.

— Co znowu chcecie zrobić? — zahuczał profesor Zyz.

— Odstawić „minie” na pokład EB-5 — odpowiedział Kapica. — Tam siedzę — Wskazał fotel.

— Ciemno jak w grobie — zauważył nie bez racji członek Rady. — Czy nie dałoby się zaświecić jakiejś lampy?

Pan Niziołek wstał i podszedł do ściany. Zabawne — pomyślał Marek — baza na pograniczu Układu Słonecznego, pełna automatyka, krok od próżni wszechświata, a światło zapala się jak w muzeach.

Salę wypełniła łagodna jasność.

— Idiotyczne żarty! — Profesor Zyz doszedł najwidoczniej do wniosku, że nie wyraził jeszcze dostatecznie mocno swojego oburzenia. Stał dysząc ciężko i wodził gniewnym wzrokiem od jednego Kapicy do drugiego.

— Kiedyś to był żart — wyręczył jednego z tych dwóch Kapiców trzeci, a mianowicie Adam. — Teraz został już tylko kłopot... — zaśmiał się cicho.

— Zabrać natychmiast jednego z nich!!!

— Właśnie to robię — powiedział wesoło pan Niziołek. Odszedł od kontaktu i ruszył w stronę fotela, zajętego przez nieruchomą postać.

— Tato — spytała szeptem Lidka — co on robi?...

— Zabierają zdalnika na pokład rakiety — wyręczył ojca Jacek. — Bawią się, zamiast myśleć o eksperymencie — dodał tonem jakiego nie powstydziliby się sam profesor Zyz. — Kiedy będę dyrektorem... — nie skończył, bo raptem zgasło światło.

— Co się stało? — zabrzmiały zmieszane głosy.

— Komputer?! — rzucił rozkazująco Karol Saperda.

Miękki, beznamiętny głos, kubek w kubek podobny do tego, który przemawiał ze ścian dyspozytorni EB-5, odpowiedział natychmiast:

— Ktoś przekreślił kontakt. Proszę połączyć obwody. Sytuacja nie wymaga interwencji automatów naprawczych...

— Co jest, do licha? — mruknął pod nosem pan Niziołek, wracając z powrotem do kontaktu. Rozległ się cichy trzask i salę ponownie zalało światło.

— Dziwna historia — powiedział z namysłem Bogdan Sponka.

— Dziwna — zgodził się profesor Saperda.

— Nie dziwna, tylko głupia! — zirytował się Zyz.

— Nawet światła nie potraficie zapalić, a roją wam się podróże w nadprzestrzeni...

Niziołek idąc w stronę fotela, w którym siedział zdalnik, potknął się nagle o coś, co leżało na podłodze.

— A to co takiego? — mruknął. Przystanął, pochylił się i kopnął jakiś pręt, a raczej kawałek plastikowej rurki porzuconej przez kogoś w tak niestosownym miejscu. — Przysięgłbym, że tego tutaj nie było... — wymamrotał jeszcze pod nosem, po czym bez dalszej zwłoki chwycił niebieskiego pod pachy i przerzucił go sobie przez ramię. Wyraz jego pogodnej, wesołej twarzy nie uległ najmniejszej zmianie. Zupełnie, jakby podnosił gumową lalkę, wypełnioną gazem.

Doszedł do otwartych drzwi i zniknął w przedsionku poprzedzającym salkę o gruszkowatym sklepieniu.

— Jeden kłopot z głowy — pożegnał go niezbyt uprzejmym pomrukiem profesor Zyz. Następnie zwrócił się do ojca Marka:

— Ty także masz na pokładzie zdalnika, prawda? Całe szczęście, że ten przynajmniej jest trochę mniej podobny do oryginału! Wiem, wiem — zaśmiał się — to wcale nie dlatego, żebyś był choć odrobinę poważniejszy od Kapicy i żeby także nie przychodziły ci na myśl rozmaite psie figle! Po prostu przestraszyłeś się komplikacji, jakie mogłyby wyniknąć, gdyby twoja piękna żona ujrzała was obok siebie. Dopiero byłaby heca! Kapicy to na szczęście nie grozi. Starych kawalerów stać na najdziksze fanaberie... — urwał i spojrzał prowokacyjnym wzrokiem na Aleksandra Wielkiego Drugiego. Ten jednak wbrew oczekiwaniom nie tylko nie odpowiedział, ale nawet nie drgnął. Zyz poczekał chwilę, po czym wzruszył ramionami.

— A teraz zgaście światło i zajmijcie miejsca przed ekranem — powiedział. — Za dwanaście minut statek startuje. Odliczanie dobiega końca. Pospieszyci się, ale skoro już do tego doszło, trzeba ratować, co jeszcze można — dorzucił zgryźliwie.

— Na pewno wszystko będzie dobrze — powiedziała złotowłosa piękność wynurzając się zza Adama. Marek, podobnie jak to zrobił już kiedyś, kiedy ujrzał Inę

pierwszy raz, skinął potakująco głową. Dla tej olśniewającej blondynki z pewnością niejeden mężczyzna mógł porwać z opuszczonego Instytutu niejednego zdalnika. W dodatku piękność była miłą, wesołą dziewczyną i tak samo jak Adam asystentką samego słynnego Kapicy.

Teraz przyszła gwiazda nauki zastąpiła przy kontakcie nieobecnego Niziołka. Znowu zapadła ciemność, a wraz z nią nastąpiła cisza. Tym donośniej zabrzmiał głos Jacka:

— Uważam, że jeśli zaplanowano tak ważny eksperyment na określony termin, to należało trzymać się tego terminu, a nie przez jakieś tam „pi-pi-pi” nagle przewracać wszystko do góry nogami...

— Jacku! — zawołał z wyrzutem profesor Saperda. Na nic więcej nie było już stać biednego ojca przyszłego dyrektora, bo jęknął tylko głucho i umilkł.

— No wiesz! — obruszył się Adam.

— Cicho bądźcie! — zgromił ich Zyz. — A ty, filozofie — zwrócił się do Jacka — posłuchałeś sobie tego „pi-pi-pi”, o którym wyrażasz się tak pogardliwie?

— Tak, ale...

— Żadne „ale”! — huknął członek Rady. — I w tobie samym nic wtedy nie „piknęło”? Wiesz, czym będziesz?! Stróżem, a nie uczonym! Będziesz siedział przy kalkulatorze i sprawdzał, czy dobrze liczy. Ja wybrzydzałem od wczoraj, bo po pierwsze wszyscy mnie znają z tego, że lubię zrzedzić i gdybym nagle przestał, to pomyśleliby, że jestem chory, a po drugie — z zazdrości! Tak, tak, z zazdrości! Mam, moje biedne, przemądrzałe dziecko, sto trzydzieści dziewięć lat...

To „moje biedne, przemądrzałe dziecko” zabrzmiało w uszach Marka jak najpiękniejsza muzyka. Niestety, nie mógł się poddać urokowi tej chwili, bo Zyz mówił dalej:

— Sto trzydzieści dziewięć — powtórzył wysokim, lekko zachrypniętym tonem. — Żeby nie wiem co, nie polecę już statkiem nadprzestrzennym... choćby z Reticulum rzeczywiście przysłali nam zaproszenie. Natomiast ten smarkacz Kapica niedawno skończył osiemdziesiąt dwa lata. Wszystko jeszcze przed nim. Rozumiesz, dlaczego jemu tak zależy na czasie i dlaczego ja udawałem, że jestem przeciwny przyspieszaniu eksperymentu? Czy sądzisz, że gdybym naprawdę tak myślał, pozwoliłbym temu pomyślnicowi nie czekać na profesora Sponkę?!

Wyrzuciwszy z siebie te zdania, które mówiły o członku Rady Naukowej więcej niż wszystkie encyklopedie i tysiące poświęconych mu artykułów, stary profesor wycelował oskarżycielskim gestem wskazujący palec w plecy pogrążonego w fotelu Aleksandra Wielkiego Drugiego. Ten ostatni jednak nadal zachował zupełne milczenie. Zyz jakby tylko na to czekał.

— Widzicie, jaki się z niego nagle zrobił milczek? Udaje, że nie wie o co chodzi! Próbowaliśmy nam wmówić, że ma na celu jedynie dobro nauki, a w rzeczywistości pali się do tego, żeby jak najprędzej wypróbować swój diabelski statek i polecieć do tych potworów z Reticulum! Co gorsza, o ile go znam — dodał gorzko — robi to z całą pewnością. Charakterek ma taki, że tylko pozazdrościł kobiecie, która nie wyszła za niego za męża.

Teraz w sali rozległy się ciche śmiechy. Wszyscy wiedzieli, że nestor astrofizyków, znakomity Zyz, darzy nie tylko szacunkiem, ale i sympatią profesora Kapicy. To znaczy wszyscy z wyjątkiem Jacka, bo przecież inaczej nie składałby „oświadczenia” wymierzonego przeciw Kapicy, a popierającego rzekomo opinię Zyza.

— Za sześć minut start — oznajmił łagodnym głosem komputer. — Automat płyty startowej rozpoczyna odliczanie. Statek EB-5 uruchamia silniki. ZZAA-1 przejmuje zdalne sterowanie. Proszę profesora Sponkę o nawiązanie kontaktu ze zdalnikiem.

— To on wie? — zdziwił się wymieniony.

— Pewnie, że wie — odpowiedział zamiast Kapicy Zyz. — Aleksander wiedział, że przylecisz na czas. Co prawda liczył, że to nastąpi wcześniej, ale skąd miał wiedzieć, że przywieziesz szkolną wycieczkę?

Profesor Sponka zrobił oko do Zuli, jakby chciał powiedzieć: „widzisz, jacy sympatyczni ludzie”, po czym sięgnął do kieszonki na rękawie. W pulpicie coś cicho zgrzytnęło i z głośnika pod ekranem popłynął głos informatycznego sobowtóra ojca Anny i Marka.

— Jestem sam — oświadczył zdalnik. — Startuję sam. To nie jest w porządku.

— No, w porządku! — jakby dla zaprzeczenia słowom zdalnika, rozległ się od progu wesoły głos. Pan Niziołek wszedł do bunkra, odczekał, aż opadnie za nim pancerna płyta drzwi, po czym zwrócił się do obecnych. — Odstawiłem go do kabiny nawigacyjnej. Statek gotów do startu. Cofnąłem już korytarz, który łączył właz EB-5 z naszą stacją...

— W takim razie — profesor Zyz spoważniał i spojrzął na zegarek — teraz wszyscy wkładamy skafandry. Start to pestka, ale nie wiadomo, co się stanie, kiedy rakieta osiągnie ZZAA-1 i wejdzie w nadprzestrzeń. Ta skorupa — obrzucił krytycznym spojrzeniem ściany — jest zdaje się dość wytrzymała, ale skafandry nie zaszkodzą. No, już, już! — zakończył niecierpliwie.

Niziołek podszedł do jednej ze skrzyń, ustawionych między pulpitemi sterowniczymi komputera i centralkami łączności, otworzył ją, po czym zapraszającym gestem skinął na Zulę.

— Pani pierwsza — powiedział uprzejmie. — Najładniejszy, błękitny...

Wezwana podziękowała uśmiechem, najpierw jednak pomogła ubrać się Annie i Markowi, a dopiero kiedy obydwie jej pociechy spojrzały na nią zza przezroczystych szyb wielkich kasków, sama sięgnęła po wybrany dla niej błękitny skafander. Równocześnie profesor Saperda sprawdzał stroje Lidki i Jacka. Profesor Zyz, Sponka, Adam, a także Niziołek kończyli toaletę niemal równocześnie. Tylko starszy Kapica siedział nadal nieporuszony w swoim fotelu.

— Hej, ty, — okrzyknął go wreszcie niezbyt elegancko Zyz. — Na co jeszcze czekasz? Nawiaż kontakt ze zdalnikiem, bo Bogdan zrobił to już pięć godzin temu, i wkładaj skafander!

Jednak nawet i tak kategoryczne zaproszenie nie poskutkowało. Wielki uczony, autor doniosłego eksperymentu, który się właśnie zaczynał, wyglądał tak, jakby zasnął akurat w najważniejszym momencie. Zyz warknął jeszcze kilka słów pod jego adresem, aż wreszcie stracił cierpliwość, podszedł od tyłu do fotela zajętego przez Kapicę i potrząsnął profesorem, jakby miał do czynienia z workiem ziemniaków. Wtedy dopiero drzemiąca postać w niebieskiej koszuli drgnęła. Pokryta gęstwą szpakowatych włosów głowa odwróciła się i obecni ujrzeli twarz profesora. Wyglądała dość dziwnie. Pomimo panujących w bunkrze ciemności wszyscy dostrzegli, że była trupio blada. Jeszcze bardziej zdziwiło ich to, co Kapica powiedział:

— Jestem sam... znowu jestem sam... dlaczego? Chcieliście, żebym leciał sam. Myślałem, że jeśli tu zostanę, ja zostanę także. Dlatego uderzyłem się w głowę — spojrzął na plastikową rurkę, o którą potknął się przedtem Niziołek. — Tymczasem wysłałem mnie zamiast siebie bo chciałem... chciałem... — nie skończył.

Bogdan Sponka przyskoczył do jęczącego profesora i bez ceremonii chwycił go za kark. Następnie pomagając sobie drugą ręką, także tkwiącą już w szorstkiej, próżniowej rękawicy, wywłókł Kapicę z fotela, uniósł go w górę na wysokość wyciągniętych ramion i przyjrzał mu się.

Obecnym zaparło dech w piersiach. Wysoko, na tle rozjaśnionej granatem tarczy ekranu ukazała się postać... tak, to był Kapica, to znaczy niezupełnie...

Bo przecież prawdziwy profesor Kapica miał na sobie porządną, niebieską koszulę, a nie jej strzępy...

— Niziołek!!! — wrzasnął Adam tak, że potężne, pancerne ściany bunkra zadrżały. — Niziołek!!! — powtórzył z rozpaczą. — Kogo ty zamknąłeś w nawigatorni statku? Za chwilę... za chwilę — głos uwiązł mu w krtani. Wydał z siebie jakiś spazmatyczny jęk i umilkł.

— Czas?!!! — ryknął Zyz. — Ile czasu?!!!

— Osiemdziesiąt trzy sekundy... osiemdziesiąt dwie... — popłynął ze ściany miły, obojętny głos.

Marek zrozumiał wszystko. Do startu EB-5 pozostało niespełna półtorej minuty. Tunel łączący statek z bazą jest już ściągnięty. Od rakiety i uwięzionego w niej przez tragiczną pomyłkę żywego profesora dzielą ich pancerne drzwi, korytarz, gruszkowata salka, zewnętrzny właz, niewielka przestrzeń próżni, bo na powierzchni maleńkiej sztucznej planetki nie ma przecież żadnej atmosfery, wreszcie także zamknięta już na głucho kłapa wejściowa statku.

— Siedemdziesiąt sześć sekund... siedemdziesiąt pięć...

Nagle Niziołek rzucił się ku drzwiom.

— Awaryjne otwarcie! — rzucił pośpiesznie. — Mówi człowiek! Odblokowuję wszystkie automaty!

Płyta zamykająca pomieszczenie śmignęła w górę jak wystrzelona.

— Zostaw! — usłyszał chłopiec w słuchawkach swojego kasku zdławiony głos profesora Saperdy — nie zdążysz.

Ale Niziołek zniknął już w mroku wypełniającym pierwszą salkę. Wtedy Marek bez zastanowienia ruszył ostrym sprintem za nim.

— Stój! — usłyszał czyjś głos, ale nie zatrzymał się. W głowie kołatała mu jedna myśl. Niziołek zapewne zaraz otworzy zewnętrzny właz. Wtedy trzeba będzie dobiec do rakiety... dostatecznie wcześnie, by przedostać się do jej wnętrza i wyciągnąć Aleksandra Kapicę. A przy całej swojej sile, Niziołek z pewnością nie biega tak szybko jak Marek... nawet na maleńkim, sztucznym globiku, gdzie nie ma żadnej grawitacji i ludzie chodzą w ciężkich, magnetycznych butach.

Chłopiec przyspieszył i za moment stał już obok Niziołka, który zatrzymał się przed wejściem do bazy powtarzając swoje awaryjne hasło. Z budynków stacji ucieknie zaraz powietrze, ale tym nie ma się co przejmować, ludzie mają przecież na sobie skafandry. Kiedy drzwi zamkną się za nimi, sprężarki od razu przywrócą bazie poprzednią atmosferę, a klimatyzatory na powrót ogrzeją wnętrze całej łupiny zawieszanej wśród gwiazd.

Jeszcze ułamki sekund, z których każda teraz miała wagę godzin, i Marek znalazł się przed budynkiem. Otoczyła go czerń. Reflektory zgaszono i odsunięto od pola startowego, aby nie uszkodziły ich silniki unoszące EB-5 ku nieznanemu przeznaczeniu. Tuż przed chłopcem majaczyła w mroku postać Niziołka. Teraz przyszła kolej na to, by zrobić użytek z własnych wypróbowanych nóg. Na kursie pilotażu pokazywano, jak poruszać się w obszarze pozbawionym przyciągania. Chłopiec pochylił się nisko, rozpostarł ramiona, jakby udawał ptaka, i ruszył do przodu. Wystarczyło kilka susów, by dopędził i przegonił Niziołka. Na tle czarnego, wygwieżdżonego nieba dostrzegł wysoki stożek statku. Otóż i kratownica prowadząca do włazu. Marek wspiął się po niej jak po rusztowaniu i w pierwszym odruchu uderzył rękawicą w zamkniętą pancerną płytę. Zaraz potem przypomniał sobie jednak „zakłęcie”, jakim Niziołek otwierał drzwi bazy. Powiedział:

— Mówi człowiek. Zarządzam awaryjne otwarcie włazu. Odblokowuję automaty.

Wydało mu się, że z aparatury zamka dobiegło cichutkie westchnienie, ale to musiało być złudzenie. Natomiast sam właz błyskawicznie i bez najmniejszego



szmeru stanął otworem.

Wewnątrz panowały zupełne ciemności. Marek przypomniał sobie o lampce przymocowanej do jego kasku, zapalił ją i wpadł do komory śluzy. Za sobą słyszał już gorączkowe sapanie Niziołka.

Nagle ten głos w słuchawkach umilkł, jak ucięty nożem. Chłopiec odwrócił się. Kłapa włazu wróciła na swoje poprzednie miejsce. Statek był znowu szczelnie zamknięty i gotów do startu. Nie szkodzi. Byleby tylko zdążył odnaleźć i zabrać profesora, to automaty, na wezwanie człowieka ponownie otworzą właz.

Pobiegł wzrokiem za smugą światła, padającą z jego czołowego reflektora. Wewnętrzne drzwi śluzy były zamknięte tak samo szczelnie jak główne wejście do rakiety. Stanął przed nimi i powtórzył:

— Mówi człowiek. Zarządzam...

Zaledwie skończył, i te drzwi otwały się posłusznie. Tuż za nimi ujrzał chłopiec pobladłą twarz tego, którego szukał. Niestety! Marek zapomniał, że Niziołek zabrał przecież rzekomego zdalnika bez skafandra. Chłopiec nie słyszał teraz obliczania komputera, nie wiedział, ile sekund pozostało do startu, natychmiast jednak zdał sobie sprawę, że nie zdąży wyszukać skafandra, pomóc Kapicy się ubrać i jeszcze go wprowadzić. Nagle usłyszał głos profesora:

— Na co czekasz? Wyskakuj!

— A... pan?

— Już cię tu nie ma! — warknął stary Kapica, najwidoczniej chcąc ocalić przynajmniej chłopca. On sam musiał już znacznie wcześniej obliczyć własne szanse.

Marek poczuł, że jego nogi stają się ciężkie jak ołów. Rzucił ostatecznie, rozpaczliwe spojrzenie profesorowi, po czym skoczył w stronę zewnętrznego włazu. Zachował jednakże dość przytomności umysłu, by krzyknąć:

— Niech pan zamknie przejście ze śluzy do wnętrza statku! Inaczej ucieknie powietrze! — Następnie odwrócił się.

— Mówi człowiek... — zaczął i urwał. Coś go tknęło. Zerknął przez ramię i zmartwił. Znakomity uczony, sławny Aleksander Wielki Drugi mocował się zawzięcie z automatycznym zamkiem drugich, wewnętrznych drzwi śluzy, pragnąc najwidoczniej użyć go jak archaicznej zasuwki. Mamrotał przy tym gniewnie pod nosem i błyskał w mroku białkami szeroko otwartych oczu.

Markowi opadły ręce. Nie zrobił nic. Nie poruszył się nawet. Poprzestał na tym „mówi człowiek”... i umilkł. Sprawa była aż nadto jasna. Jeśli teraz otworzy właz, żeby wyskoczyć na zewnątrz, zanim EB-5 wystartuje, kosmiczna próżnia wdrze się przez otwartą na przestrzał śluzę i w ułamku sekundy wysunie powietrze ze wszystkich pomieszczeń statku. W tym samym ułamku sekundy profesor Kapica umrze. O tym żeby Marek zdążył wyręczyć uczonego i zatrzasnąć zepsute przez niego wewnętrzne drzwi, nie mogło być mowy.

Natomiast jeśli nie dokończy tego, co chciał powiedzieć, nie każe automatom odblokować włazu, przeżyją obaj. Przeżyją, tylko że nigdy już nie zobaczą Ziemi... Zuli... ojca... Lidki... A może wszystko w ogóle skończy się za kilka minut, kiedy statek osiągnie stację ZZAA-1, w krytycznym momencie eksperymentu?

Jedno jest pewne. Jeśli Marek otworzy zewnętrzny właz, profesor Kapica nie będzie miał nawet tych kilku minut.

— Niech pan to zostawi, panie profesorze — powiedział, jak mu się wydało, mniej więcej normalnym głosem. Przeszedł nie spiesząc się przez komorę śluzy i stanął w wewnętrznym korytarzu. W tym momencie podłoga pod jego stopami zadrżała lekko. Chłopiec odgadł od razu, że statek już leci. Pomyślał, że stacja ZZAA-2, z jej bezpiecznym bunkrem, Niziołkiem, Zyzem, jajogłowym i... i... najbliższymi ludźmi na świecie została za nimi, pod nimi, z boku — to wszystko jedno w przestrzeni

kosmicznej, że wsiąkła w wieczny mrok, z rozsianymi w nim dalekimi, zimnymi gwiazdami i nigdy już się nie odnajdzie...

— Piekielne wynalazki — burknął z odrazą Kapica, kiedy Marek bez najmniejszego trudu, lekko i błyskawicznie poradził sobie z zamkiem śluzu.

Gdyby nie tragizm sytuacji, chłopiec byłby się musiał uśmiechnąć. Przypomniał sobie, co mówiono o przedziwnej zaiste niechęci słynnego uczonego do wszystkich, najprostszych nawet urządzeń mechaniczno–automatycznych. Przecież i zdalnik profesora tylko dlatego nie odleciał ich pantoplanem, że dysponując tymi samymi „umiejętnościami” co jego „oryginał”, po prostu nie potrafił sobie poradzić z pojazdem, kiedy ten najzwyczajniej ugrzązał w piachu.

— Piekielne wynalazki — powtórzył ze złością Kapica, po czym zmienił się na twarzy, przypomniawszy sobie nagle, gdzie jest i z kim. — I cóżes ty najlepszego narobił?! — wybuchnął niespodziewanie, obejmując chłopca ramieniem.

Marka tak zdziwił ten ludzki odruch u zrzedliwego profesora, że aż się cofnął. Zaraz jednak udało mu się nawet uśmiechnąć. Był to wprawdzie uśmiech, który przypadkowego widza mógł wpędzić w najczarniejszą melancholię, ale zawsze uśmiech.

— Przepraszam, panie profesorze — powiedział lekko tylko zachrypniętym głosem — wydaje mi się jednak, że nie tylko ja zawiniłem...

— Wydaje się, wydaje się — powtórzył prychnąwszy Kapica. — Wiesz, gdzie wylądujemy? Tam gdzie kończy się to, co jeszcze się nie zaczęło. Gdzie nie ma niczego takiego, czego by nie było. Rozumiesz?

— Niezupełnie...

— Hi, hi, hi...

Chłopiec aż się wzdrygnął, tak bardzo ów śmiech przypominał dźwięki, jakie wydawał z siebie ten, który choć tak podobny do stojącego teraz przed nim człowieka, nie był wcale kimś, a tylko „czymś”.

„Ktoś” przestał się nagle śmiać, posłał ostatnie, niezyczliwe spojrzenie „piekielnemu wynalazkowi” przy drzwiach śluzu i ruszył szybkim krokiem w stronę dyspozytorni.

— Chodź — skinął na Marka — musimy się przygotować...

„Przygotowania” do niewiadomego polegały na tym, że zajęli miejsca w głębokich fotelach. Przedtem profesor Kapica uzbroił się w kompletny skafander.

— Na wszelki wypadek — powiedział chichocząc. — Żeby mnie „tamci” nie wzięli za wariata, kiedy wylądujemy na rynku w samo południe...

„Tamci” to oczywiście mieli być mieszkańcy dalekich, a właściwie najdalszych gwiazd. Profesor oczywiście żartował, ale wizja lądowania na rynku w tłumie cudaczných potworów sprawiła, że chłopiec mimo woli przymknął oczy i otrząsnął się ze wstrętem. Nawet ciekawość piętnastoletniego mężczyzny ma swoje granice...

Słynny Aleksander Wielki Drugi Nauki nagle spoważniał. Spojrzał na chłopca z za szyby swojego kasku i potrząsnął głową.

— Słuchaj no, mój niedoszły wybawco — spytał — a czy ty w ogóle wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

Marek, bawiący myślami w strasznym, obcym świecie, nie od razu zdał sobie sprawę, że coś do niego mówiono. Zresztą akurat w momencie, kiedy padło to „rozumiesz”, spłynęło na niego olśnienie. Nie znaczy to, że ni stąd ni zowąd zgłębił wszystkie tajniki eksperymentu, który przygotował Kapica wraz z Saperdą i jego własnym ojcem. Za to przypomniał sobie, że przecież tutaj, na pokładzie tego statku lecącego nie wiadomo dokąd, jest Bogdan... niestety, nie żywy, z krwi i kości, ale przynajmniej jego wiedza, pamięć, jego zmysł obserwacyjny i umiejętność wysnuwania wniosków. A także... jego głos.

Zerwał się na równe nogi i podbiegł do pulpitu. Wiedział, które klawisze należy przycisnąć, żeby nawiązać głosowy kontakt z komputerem.

— Czy wiesz — spytał rozgorączkowanym głosem — że na pokładzie jest zdalnik ojca? To znaczy — poprawił się zaraz — informatyczna kopia profesora Sponki? Mogę z nim porozmawiać?

Kapica najpierw zachichotał po swoim, a potem zaczął głośno chrząkać, ale chłopiec nie zwrócił na to uwagi.

Komputer zastanawiał się przez kilka sekund, zanim odpowiedział.

— Niestety — przemówiły ściany miłym głosem — stwierdziłem, że oprócz mnie istnieje na EB-5 niezależny układ informatyczny. Ale wyposażono go w zupełnie odrębne, samodzielne połączenia. Nie umiem nawiązać z nim łączności. Żałuję...

— Spróbuj! — Marek załamał z rozpaczą dłonie. — Jesteś przecież taką mądrą ma... chciał powiedzieć „maszyną”, ale pomyślał, że to słowo mogłoby nie podobać się komputerowi. — ... Taki mądry... wybrnął wreszcie.

— Żałuję — powtórzył łagodny, obojętny głos — mogę tylko realizować przewidziany dla mnie program. Nie uwzględniono w nim możliwości podejmowania przeze mnie własnej inicjatywy w celu kontaktowania się z innymi zespołami informatycznymi, poza ludźmi. W tej chwili mogę rozmawiać tylko z żywymi osobami, przebywającymi na pokładzie statku. Od momentu startu straciłem łączność z ZZAA-2. Dziękuję...

Nie ma za co — o mało nie powiedział Marek, co najlepiej świadczyło o stanie jego uczuć i umysłu.

— Myśl była niezła — odezwał się drwiąco Kapica — ale gdybyś spytał przedtem mnie, a nie maszynę, to powiedziałbym ci od razu, że zdalniki mają specjalną łączność. Twój ojciec może rozmawiać ze swoim sobowtórem, który jest tutaj za ścianami, tylko za pośrednictwem fal biologicznych, które biorą początek w jego mózgu. Ale my tego nigdy nie usłyszymy. Chyba że uda mu się przestroić zdalnika tak, żeby ten sam nawiązał kontakt z tutejszym komputerem. Bo trzeba ci wiedzieć, że komputery stacji ZZAA-2 i naszego statku także nie mają łączności. Nie była potrzebna, skoro za pośrednictwem zdalników mieliśmy dostawać wiadomości ciekawsze od tych, jakich mógłby dostarczyć komputer. Dlatego załoga stacji nie ma wpływu na przebieg lotu EB-5, bo mogłaby go mieć tylko poprzez wydawanie poleceń komputerowi. Będziemy cały czas wiedzieć, że twój tato gawędzi sobie jakby nigdy nic z czymś, co siedzi metr od nas — wskazał pulpit — ale nic nam z tego nie przyjdzie. Nie uda nam się wtrącić własnych trzech groszy... hi, hi, hi. Nie, mój drogi — ciągnął z uciechą — jesteśmy zdani na własne towarzystwo. Ja mógłbym nawiązać kontakt z moim zdalnikiem, który został w ZZAA-2, ale cóż kiedy on był na tyle sprytny, że zabrał mi płytkę sterowniczą ze wzmacniaczami pół mózgowych... wiesz, tę, którą miałem w kieszonce — poklepał się prawą ręką po lewym ramieniu. — Najzwyczajniej wziął i wyrznął mnie w głowę. A kiedy straciłem przytomność, pozwolił Niziołkowi wynieść mnie jak związanego barana... zamiast siebie. Bogdan i Adam mieli zdaje się rację. Chyba rzeczywiście zostawiłem mu odrobinę zbyt wiele samodzielności... hi, hi, hi!...

— Ale czemu właściwie nie będziemy mogli usłyszeć ojca... ani jego zdalnika? To znaczy, dlaczego ta łączność jest taka... taka inna?... — spytał Marek, który niezbyt uważnie słuchał wywodów starego Kapicy. Profesor wzruszył ramionami.

— Przecież jesteśmy na tym statku raczej przypadkowymi pasażerami, prawda? Nie miało tu być żadnych ludzi. Po co więc było instalować normalną łączność? Przecież zdalniki jako kopie ludzkich umysłów są o wiele bardziej skomplikowane niż najlepsze komputery. Można się od nich dowiedzieć znacznie więcej ciekawych rzeczy. Przewidzieliśmy wszystko... z wyjątkiem tego, że sami pofruniemy na

pokładzie EB-5 w charakterze eksperymentalnych robotów. Hi, hi, hi...

— Mnie tam wcale nie jest wesoło — zastrzegł się nieco oda rzeczy Marek.

— Hi, hi, hi... — raz jeszcze zabrzmiało w odpowiedzi. — Nie ma rady, chłopcze. Jeśli twojemu tacie nie uda się przekonstrować swojego zdalnika, który leci z nami, tak, żeby samodzielnie nawiązał łączność z naszym komputerem, to nie mamy na co liczyć. Mój zdalnik będzie siedział cicho. A komputer poza informacjami, które tkwią w jego programie, jest głupiotki jak mała małpka. Hi... — zamierzał najwidoczniej zakończyć swoim zwykłym chichotem, ale niespodziewanie umilkł i spoważniał. — O czym to mówiliśmy? — spytał zmienionym tonem. — Aha, chodziło o to, czy ty w ogóle wiesz o co chodzi? Powinieneś przynajmniej coś niecoś zrozumieć skoro już tu jesteś... która to godzina? — spojrzął na zegarek i prychnął gniewnie. — Znowu stanął! Te idiotyczne mechanizmy zawsze się psują akurat wtedy, kiedy są potrzebne... naprawiałem go tak niedawno... sam — dodał z dumą, a Marek zrozumiał, dlaczego zegarek Kapicy nie mógł funkcjonować normalnie. — Została nam może minuta, a może mniej — profesor z niesmakiem oderwał wzrok od zegarka i mówił dalej. — Potem zbliżymy się do ZZAA-2, gdzie akurat w tym samym momencie... wiesz coś niecoś o geometrodynamice? — spytał, patrząc spod ściągniętych brwi prosto w niebieściutkie i okrągłe teraz jak dwa guziki oczy chłopca.

— Owszem...

— Nie szkodzi — stary Kapica zdecydowanie lepiej rozumiał ludzi niż mechanizmy. — Przyjmij łaskawie do wiadomości, że wszechświat, czyli także czas i przestrzeń są zbudowane z takich... no, takich cząstek — zamachał niecierpliwie rękami. — A jeżeli coś jest zbudowane z cząstek, to nie jest całkiem puste, prawda? Inaczej mówiąc, próżnia, która nas otacza, nie jest pusta. Z kolei te cząsteczki jak wszędzie, gdzie istnieją jakiegokolwiek cząsteczki tworzące masę, są w pewnych miejscach bardziej zbite, zacieśnione, a gdzie indziej pozostawiają dziury. Jeśli tak, to dokąd można przedostać się przez te dziury? No, dokąd?

— Do...

— Do nadprzestrzeni! — wykrzyknął tryumfalnie Kapica.

Marek przymknął na moment oczy.

— Nad-przes-trze-ni — przesylibizował. — Od wczoraj ciągle ktoś powtarzał to słowo, ale...

— Cicho! Przez ten przeklęty zegarek i tak nie wiem, czy skończę! Nie przerywaj i staraj się myśleć. Nie, nie! Nie myśl! I tak nie zrozumiesz — zdecydował. — Spróbuj tylko zobaczyć. Wyobraź sobie taki olbrzymi wieniec... wieniec... o czym to mówiłem? — ocknął się nagle.

— O jakimś wieńcu...

— Nie o jakimś, tylko o wieńcu, w którym jest wszystko. Układ Słoneczny, galaktyki, metagalaktyki i co tylko istnieje. Gwiazdy pędzące w różnych kierunkach po zakrzywionych torach wszystko, no wszystko. A wewnątrz tego wieńca jest takie coś, co nie tylko umownie nazywamy próżnią, ale w czym naprawdę nie ma nic. W ogóle nic. Pusta próżnia. Jesteśmy wśród gwiazd, w czasie i przestrzeni, a więc siedzimy w wieńcu... jak drobny listek jednej z roślin, z których go uwito. Jeżeli ten listek się urwie, jeżeli wpadnie do pustego kręgu wewnątrz wieńca, to znajdziemy się gdzie?...

— W pustej próżni — odparł Marek, jak mu się zdawało, do rzeczy.

— Hi, hi, hi! Wcale nie! To znaczy tak, oczywiście! Ale nie! — popisał się szczególną logiką Kapica. — Znajdziemy się w nadprzestrzeni...

— Znowu? — nie wytrzymał chłopiec. Profesor nasrożył się.

— Mówił dziad do obrazu... przecież przed chwilą rozmawialiśmy o geometrodynamice. Naprawdę nie potrafisz zobaczyć tego wieńca? Wienca, no! Takie

grube koło, a w środku pusto...

Chłopcu zabłyśły oczy.

— Tak... — powiedział z namysłem. — To widzę. Taka jakby opona, wewnątrz której zamiast dętki są wszystkie gwiazdy, galaktyki, wszechświat...

— Brawo! A teraz zrobimy dziurę w tej oponie i przez tę dziurę wydostaniemy się do pustej próżni pośrodku koła...

— No dobrze — zasepił się nagle Marek — ale po co? Skoro tam nic nie ma?

— Głupiś. Tam nie ma nic i jest wszystko, bo cały otaczający pustkę wieniec jest osiągalny... w ułamku sekundy. I nie tylko to miejsce, gdzie wydostaliśmy się z naszego świata, ale i każde inne. Tam przecież nie ma przestrzeni, a więc i odległości. Nie ma czasu, czyli „przedtem” ani „potem”. Stamtąd można w każdej chwili przebyć dowolną drogę; Przelecieć sobie na przykład trylion kilometrów po kolacji, żeby dobrze spać. Wylądować na najdalszej mgławicy... powiedzmy, sześć miliardów lat świetlnych stąd, obejrzeć widoki, może porozmawiać z kimś mądrym, bo niby dlaczego akurat tylko mieszkańcy Ziemi mieliby mieć dość oleju w głowie, żeby nie wstydzić się własnej ciekawości, wrócić spokojnie godzinę później;

— Ależ to wspaniałe! — wyrwało się chłopcu. Jeśli Kapica, co w końcu było zupełnie możliwe, wygłaszał swój wykład tylko po to, żeby odwrócić uwagę Marka od tego, co czekało ich... już nawet nie za całą minutę, to jego zamiar powiódł się w zupełności. — Więc ten eksperyment?...

— Właśnie! — zakrzyknął radośnie profesor. — Pomyślałem, że z tego naszego pięknego wianuszka... hi, hi, hi... można się wydostać, stwarzając przed statkami supersilne pola grawitacyjne, jakie od dawna istnieją w przyrodzie. Słyszałeś coś o czarnych dziurach czy jamach? Tak nazywano je dawniej. To są gwiazdy posiadające tak olbrzymią grawitację, że pod jej wpływem wchłaniają same siebie do środka... tego nie tylko nie zrozumiesz, ale i nie zobaczysz, niemniej zgódź się, że są takie gwiazdy. Pomyślałem sobie: a gdyby tak przed rakieta kosmiczną stworzyć skupisko cząstek tak gęste jak te gwiazdy? Tak gęste, a więc także wytwarzające supersilne pole grawitacyjne? Co by się stało z rakieta, która podobnie jak czarne dziury, wessałaby do środka samą siebie? I doszedłem do wniosku, że to jest właśnie droga z otaczającego nas, spostrzeganego zmysłami świata do innego, do nadprzestrzeni. Więc wspólnie z twoim ojcem i Saperdą zbudowaliśmy agregaty, które potrafią robić w przestrzeni sztuczne czarne dziury i stwarzać supersilne pola grawitacyjne. Pierwszy, zainstalowaliśmy na stacji ZZAA-1 i postanowiliśmy skierować tam eksperymentalny statek, właśnie w momencie kiedy ten agregat osiągnie pełną moc, o północy uruchomiliśmy aparaturę... kiedyś w przyszłości będziemy budować lepsze urządzenia, ale na razie nie potrafimy zatrzymać procesu, jaki się zaczął, kiedy przycisnęliśmy taki maleńki czerwony guziczek... hi, hi, hi... tak samo jak nie potrafimy zawrócić z drogi tego statku, bo zerwaliśmy łączność, iieby nie komplikować przebiegu eksperymentu. A teraz, zamiast zdalników sami przekonamy się jak to jest, kiedy coś zbudowanego ze zwykłych cząstek zaszczyci swoją obecnością rejon kolapsu grawitacyjnego. Hi, hi, hi...

— Kolapsu? — powtórzył niepewnie chłopiec marszcząc brwi. Przypomniał sobie, że ojciec, Saperda i Adam wymieniali w rozmowach słowo „kolapsacyjny”, ale pamiętał również, że nie miał pojęcia, co to słowo znaczy...

— No przecież mówię! — zawołał Kapica. — Kiedy znajdziemy się w szczytowym punkcie natężenia supersilnego pola grawitacyjnego, czyli w kolapsie...

I to niezrozumiałe słowo było ostatnim, jakie dotarło do uszu chłopca. Jego myśli rozmyły się nagle, jak to bywa czasem tuż przed zaśnięciem. Przez moment zamajaczyły mu pod opadającymi powiekami wielkie, złociste klapsy spadające niesłychanie powoli z dorodnej gruszy, wzdrygnął się, gdy pamięć ni stąd, ni zowąd

podsunęła mu wypowiedziane kilka lat temu słowa Zuli: „ej, bo dostaniesz klapsa”... następnie jego nos pochwycił miły zapach klopsów duszonych z grzybami, które ta sama Zula przyrządzała w sposób nieosiągalny dla innych śmiertelników, wreszcie poczuł, że fotel ucieka spod niego w otwartą czeluść bez dna, że robi się czarno i tak pusto, jak nie bywa nawet w rozgwieżdżonej przestrzeni wszechświata. Zaraz potem głowa opadła mu na piersi i stracił przytomność.

## 9. Naucz mnie tęsknić.

— Adam, zrób coś — szepnęła Ina kładąc swoją złotą główkę na ramieniu młodego naukowca. Ten zagryził wargi. Mimo woli powędrował wzrokiem w stronę Zuli, stojącej za plecami męża i wpatrującej się martwo w ekran.

— Godzina zero, zero — wychrypiął Bogdan. Omiótł spojrzeniem wskaźniki, odchrząknął i dodał zdławionym głosem: — już...

W bunkrze obserwacyjnym panowała zupełna cisza. Eksperyment, na który wszyscy czekali z taką radosną, pełną nadziei niecierpliwością, zmienił się nagle w ponurą tragedię.

— Niepotrzebnie biegł — odezwał się w pewnej chwili Jacek. — Gdyby zastanowił się, jaką ma szansę...

— Ty byś pewnie obliczał szansę, gdybym to na przykład ja znalazła się na miejscu profesora Kapicy — syknęła oburzona Lidka. — Ty...

— Nie... — szepnął jajogłowy. — Nie mów tak... Ja przecież, ja... — głos mu się załamał. Poczł muśnięcie czyjejś dłoni na swojej. Obejrzał się i ujrzał wpatrzony w siebie oczy Anny.

— Czemu zawsze robisz wszystko, żeby przedstawić się w jak najgorszym świetle? — spytała cicho dziewczyna. — Tam jest mój brat i wiem, że wcale nie myślisz tak, jak mówisz...

— Nie — wymamrotał Jacek. — Ja... ja... nie biegam tak szybko jak on. On się zachował wspaniale... Ja... chciałbym tam być zamiast niego. Ja... widzisz, mnie się czasem coś tak powie, ale...

— Dajcie spokój — powiedział drewnianym głosem Adam. — Oni już... — nie skończył.

Znowu zapadło milczenie. Przerwał je po dłuższej chwili Zyz.

— Jak to się mogło stać? — zwrócił się uderzająco łagodnym tonem do Niziołka.

Łysy siłacz drgnął. Dotychczas, od pierwszej chwili kiedy” wyszła na jaw jego pomyłka, nie przemówił słowem. Teraz zamrugął rozpaczliwie powiekami.

— Wziąłem go z fotela... Wziąłem go z tego fotela, który on sam mi wskazał — załamał ręce. — Był nieprzytomny, to znaczy nieruchomy... widziałem przecież, że go wyłączył...

Zyz przeniósł spojrzenie na postać w wystrzępionej koszuli. Wszystkim stanęła przed oczami scena, kiedy to profesor Kapica postanowił wysłać swojego zdalnika w eksperymentalny lot na EB-5, razem ze sztucznym „sobowtórem” Sponki. Gdy Niziołek zmierzał w stronę spoczywającej w fotelu imitacji Aleksandra Wielkiego Drugiego, nagle zgasło światło. Następnie łysy automatyk potknął się o leżącą na podłodze rurkę.

— Powiedz — Zyz zwrócił się do sprawcy całego nieszczęścia — jak to zrobiłeś? Miałeś tabliczkę sterowniczą profesora?

Zdalnik pokręcił głową.

— Sam zgasilem światło — odpowiedział, a wszyscy od razu zrozumieli, że mówiąc o „sobie”, przemawia w imieniu prawdziwego Aleksandra Wielkiego Drugiego Kapicy. — Pomyliłem się. Nacisnąłem na tabliczce sterowniczej nie ten guzik, co należało...

Przynajmniej jedna zagadka znalazła wyjaśnienie. Słynny ze swego roztargnienia profesor znowu pokazał, co potrafi. Kiedy polecił Niziołkowi odtransportować do statku zdalnika, po prostu przycisnął o jeden klawisz za dużo. Równocześnie „ożywił” jęgomością w postrzępionej koszuli i... zgasił światło. Wtedy zdalnik

uderzył prawdziwego profesora plastikowym drągiem, zdając sobie sprawę, że go tylko ogłuszy. Automaty nie mogą porywać się na żywych ludzi, ale ten automat był czymś jedynym w swoim rodzaju. Także nie był zdolny do wyrządzenia poważniejszej krzywdy człowiekowi, ale wiedział, że cios zadany kawałkiem plastikowej rurki jedynie na jakiś czas pozbawi uczonego przytomności. Dlatego on mógł to zrobić. Następnie błyskawicznie ulokował profesora w fotelu, w którym sam dotąd siedział. Nieprzytomnego Kapicę zabrał Niziołek, a zdalnik zbyt późno zdał sobie sprawę, że osiągnął cel zgoła odmienny od zamierzonego, co zresztą sam zaraz potwierdził.

— Przecież wszystko co robiłeś do tej pory — głos Zyz brzmiał nadal łagodnie — na Ziemi i na pokładzie EB-5, kiedy zepsułeś radio, żeby ludzie nie usłyszeli ostrzegawczego komunikatu i nie zawrócili, zmierzało tylko do jednego: chciałeś znaleźć się jak najbliżej pro... to znaczy siebie — wpadł w sposób mówienia zdalnika. — Więc kiedy byłeś już z sobą — zawahał się, najwidoczniej nie potrafiąc znaleźć odpowiedniego słowa — dlaczego rozdzieliłeś się znowu? — wybrnął wreszcie.

— Wiedziałem tylko, że mam odlecieć... sam. Pomyślałem, że jeśli będę nieprzytomny, to zostawicie mnie w bazie. Tymczasem i tak odleciałem... nie trzeba było tego robić...

No tak. Prawdziwy Kapica włączył zdalnika, a potem jeszcze raz powiedział lub choćby tylko pomyślał, co ma robić Niziołek. To wystarczyło. Przecież umysł słynnego profesora i sztuczny umysł jego informatycznej kopii były sprzężone. W pewnym sensie naprawdę tworzyły jedno. Zdalnik dowiedział się, co chce zrobić Kapica i postanowił temu zaradzić... przy pomocy kawałka draga. Za późno zorientował się, że popełnił pomyłkę. On przecież chciał być tylko blisko profesora. Z jego punktu widzenia było zupełnie wszystko jedno, czy w przestrzeń poleci prawdziwy Kapica czy on. I tak powstał, jak mówił, „sam”....

— Dlaczego to zrobiliście?...

Te słowa, wypowiedziane przez nieżywą, choć tak bardzo podobną do człowieka maszynę, wywarły na obecnych wstrząsające wrażenie. W zupełnej ciszy zabrzmiały dwa lub trzy głębokie westchnienia. Adam syknął, jakby go coś zapiekło. Tylko Zyz odczekał kilka sekund, po czym powiedział:

— Teraz powinienes nam pomóc sprowadzić siebie z powrotem na ZZAA-2. Pomyśl o tym. Jesteś przecież mądry...

— Ja chcę wrócić do siebie — odpowiedział zdalnik. — Ale nie mam z sobą kontaktu. Wzmacniacze pól mózgowych i fal biologicznych, jakie mam tutaj — wskazał tkwiącą w jego kieszeni płytkę „odziedziczoną” po profesorze — są za słabe...

W bunkrze obserwacyjnym znowu zapanowało milczenie. Wszyscy wiedzieli, że te wzmacniacze, o których mówił zdalnik, nie są wcale za słabe, ale użyć ich może tylko istota, która emituje naprawdę fale biologiczne, a więc żywy człowiek. Żaden sztuczny mózg, choćby najwspanialszy, nie wytwarza takich fal. Prawdziwy Kapica mógłby za pomocą tej płytki porozumieć się ze swoim zdalnikiem, choćby ten wywędrował do innej galaktyki. Odwrotna sytuacja nie Wchodzi w rachubę. Tego jednak nie zrozumie ten twór, który uważa się przecież za prawdziwego profesora. Zatem nie mają kontaktu... i nie będą go mieć. Czy nigdy? Jak uzyskać łączność ze statkiem, podróżującym przez nadprzestrzeń? Tam jest zdalnik Sponki... ale od niego mogą się jedynie dowiedzieć, jak przebiega eksperyment, co w tej chwili nie interesowało nikogo. Natomiast ten zdalnik nie może mieć najmniejszego wpływu na lot statku i za jego pośrednictwem nie połączą się z Kapica ani z Markiem, bo on sam nie ma nawet kontaktu z komputerem EB-5.



— Jakie mają szansę? — spytała nagle Zula. Wszyscy aż drgnęli usłyszawszy brzmienie jej głosu.

Ktoś przełknął głośno ślinę. Z miejsca gdzie stała Lidka, dobiegł cichy, przejmujący jęk.

— Szanse... — powtórzył cicho Adam.

— Nie czas teraz myśleć o szansach — powiedział nienaturalnie swobodnie profesor Sponka. — Trzeba zrobić wszystko co się da, żeby ich uratować. Nie mówię tak dlatego, że tam jest mój syn... nasz syn... — poprawił się, nie patrząc w stronę Zuli. — Ale...

— Wezmę raketę i polecę za nimi! — przerwał Niziołek. Mówił szybko, podniecony myślą, która świeżo przyszła mu do głowy. — Wejdę w nadprzestrzeń... pole grawitacyjne wokół ZZAA-1 jest jeszcze chyba dostatecznie silne. Może ich znajdę... to przecież moja вина... moja вина... — powtórzył. — Lecę! — rzucił się ku drzwiom.

— Stój! — huknął za nim Zyz. — Nie pleć bzdur! Szans na to, żeby odnaleźć statek lecący gdzieś w nadprzestrzeni, nie masz w ogóle żadnych. Ja także jestem przeciwny mówieniu o szansach, ale co innego rachunek prawdopodobieństwa, a co innego nonsensowne szaleństwo!

Niziołek zatrzymał się przy drzwiach i spojrzął z wahaniem po obecnych.

— Profesor Zyz ma rację — rzucił sucho ojciec Marka. — Pozostaje jedna jedyna droga. Zmodyfikować łączność, którą utrzymujemy za pośrednictwem mojego zdalnika. Przecież jestem równocześnie tam i tutaj, a będąc tam, czuję potrzebę powrotu tutaj, żeby połączyć się ze mną samym. One tak mówią... i myślą. Zapomnieliście?

— Myślisz, że się uda? — mruknął z zastanowieniem profesor Saperda. — Trzeba by stąd przeprogramować zdalnik tak, żeby potrafił sam skonstruować łączność z komputerem EB-5. Nie wiem, czy to możliwe... musiałbyś ty sam wyobrazić sobie schemat takiej łączności i przekazać mu go... w myśli. Obawiam się, że fale biologiczne będą za słabe, żeby przenieść nie tylko informacje, ale i wolę działania... wiesz, co chcę powiedzieć...

— Mimo wszystko — powiedział Adam — w tym instynkcie tkwi jakaś nadzieja...

— Mówiliście, że to nie instynkt — szepnęła Zula.

— Ani instynkt, ani uczucie, ale nieświadomy pęd mojego zdalnika ku stacji ZZAA-2, gdzie jesteśmy, gdzie jestem ja. Rośliny także kierują się ku słońcu...

— Czy to nie za mało? — odezwała się milcząca dotąd Ina. — Jak powiedziałeś? Ani instynkt ani uczucie. A gdyby to było uczucie? Tak mocne jak twoje?...

— Ja się boję — w oczach Anny zaszklily się łzy. — O czym wy mówicie?...

Zula spojrzała na córkę z rozdzierającym uśmiechem. Następnie przeniosła wzrok na męża.

— Gdyby to było uczucie... — powtórzyła za Iną. — Ale przecież chodzi o maszynę. One mają ten jakiś; instynkt czy jak to nazwiecie. Masz rację — spojrzała na złotowłosą — że to za mało. Ba, gdyby to było coś innego! Ale jak tego dokonać? My czujemy. Może dlatego myślimy z nadzieją o zdalnikach? Mimo woli przypisujemy im ludzkie emocje?...

— Poczekaj, dziewczyno! — zawołał pogłosem Zyz. — W tym co mówisz... — urwał i spojrzął na Bogdana. Ten patrzył chwilę prosto w oczy profesora, po czym powoli skinął głową.

— Spróbujemy — wychrypiął. Chodź tutaj... — wstał i odwrócił się w stronę postaci, tak bardzo przypominające słynnego uczonego, Aleksandra Kapicę.

Marek siedział bez ruchu. Przed sobą miał nieprzeniknioną czerń. Chciał sprawdzić, czy to szyba jego kasku nie zaszła grubą warstwą sadzy, ale jego ręka ważyła zbyt wiele, by mógł ją podnieść do twarzy. Nie udało mu się nawet zamrugać powiekami, chociaż jego oczy były cały czas szeroko otwarte.

Siedział tak od niepamiętnych czasów. Nie potrafiłby powiedzieć, jak dawno temu odzyskał przytomność. Gdyby go ktoś spytał, jak się nazywa, także nie mógłby udzielić odpowiedzi. Niejasno zdawał sobie sprawę, że powinien zdobyć się na wysiłek i uruchomić szare komórki, a przynajmniej wyobraźnię, żeby coś zobaczyć, jeśli już nie zrozumieć... ktoś kiedyś radził mu coś podobnego... kto? kiedy?...

Nie, nic z tego. Nadal otaczała go czerń i taka sama czerń panowała pod jego czaszką.

Nagle usłyszał jakiś głos. Tak blisko i wyraźnie, że gdyby tylko mógł, niechybnie krzyknąłby z wrażenia.

— Mareczku, zjeżdż stamtąd — powiedziała kobieta.

— Dzielnny smyk! — zaśmiał się rubasznie jakiś starszy mężczyzna. — Włazł po tej dziurawej kratownicy na sam czubek rakiety! Żaden automat nie zrobiłby tego lepiej!...

— Niestety — odpowiedział inny, młodszy mężczyzna — co do mnie, wolałbym, żeby tak samo zgrabnie posługiwał się kalkulatorem. Wczoraj w przedszkolu powiedzieli mi, że posłużył się nim, żeby wbić hak w ścianę i powiesić na nim linę, po której wylazł na wysokość pierwszego piętra, zanim ktokolwiek to zauważył. A potem, kiedy go ściągnęli, rozebrał kalkulator do ostatniej śrubki.

Ten głos był znajomy. Tak mówił...

— To i dobrze! — zaśmiał się ponownie ten starszy. Nie ma nic gorszego niż zbyt grzeczne dzieci, które nie próbują przeciwstawić się temu światu, rządzonemu, przyznaciu sami, trochę nudnawymi prawami...

— Ojciec znowu swoje! — zaśmiała się kobieta i Marek poznał nagle głos mamy. Przyjął to spokojnie, nie mógł inaczej. Tylko ciemność, w której tkwił, stała się jakby mniej obca, cieplejsza...

— Marku, zjeżdż już... tylko uważaj... — powiedział młodszy mężczyzna. Ależ tak! Oczywiście że to był Bogdan. Tato... — Wiem, że jesteś zuch — mówił dalej ojciec — pokazałeś już, co potrafisz, a teraz wracaj...

Te wszystkie głosy dobiegały z dołu. Chłopiec zdał sobie sprawę, że siedzi na szczycie rakiety, którą dziadek przyleciał z wycieczki na Marsa, niespodziewanie, jak zawsze i wylądował na placyku przed ich domkiem z otwieranymi przezroczystymi ścianami. Była wtedy zima i nad Bałtykiem kwitły właśnie pomarańcze. Z wysoka chłopiec widzi ciemnozielone wierzchołki drzewek, których tu podobno sto lat temu wcale jeszcze nie było. Dziadek zwykł mawiać, że „od kiedy światem rządzą aurotechnicy, na Ziemi nie ma nawet gdzie ucziwie zmarznąć”. Dlatego tak często leciał na zimne globy, żeby pojeździć na nartach.

Chłopiec wiedział, co teraz nastąpi. Zula powie, że mężczyźni są solidarni...

— Wy, mężczyźni — zabrzmiał w dole głos mamy — jesteście zawsze tak obrzydliwie solidarni. Jeden się cieszy, że chłopiec ma najdziksze pomysły i łązi lichy wie gdzie, jak automat albo małpa, a drugi dodaje, że jest zuchem... Widzę, że nie mam tu nic do roboty...

— Poczekaj, mamó — odezwał się nagle nowy głos, jakby tuż przy uchu Marka. Ten głos był bardzo wysoki, żeby nie rzec: cienki i nieco zachrypnięty.

— Aha, teraz „mamó”! — zaśmiał się tubalnie dziadek i w tym momencie chłopiec wiedział już, że ten piskliwy głosik należał do niego samego. Zjeżył się wewnętrznie, bo przypomniał sobie dokładnie całą tę scenę i wiedział, co nastąpi za chwilę.

— Popatrz, dziadku, jak on wygląda! — zaśmiał się jeszcze inny, wysoki głosik.

— Całkiem jak ten szympans, którego widzieliśmy w rezerwacie, kiedy schodził z palmy...

— A ty jesteś szympansica! — odpowiedział ten pierwszy, piskliwy. — Wyyy... — dodał po chwili, przy czym nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że taki dźwięk mógł wydać tylko ktoś, kto równocześnie wyzywająco pokazywał światu swój język, w całej jego okazałości.

Zabrzmiały zmieszane śmiechy, które nagle ucichły.

— Mamo! — zapiszczało Markowi tuż przy skroniach — ona mi zabrała moją szapeszke! Oddaj zaraz! Słyszysz?! Tato!...

— Małpa, małpa, małpa! — cieszył się drugi cienki głosik, należący niechybnie do Anny.

— Przemile rodzeństwo! — zagrzemiał dziadek. — Oddajże mu tę jego „szapeszke” — dorzucił pogardliwie. — Myślałem, że to zuch, a tymczasem kwili jak przestraszony zając. Chodź, „szapeszko”, pójdziemy na ryby...

W tym momencie wszystko ucichło. Przez chwilę wokół chłopca panowała martwa cisza, po czym rozległy się ciche, pojedyncze odgłosy, jakby ktoś lekko pukał drewnianym patyczkiem w stalową blachę. Taki dźwięk wydają przekaźniki, pracujące w pulpicie sterowniczym wielkiego statku kosmicznego...

Ekran przed Markiem pojaśniał. Z czarnogranatowego tła wypłynęły gwiazdy. Równocześnie chłopiec zdał sobie sprawę, że w nim samym zaszła jakaś zmiana. Poruszył ręką, potem nogą. Wszystkie jego kończyny były sprawne i posłuszne, jakby nigdy nic.

— Nosi jesteśmy — zabrzmiał obok niego głos profesora Kapicy, tym razem z całą pewnością należący do terażniejszości. — Udało się! Hura!

Marek zmobilizował wszystkie siły, żeby chociaż uśmiechem dać do zrozumienia swojemu sąsiadowi, że podziela jego radość, ale zamiar okazał się niewykonalny.

— Panie profesorze! — zawołał tak cienko, jakby ciągle jeszcze miał cztery lata, rozbierał w przedszkolu kalkulatory i swoją ukochaną czapkę z daszkiem nazywał „szapeszka”. — Ja słyszałem to, co działo się bardzo dawno!...

— Co to znaczy „słyszałem?” — spytał podejrzliwie Kapica.

Chłopiec zaczerpnął głęboko powietrza i powiedział, jak było.

— Miałem wtedy cztery lata — zakończył. Profesor zamyślił się.

— Ja także słyszałem coś dziwnego — mruknął, nie wyjawiając bliżej o co chodzi. — Ale nie z przeszłości... raczej przeciwnie... No cóż — poweselał znowu — jesteśmy w nadprzestrzeni. A przynajmniej byliśmy w niej, przez... — zawahał się i rozłożył bezradnie ręce.

W tym momencie chłopca oblał zimny pot. Pomyślał, że skoro w nadprzestrzeni naprawdę przestaje istnieć czas, to od momentu ich startu z ZZAA-2 mogło upłynąć równie dobrze pięć minut jak i pięć milionów lat. Zawołał pospiesznie:

— Ile?! Ile?!

— Przecież wiesz, że ten przeklęty zegarek stanął — rzekł z nieukrywanym zdumieniem Kapica.

— Ale jak dawno opuściliśmy... to znaczy, od kiedy... oj — westchnął dziwiąc się, czemu tak ciężko wyrazić słowami tak oczywistą myśl jak ta, że we wnętrzu wieńca opony, czyli wszechświata, czyli właśnie poza nim, w pustej próżni, mogli przebywać tak długo, że...

Ale profesor jakimś cudem odgadł o co chodzi.

— Hi, hi, hi! — wypowiedział się po swojemu. — Na tym właśnie polega przewaga podróży w nadprzestrzeni, że człowiek dociera tam gdzie chce, niemal od razu, powiedzmy w pięć minut, gdy na Ziemi upływa wtedy także nie więcej niż pięć minut. Rozumiesz? Inaczej cały nasz eksperyment zdałby się psu na budę. Od dawna

potrafimy budować rakiety, które mogą lecieć do najdalszych galaktyk... tyle że do celu dolatywaliby na nich pra-pra-pra-prawnukowie tych, którzy wystartowali, a na Ziemi mijałyby w tym czasie nie miliony, lecz tryliony lat. Po powrocie, potomkowie tych, którzy wyruszyli w żaden sposób nie potrafiliby się dogadać z potomkami Ziemi, którzy ich wysłali, a poza tym przywoziliby wiadomości spóźnione właśnie o miliardy lat... bagatela! Nie bój się. Nasz lot trwał kilka, najwyżej kilkanaście minut, a na stacji ZZAA-2 upłynęło ich akurat tyle samo... licho wie dokąd zawędrowaliśmy — wzruszył ramionami i zapatrzył się w ekran.

Niebo było czarnogranatowe, a właściwie czarne. Oznaczało to, że są bardzo daleko od jakiegokolwiek układu posiadającego jasną, gorącą gwiazdę. Dalekie, dalekie słońca układały się we wzory, które w niczym nie przypominały zarysów konstelacji znanych każdemu kto lubi sobie w pogodną noc zadrzeć głowę do góry.

— Gdybym chociaż miał swój podręczny aparacik łączności — warknął nagle Kapica — mógłbym nawiązać kontakt z tym przeklętym zdalnikiem. Ale on zabrał mi stąd tę płytkę — wskazał oczami pustą kieszeń — i teraz pewnie śmieje się z nas w kułak...

Chłopcu przeszło przez myśl, że jeśli zdalnik w wystrzępionej koszuli rzeczywiście śmieje się teraz w kułak, to tak samo postąpiłby w podobnej sytuacji siedzący obok żywy profesor, bo przecież tamten jest jego wierną kopią...

Nabrał do płuc powietrza. Potrzymał go tam przez moment, po czym wypuścił bardzo powoli i zapytał:

— Czy my kiedyś wrócimy?...

Profesor posłał mu dziwne, krótkie spojrzenie, ale nie odpowiedział. Cisza stawała się z każdą chwilą trudniejsza do zniesienia. Mijała sekunda za sekundą. Z tych sekund bardzo, bardzo powoli zaczęły się robić minuty. Statek EB-5 niósł dwóch milczących pasażerów przez bezkres kosmosu...

— Ja nie wiem — wychrypiała postać w postrzępionej koszuli. Jego ludzkie oczy nie miały żadnego wyrazu, ale w ruchach zdalnika dało się zauważyć pewną nerwowość. — Ja nie potrafię...

— W opuszczonym Instytucie radził sobie jakoś — zauważył Adam.

— Bo miał szansę dotarcia do miejsca, gdzie znajdował się żywy profesor — odpowiedział Zyz. — Minimalną, ale miał. Wiedział, że musi tylko dolecieć do Transplutona. Zapewnił sobie dopływ energii, a potem czekał na okazję. Pamiętacie pantoplan? Wtedy ta jego chęć połączenia się z sobą... swoją drogą co za idiotyzm! — warknął nagle po swojemu — dawała mu bodziec do działania. Teraz stracił ten bodziec, bo nie wie, gdzie jest Kapica. Nie ma żadnej szansy dotarcia do niego. Takie są maszyny — prychnął pogardliwie. — Człowiek nie opuszcza rąk nawet w najgorszej sytuacji, tylko myśli. Ale człowiek potrafi zmieniać świat, a więc i zmieniać sytuacje... a automaty jedynie dostosowują się do nich... genialnie, ale to wszystko, na co je stać. One nie myślą...

— One myślą — zaprzeczyła bezwiednie Zula — tylko nie czują. Może i my machnęlibyśmy ręką na cały eksperyment, odżalowałibyśmy EB-5, gdybyśmy nie... gdybyśmy... — nie dokończyła. Westchnęła cichutko i odwróciła twarz, żeby Zyz nie ujrzał jej oczu.

Stary profesor umilkł.

— Czemu nic nie robicie?! — wykrztusiła po dłuższej chwili Anna. — Tato...

Bogdan Sponka nie patrząc na córkę odwrócił się z powrotem do ekranu, na którym widać było granatowoczarne niebo, gwiazdy i nic, ale to nic więcej.

— Gdzie jestem? — spytał biorąc do ręki płytkę, dokładnie taką samą, jaką przed chwilą bezskutecznie manipulował zdalnik profesora Kapicy.

— Na pokładzie EB-5. Widzę niebo i kabinę. Obszar nieba nieznany. W kabinie są

ludzie, których znam. Rozmawiali. Teraz umilkli.

— Czy porozumieli się z pokładowym komputerem?

— Nie wiem. Nie mam łączności z komputerem. Zdaję sobie sprawę z jego obecności, ale nie potrafię wejść w jego obwód informacyjny. Mogę rozmawiać tylko z sobą.

Ojciec Anny i Marka zaniknął na moment oczy, pokiwał głową, po czym powiedział:

— Czy nie czujesz się osamotniony?

— Nie rozumiem słowa „czujesz” — padła odpowiedź. — Sam? Tak, jestem sam. Jestem tutaj i tam. Powinienem być razem...

— Co można zrobić, żebyś znalazł się znowu tutaj... to znaczy — poprawił się szybko — żebyśmy byli znowu razem?...

— Sprowadzić statek z powrotem na ZZAA-2.

— W jaki sposób?

— Nie umiem powiedzieć. Nie znam pozycji EB-5. Nie mam do dyspozycji komputera...

— Gdyby zdalnikowi twojego ojca udało się wejść w kontakt z komputerem — szepnął Adam patrząc na Annę — chyba wspólnie potrafiliby określić pozycję statku, a wtedy już bez kłopotu obliczyliby kurs na ZZAA-2. I pomyśleć — dodał z rozpaczą — że te dwa automaty są tam obok siebie, że dzieli je zaledwie jedna pancerna i ekranizowana płyta...

— Ale dlaczego ojciec może rozmawiać ze swoim zdalnikiem, a profesor nie? — spytała niezbyt przytomnie dziewczyna.

— Przecież słyszałaś przed chwilą. Żywy człowiek emituje fale biologiczne, które odbiera jego „kopia”. Potrzebny jest tylko specjalny wzmacniacz elektromagnetycznych pól mózgowych...

— Ta płytka — domyśliła się wreszcie Anna. — Rozumiem. Kapica nie ma jej z sobą, bo została tutaj...

— Tak — szepnął Adam. — Ale teraz uważaj. Ojciec będzie próbował zaktywizować jakoś swojego zdalnika, żeby ten dorobił dodatkowy tor łączności... między sobą a komputerem EB-5. Pamiętaj, że ten zdalnik nie ma nóg ani rąk, jak ten tutaj — wskazał oczami niebieskiego. — Składa się tylko z niesłychanie skomplikowanej siateczki łączy informatycznych i przekaźników. To bardzo trudna sprawa...

Dziewczyna pomyślała chwilę.

— W takim razie jak on to w ogóle może zrobić... to znaczy, założyć tę dodatkową łączność z komputerem? Jeśli nie ma rąk ani żadnych narzędzi?...

Adam potrząsnął głową.

— Mógłby na przykład spróbować wytworzyć tak wysoką temperaturę, żeby w jednym określonym punkcie przetopić tę płytę, która ich dzieli. Albo wzbudzić silne promieniowanie... nie wiem. Ale to przecież w końcu automat... wyposażony w umysł twojego ojca. Wiedzy ma dość. Pytanie, czy zechce jej użyć. Musiałby się bardzo wysilić... tss... — przerwał nagle — słuchaj...

— Uważaj teraz — Bogdan Sponka mówił powoli, z naciskiem. — Jestem sam. Chcę być razem z sobą. Jestem istotą — zawahał się przez moment, ale natychmiast podjął znowu — tak, istotą rozumną. Muszę wymyślić sposób, żeby wrócić do siebie. Bódcem niech będzie świadomość, że bardzo, bardzo chcę być znowu razem...

W kabinie zapanowała śmiertelna cisza. Wszyscy czekali, co odpowie zdalnik, szybujący gdzieś w nieokreślonym punkcie wszechświata, wraz z profesorem Kapicą i Markiem.

Głośnik milczał bardzo długo. Wreszcie coś w nim zazgrzytało, jakby jakiś

człowiek, siedzący przed mikrofonem wytarł chusteczką nos.

— Chcę wrócić do siebie — zabrzmiał głos tak bardzo podobny do głosu ojca Anny oraz Marka zagubionego w nadprzestrzeni. — Jednak nie chcę aż tak bardzo, żebym mógł zmienić konstrukcję rakiety. Czy nie dałoby się wzmocnić tego bodźca?

— Widzisz... — szepnęła Zula. — On wie, ale nie czuje...

— Za stary jestem na takie cudactwa! — zgłosił swoją kapitulację profesor Zyz.

— A jeśli znajdzie się ktoś drugi, kto będzie myślał wraz z tobą, to znaczy ze mną — Sponka syknął zły na siebie, że się zapomniał — i będzie pragnął tego samego co ja?

— Suma identycznych bodźców... — było to raczej pytanie niż odpowiedź.

— Nie wiem, czy to wystarczy — popłynęło z głośnika. — Wydaje mi się, że niezbędna byłaby zmiana jakościowa. Ale spróbowałbym. Tylko że nie ma przy mnie nikogo, kto myślałby podobnie jak ja...

— Poczekaj — rzucił Sponka. Wyłączył kontakt i wstał z fotela.

— Co chcesz zrobić? — spytała Zula.

— Spróbuję połączyć swój mózg, za pośrednictwem? fal, które łączą mnie z moim zdalnikiem na EB-5 — wskazał płytkę z przyciskami — z mózgiem tego tutaj — spojrzał na osobnika w niebieskiej koszuli. — Ten chce się połączyć z Kapicą, który jest tam a „drugi ja”, który jestem tam chcę wrócić tutaj. Mój zdalnik nie ma kontaktu z komputerem pokładowym. Ale my tutaj możemy przecież przeprogramować i naszą centralkę łączności, i komputer. Jeśli zdalnik Kapicy uzyska połączenie z tutejszym komputerem, a tego z kolei uda mi się podłączyć do własnego mózgu, będę mógł z lepszym skutkiem wpływać na procesy myślowe drugiego Sponki — przez jego twarz przebiegł nikły ślad uśmiechu. — Rozumiecie? Impulsy, jakie stąd popłyną do EB-5 staną się silniejsze i mądrzejsze. Mój zdalnik będzie wiedział nie tylko to co ja, ale przyjmie także całą wiedzę profesora Kapicy... a w dodatku chęć jego zdalnika do połączenia się „z sobą”.

— Dziwny sposób — wymamrotał niechętnie Zyz.

— Można spróbować — szepnął Adam.

— W każdym razie nie wymyślimy nic lepszego — powiedział Saperda. — Chociaż obawiam się, że ten drugi ty — spojrzał na Sponkę — miał rację. To :znaczy, że nie wystarczy samo dodanie do siebie identycznych bodźców. On może by i coś wykombinował, ale potrzebowałby... potrzebowałby...

— Uczucia — dopowiedziała z najgłębszym przekonaniem Ina. Adam natychmiast zbliżył się do niej i objął ją ramieniem.

— Ciągłe ktoś gada o uczuciach! — zezłościł się na dobre Zyz. — Co to w końcu jest?! Eksperyment naukowy czy melodramat?!

— Wy, mężczyźni, nie docenicie niektórych bodźców... — nie ustąpiła złotowłosa.

Z miejsca gdzie stała Zula, dobiegło jeszcze jedno bardzo ciche westchnienie. Saperda, Niziołek i Zyz milczeli. Anna i Jacek także wstrzymywali oddech. Tylko kiedy Ina znowu wymówiła słowo „uczucie”, Jacek poczuł muśnięcie małej rączki Anny na swojej. Twarz chłopca przybrała wyraz, jakiego nikt nigdy dotąd u niego nie widział. Ktoś mógł pomyśleć, że Jacek, podobnie zresztą jak Adam, niezupełnie zgadza się ze zdaniem, że mężczyźni nie doceniają siły uczuć, i ten ktoś miałby w dodatku rację. Przynajmniej jeśli chodzi o niektóre uczucia i... niektórych mężczyzn.

Znowu zrobiło się czarno. Ale zanim to nastąpiło, ekran przed Markiem przez moment jaśniał wszystkimi barwami tęczy. Kolorowe pasy trwały ułamek sekundy nieruchomo, potem zaczęły falować, wreszcie zwinęły się w barwne koła, podobne do tarcz reflektorów przesłoniętych pastelowymi szybkami. Chwilę później wszystko

zgasło i nastąpiła noc. A wraz z jej powrotem chłopca opanowała ponownie ta sama niemoc, którą odczuwał, kiedy EB-5 po raz pierwszy wpadł w dziurę w czasie, by przez nią przeniknąć do nadprzestrzeni.

Siedział nieruchomo, wpatrzony szeroko otwartymi oczami w tę najczarniejszą ze wszystkich możliwych nocy. I znowu, jak wtedy, po pewnym czasie odezwał się jakiś głos, początkowo przytłumiony i daleki. Ktoś mówił bardzo łagodnie i miękko w znanym Markowi choć dziwnie zniekształconym języku.

— Nie macie pojęcia jak tu pięknie. Jeziora, lasy... zwierzęta. Czy słyszycie śpiew ptaków, który przekazujemy kwadrofonami? Oczywiście wiedzieliśmy, co tu zastaniemy. Naszą ekspedycję poprzedziły poważne studia. Ale to naprawdę trzeba dopiero zobaczyć na własne oczy...

Jeziora, lasy? Skąd dobiega ten dziwny głos, o którym nie sposób nawet powiedzieć, czy należy do mężczyzny, czy do kobiety? Gdzie ten ktoś jest, że tak zachwyca się jeziorem, lasem i ptakami?

— Ja też pierwszy raz widzę Ziemię... — odezwał się drugi głos, tak samo nieokreślony.

— Nic dziwnego — odpowiedział miękko pierwszy. — Jesteśmy przecież pierwszą od stu pięćdziesięciu lat ekipą archeologiczną, która uzyskała prawo do lądowania na naszej macierzystej planecie. Od kiedy człowiek ostatecznie opuścił Ziemię i przystosował się do życia w przestrzeni, tutaj powoli powracały naturalne warunki...

— Uczyniliśmy Ziemię pomnikiem — wtrącił się drugi — i chociaż niektórzy protestowali, otoczyliśmy ją ścisłą ochroną. A teraz okazuje się, że było warto. Tu jest tak pięknie...

Chwilę milczeli obaj... czy obie.

— Stoimy przed dawnym miastem... widzicie je teraz — powiedział pierwszy głos, a Marek zrozumiał w tym momencie, że oni tylko komentują obraz, jaki przekazują komuś z Ziemi. Opuszczonej Ziemi? Cóż za bzdury! To sen — uspokoił się chłopiec. — Może nawet dość oryginalny. Trzeba go będzie opowiedzieć Zuli i Bogdanowi... ubawią się. A Lidka powie... powie.

Marek posmutniał, chociaż nie wiedział wcale dlaczego. Lidka...

— To pewnie głupie, co teraz powiem — w drugim głosie pojawiła się nutka wzruszenia — ale przyszło mi na myśl, że to musiało być przyjemnie istnieć wśród żywej przyrody... być zależnym od niej całym ciałem, nerwami, zmysłami, reagować na temperaturę, zapachy...

— Wyjaśnijmy — przerwał mu znowu pierwszy — że na Ziemię nawet naukowcom wolno wracać tyłką w dawnej, ludzkiej postaci. Popatrzcie na nas — tu nastąpiła przerwa, widocznie mówiący kierował obiektyw kamery na siebie i swojego towarzysza, czy też towarzyszkę — tak wyglądali nasi praojcowie...

— Ostatecznie wcale nie tak strasznie dawno — uzupełnił drugi — zaledwie tysiąc osiemset lat temu. Dopiero wtedy zespół profesorów Karaniana, Svensona i Sponki przystąpił do eksperymentalnych prac nad uniezależnieniem mózgu i systemu nerwowego człowieka od warunków zewnętrznych. A potem...

— Nie róbmy wykładów z historii — pierwszy przerwał cichym, łagodnym śmiechem. — Wprawdzie jesteśmy archeologami i przeszłość to nasza specjalność, ale transmisję odbierają widzowie, którzy podstawowe fakty z dziejów cywilizacji znają tak samo dobrze jak fachowcy...

— Masz rację. Popatrzcie więc tylko jeszcze na to jezioro, złocisty piasek, trzciny, a tutaj, o, tutaj... stał kiedyś pomost. Widać jeszcze dębowe pale, wbite w dno. Tysiące lat temu pewnie kołysały się przy nich te łódeczki, które teraz można oglądać w muzeum na Aparacie, w gwiazdozbiornie Strzelca.

— A słyszycie ten szum? — wtrącił się pierwszy. — To wiatr. Coś, czego nie sposób przekazać za pomocą kamer ani kwadrofonów. To ruch powietrza. Gałęzie drzew szeleszczą, nasze ciała opływa chłód, choć jest bardzo ciepło... to wspaniałe uczucie...

— Wiatr — pomyślał chłopiec. Wiatr nad jeziorem... Przed nim zrobiło się jaśniej. Głosy dziwnych ludzi czy, jak kto woli, dziwne głosy bardzo dziwnych ludzi, uciekły razem z ciemnością, jakby mogły rozbrzmiewać tylko w najczarniejszej nocy, pozbawionej księżyca i gwiazd. Ukazała się tarcza ekranu, a na niej znowu delikatne kolorowe koła. Chwilę później rozmazały się i Uniknęły, zanim zdążyły utworzyć pasy tęczy.

— Wiem! — okrzyk Kapicy zabrzmiał jak wystrzał. Marek, który tkwił jeszcze w krainie swojego snu, podskoczył i to tak skutecznie, że ugryzł się w język, nie w przenośni, a najzupełniej dosłownie.

— Aj!

— Wiem!

— Aj!

Słynny uczonek umilkł i przyjrzał się nieufnie wykrzywionej twarzy swojego sąsiada.

— Czy ty sobie stroisz ze mnie kpinki? — spytał straszonym głosem.

— Nnnie... Mój jjęzyk...

— Ugryzłeś się w język? — odgadł profesor. — Hi, hi, hi! To znaczy, że chciałeś powiedzieć jakieś głupstwo. A ja wiem! — zawołał znowu tryumfalnym tonem. — My nie lecimy po torze oddalającym się od ZZAA-2, tylko wpadliśmy na jakąś szaloną orbitę! Rozumiesz?! Krążymy w kółko dokoła miejsca, gdzie zaczęliśmy naszą małą przejażdżkę! .

Chłopiec w dalszym ciągu niczego nie rozumiał. Nawet gdyby tak bardzo nie bolał go język, nie potrafiłby podzielić entuzjazmu uczonego. Raczej nie miałby nic przeciwko temu, żeby ta ich „mała przejażdżka” była jeszcze odrobinę mniejsza.

— Przecież drugi raz wpadliśmy w obszar kolapsu grawitacyjnego! — rzucił profesor, jakby karcił jakiegoś szczególnie tępego studenta. — Co się tak we mnie wpatrujesz, młody człowieku?! Baran by zrozumiał, że wróciliśmy w rejon eksperymentu — wyjaśnił subtelnie. — Nie wiem, jak to się stało bo przed chwilą byliśmy razem ze statkiem tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, a nawet o wiele, wiele dalej... hi, hi, hi... ale w nadprzestrzeni wszystko jest możliwe. Tego co tam się wyrabia, nawet ja nie rozumiem — dodał łaskawie. — Wiem tylko że byliśmy w nadprzestrzeni, i to już dwa razy! Hura! — powtórzył swój wykrzyknik sprzed... sekund, minut, godzin, czy... lat?

— Tysiąc osiemset lat — powiedział na głos i raczej niezbyt do rzeczy chłopiec.

— Co?!

— Bardzo przepraszam, ja...

— Znowu ugryzłeś się w język? Hi, hi, hi!...

Marek spochmurniał. Wyprostował się odruchowo i powiedział urażonym tonem:

— Wcale nie ugryzłem się w język. To znaczy tak, ale nie teraz — uściślił z godnością. — Chciałem tylko powiedzieć, że przed chwilą znowu słyszałem jakieś głosy... jakby we śnie...

— A skąd te „tysiąc osiemset lat?” — spytał podejrzliwie Kapica.

— Bo oni mówili... mówili... ale to przecież nonsens.

— Powiesz wreszcie czy dalej każesz się ciągnąć za język?!

Dźwięk słowa „język” odbił się niemiłym echem w uszach chłopca d sprawił, że przestał dłużej zwlekać.

— Oni mówili, że tysiąc osiemset lat temu, to jest tysiąc osiemset lat przed tym



dniem, w którym rozmawiali, ludzie opuścili Ziemię. I że zrobili z sobą coś takiego, że nie mieli już ciała jak my, tylko mózgi, nerwy... a w ogóle żyli w przestrzeni. Było ich dwóch. Przeprowadzali jakąś transmisję z Ziemi, gdzie byli pierwszy raz i zachwycali się lasem, jeziorami, wiatrem. Poza tym... — tu chłopiec, jak umiał, zrelacjonował wszystko, czego dowiedział się podsłuchując rozmowę dwóch archeologów z przyszłości. — Ale to przecież niemożliwe... — stwierdził z ulgą na zakończenie.

Profesor Kapica słuchał tak uważnie, że nawet ani razu nie zachichotał po swoim.

— To się działo na Ziemi? — spytał, kiedy chłopiec umilkł.

— Tak...

— Pomnik? Rezerwat? Uniezależniony system nerwowy?

— Prawda, że to nonsens?! — Marek wzruszył ramionami, ale znieruchomiał, natrafiwszy na oburzony wzrok uczonego.

— Żaden nonsens! — zasyczał gniewnie Kapica. — Tak będzie. Już dzisiaj bionicy i genetycy potrafią zrobić model umysłu ludzkiego funkcjonującego niezależnie od ciała. Bardzo możliwe, że kiedyś ludzie zasiedlą galaktyki... i że będą to trochę inni ludzie niż ci, których przyzwyczailiśmy się oglądać. Oglądać powtarzam — dodał z naciskiem — bo pod innymi względami będą tacy sami jak my... tylko odrobinę mądrzejsi. A nawet nie mądrzejsi! — T zachichotał znowu — w każdym razie nie ode mnie — zastrzegł się skromnie — tylko będą już więcej umieć...

— A te trzy nazwiska — chłopiec nie był zupełnie pewny, czy wypada o tym mówić, ale rzecz była zbyt kusząca.

— Jakie znowu nazwiska?!

— Oni wymienili nazwiska uczonych, którzy wymyślili to wszystko — Marek poczuł, że się rumieni, ale na szczęście pod kaskiem nie było tego widać. Jakiś Karanian, jakiś Svenson i... Sponka.

— Aaaa!!! — profesor wydał z siebie tryumfalny hejnał. — Sponka, co?! Tu cię mam! Pewnie, że Sponka! Ja na szczęście nie mam dzieci, więc żaden z moich potomków nie będzie sławniejszy od swojego przodka, hi, hi, hi Ale w takim razie musi mnie pod tym względem zastąpić któryś z moich współpracowników! Sponka! Ha! Tylko nie ciesz się! — wycelował wskazujący palec w pierś chłopca — to nie będziesz ty! Żeby biologia stała na głowie, nie uda jej się utrzymać cię przy życiu przez tysiąc osiemset lat! I całe szczęście — mrugnął przekornie. — Oczywiście kiedyś ludzie przestaną umierać. Po co mieliby to robić? hi, hi, lii! Przecież fruując po kosmosie, uwolnieni od różnych idiotycznych części ciała, będą mieć do dyspozycji wszystkie możliwe ziemie, nie jedną. Kto wtedy pomyśli o przeludnieniu? Ale na razie niech jeszcze trochę pobędzie tak, jak jest. Gdyby życie już teraz trwało bardzo długo, może nie spieszylibyśmy się tak z różnymi eksperymentami? A przecież jeśli ci dwaj, o których opowiadałeś, mogli sobie gaworzyć na zacnej starej Ziemi, kiedy ta była już tylko rezerwatem czy pomnikiem, to dlatego, że na przykład ja bardzo chcę zdążyć polecieć nadprzestrzennym statkiem do Reticulum i przyjrzeć się tym gadułom, którzy zasypują nas swoimi „pi-pi-pi”!

Marek posmutniał.

— Czy pan myśli, że to się uda?

— Oczywiście, jeśli wrócimy na ZZAA-2 — odpowiedział niezmiśnany Kapica.

— Ale wrócimy. Jeśli nie pędzimy na osłep ku przedmieściom wszechświata, tylko robimy sobie kółeczka, to w końcu wylądujemy w naszym poczciwym, solidnym bunkrze i trafimy akurat na obiad. Ja ci to mówię.

W głosie profesora brzmiała taka pewność, że Marek odruchowo powiódł wciąż

jeszcze obolałym językiem po wargach. Przypomniawszy sobie powitalną ucztę, jaką zgotował im ojciec.

— No a teraz — Kapica zmienił ton — zabierzemy się serio do naszego mózdzku — postukał dłonią w pulpit komputera. — Niech próbuje określić położenie statku — wskazał ekran, na którym widniały zarysy znajomych gwiazdozbiorów, chociaż ich kontury były jakby trochę przesunięte. Może zdąży, zanim znowu wpadniemy w nadprzestrzeń. Gdyby mu się to udało — mówiąc uderzał w kolorowe klawisze — to kto wie, czy nie potrafilibyśmy wyminąć obszaru eksperymentu i od razu wziąć kurs na ZZAA-2. Tylko musiałyby pracować bardzo szybko...

Komputer z pewnością pracował szybko, ale nie zdążył. Zaledwie w kabinie EB-5 przebrzmiały ostatnie słowa profesora Kapicy, z ekranu znowu zniknęły gwiazdy. Wszystko powtórzyło się jak w starym filmie. Tęcza, barwne koła, a potem najczarniejsza noc.

Bogdan Sponka miał na głowie wielki, cudaczny hełm, z którego wychodziły pęki cieniutkich przewodów. Te ostatnie ginęły w pulpicie sterowniczym głównego komputera stacji, z którego zdjęto obudowę. Taki sam hełm pozwolił sobie nałożyć na bujną szpakowatą czuprynę zdalnik profesora Kapicy. Także i jego łączyły z zespołami komputera pajęczki, kolorowe druciki. Te druciki zbiegały się wewnątrz sztucznego mózgu ZZAA-2, dzięki czemu anteny stacji przekazywały w kosmos myśli jedynego w swoim rodzaju trójumysłu. Twarze wszystkich obecnych były poważne i skupione. Osiem par oczu wpatrywało się z przejęciem w profesora Sponkę.

— ZZAA-2 wzywa EB-5 — powtarzał ojciec Anny i Marka. — EB-5, odezwij się...

Jak niedawno sami lecieli tym EB-5, martwiąc się, że nie odbierają żadnych wiadomości. Teraz sytuacja była bez porównania gorsza. Statek milczał i nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. Nie mógł nadać żadnego ostrzegawczego komunikatu. A płynący stąd głos ginął w nieskończoności kosmosu.

— Nic z tego — mruknął Zyz.

Sponka sięgnął do kieszonki w rękawie swojej bluzy.

— Od dłuższej chwili wzywam komputer statku EB-5. Ale nadal bez skutku — powiedział. Mógł poinformować o tym swojego zdalnika wyłącznie myślą, chciał jednak, żeby wszyscy od razu wiedzieli, co tamten mówi. — Komputer na statku, którym lecą, nie odpowiada — powtórzył. — Czy udało mi się nawiązać kontakt z ludźmi?

— Nie — odpowiedział znany głos.

Ktoś westchnął. Pomyśleć, że ten głos dobiega z EB-5, na którym są Marek i Kapica, a oni nie mogą się dowiedzieć nawet tego, czy statek jest jeszcze w Galaktyce czy miliardy lat świetlnych stąd. A przecież wystarczyłoby, żeby ten twór, który właśnie powiedział „nie”, nawiązał łączności z komputerem statku. Odzyskaliby nie tylko kontakt, ale d możliwość kontrolowania lotu. Odezwałyby się superszybkie radary i radio.

— Nie mam żadnych możliwości, żeby dać znać ludziom o swojej obecności — mówił dalej zdalnik Sponki nie wiadomo skąd. — Domyślam się, że wiedzą o moim istnieniu, ale nic ponadto. Dwukrotnie już przelecieliśmy przez obszar kolapsu grawitacyjnego...

— Jak to było? — spytał szybko Zyz.

— Myślałem o mnie — odpowiedział bez wahania drugi profesor Sponka.

— Co teraz czujesz? — wtrąciła się Zula w obawie, że Zyz zapomni o wszystkim innym, kiedy zdalnik zacznie relacjonować przebieg eksperymentu.

— Nie rozumiem?

— Co teraz myślę? — Bogdan sformułował to pytanie w sposób zrozumiały dla swojej kopii.

— Myślę nadal, że powinienem być razem. Od pewnego czasu myślę o tym stale i bardziej usilnie szukam rozwiązania. Czy to ten bodziec, o którym była mowa?

— Tak. Tu obok mnie jest ktoś, kto także chciałby być razem z sobą, przebywającym na twoim statku. Połączyliśmy nasze ośrodki mózgowie specjalną aparaturą i kiedy teraz rozmawiam, on rozmawia równocześnie ze mną. Czy to nie pomaga?

— Suma bodźców — powiedział głośno. — Wiedziałem, że tak będzie. Przez chwilę myślałem, że potrafię wzbudzić impuls elektryczny w materiale, z którego sporządzono ścianę oddzielającą mnie od zespołów komputera. Ale nie udało się...

— Fale biologiczne — powiedział Zyz takim tonem, jakby wymawiał jakieś brzydkie słowo — dzięki którym gadasz z samym sobą, dyndającym na ogonie jakiejś komety. Spróbuj je wzmocnić...

Sponka nie odpowiedział profesorowi Zyzowi, tylko zwrócił się od razu do osobnika w niebieskiej koszuli:

— Myśl dalej o tym, że chcesz być razem z sobą.

— Zdalnik Kapicy na znak zgody skinął swoją głową, tkwiącą w baniastym hełmie. — Ja także będę myślał. Jestem w takiej samej sytuacji jak ty...

— Wiem — powiedział cienkim głosem niebieski. Ojciec Marka spojrział na niego, jakby chciał go o coś spytać, ale nic nie powiedział. Zamknął oczy i zmarszczył brwi. Na jego twarzy odmalował się wysiłek. Zdalnik Kapicy przybrał identyczną pozę.

Przetrwali tak obydwoj bez ruchu może dwie minuty. Dwie minuty... Łatwo to powiedzieć!

— Ty myślisz inaczej niż ja — stwierdził nagle zdalnik starego profesora.

Bogdan otworzył oczy.

— Skąd wiesz?

— Przecież nasze ośrodki mózgowie i nerwy są połączone! — rzucił niecierpliwie zapytany, tonem, jakiego mógłby użyć prawdziwy Aleksander Wielki Drugi.

— Ty masz umysł słynnego profesora — odrzekł z lekką urazą Sponka. — Ja nie. Jesteś mądrzejszy...

— Nie o to chodzi! Nie powiedziałem, że jeden z nas myśli bardziej intensywnie, ale że inaczej...

— On się boi o syna... i o profesora — szepnęła Ina do Adama. — Tęskni...

— Ja? — zdziwił się zdalnik, a Ina i Adam byli zaskoczeni, że niebieski usłyszał ten nie przeznaczony dla jego uszu szept. — Co powiedziałaś? Ja się boję?...

— Nie ty — sprostowała głośno Zula — tylko mój mąż. Widzisz, my bardzo kochamy Marka i pro... i tego ciebie, który jesteś tam...

— No to co? Nie rozumiem?

— Kiedy człowiek kocha, to myśli inaczej...

— Więc kto w końcu myśli inaczej?

Zula umilkła, pokonana swoją własną bronią, natomiast Bogdan zaczął zastanawiać się, jak wytłumaczyć zdalnikowi tak zawiłą sprawę, jaką jest miłość. Ale osobnik w niebieskiej koszuli nie miał ochoty czekać, aż profesor Sponka wymyśli wzór na ludzkie uczucie.

— Czy ktoś ostatecznie będzie łaskaw mi powiedzieć, co to wszystko znaczy? To „boję się”, „tęsknię”, „kocham”? Chyba, że już nie chcecie, żebyśmy wam pomagali?

— Ależ chcemy! — wyrwało się Lidce.

— Chcemy — powtórzyły równocześnie Zula i Ina.

— To trudno wyrazić słowami — powiedział z namysłem Karol Saperda, nie

zważając na niecierpliwe pomrukiwanie profesora Zyza. — Widzisz — zwrócił się do zdalnika — ty tylko myślisz, że powinieneś być znowu razem. A my jeszcze pragniemy tego całym sercem i... bardzo tęsknimy.

— Znowu określenie, którego nie rozumiem. Może komputer potrafi mi to wyjaśnić jakoś bardziej do rzeczy?

— To jest pomysł — wykrzyknął z wyraźną ulgą Bogdan. — Tylko czy komputer? ... — nie skończył, ale dla wszystkich było jasne, jakie wątpliwości go ogarnęły. Przecież komputer jest także tylko maszyną...

— W każdym razie warto spróbować — powiedział Niziołek, który dotychczas niemal w ogóle nie zabierał głosu. — On sam nie czuje, ale ma wprowadzoną wiedzę o wszystkich emocjach, jakie bywają udziałem człowieka. A tłumaczyć potrafi bardziej logicznie, lepiej niż człowiek.

— Człowiek? — nachmurzył się zdalnik. — Czy ja nie jestem?...

— Wyłączam się — przerwał mu szybko Sponka. — Oddaję ci do dyspozycji komputer. Skontaktuj się z nim...

Dłuższą chwilę panowała cisza. Ale komputery naprawdę pracują szybko. A zdalniki potrafią stawiać precyzyjne pytania. Dlatego ta cisza nie trwała aż tak bardzo długo.

— Już wiem — oświadczył niebieski. W tonie jego głosu zabrzmiała jakby smutna nutka. — Rozumiem. Miłość. Tęsknota. Wiem teraz dlaczego myślisz inaczej, chociaż nadal nie są dla mnie jasne powody, dla, których ja nie myślę tak samo jak ty. Ale teraz nie o to chodzi...

— Bardzo rozsądnie — pochwalił go nieopatrznie Zyz.

— Nie przerywaj! — skarcił szacownego członka Rady Naukowej zdalnik. — Otóż ty myślisz nie tylko inaczej, ale i lepiej. Skuteczniej. Przynajmniej, jeśli chodzi o cel, jaki obecnie chcemy wspólnie osiągnąć. Bodziec przekazywany stąd przez nasze połączone umysły na EB-5 byłby silniejszy, gdybyśmy myśleli tak samo. Może wtedy ten ktoś na pokładzie statku potrafiłby się zdobyć na większy wysiłek...

Bogdan Sponka ujrzał oczami wyobraźni swojego zdalnika tam w kosmosie, jak czeka, żeby oni stąd natchnęli go siłą woli, która pomogłaby mu wreszcie nawiązać kontakt z pokładowym komputerem. Natomiast Zula od razu przystąpiła do rzeczy.

— Co zrobić — spytała patrząc błagalnie na niebieskiego — żebyś ty myślał tak samo skutecznie jak mój mąż?

Zdalnik profesora Kapicy nie zawahał się ani przez moment.

— To proste — odrzekł, wzruszając ramionami. — Nauczcie mnie tęsknić...

## 10. Dyrektor Instytutu

— Proszę teraz o zabranie głosu dyrektora Instytutu Planet Granicznych.

— Koleżanki i koledzy — odezwał się głos, który wzbudził w Marku dziwny niepokój. Już, już wydało się mu, że poznaje, do kogo ten głos należy, ale w ostatniej chwili uciekło mu z pamięci właściwe nazwisko... i właściwa twarz.

— Jak wiadomo, kontynuując dzieło naszego niezapomnianego mistrza, profesora Aleksandra Kapicy, poczyniliśmy pewne postępy, które świat przyjął z pobłażliwym uznaniem...

Rozległy się przytłumione śmiechy. Ktoś zawołał:

— Nie tak skromnie, profesorze!

Głos dyrektora wzniósł się pół tonu wyżej.

— Upominacie mnie słusznie... i niesłusznie zarazem. Słusznie, bo mówię w imieniu całego zespołu naszego Instytutu, który dzisiaj Rada Naukowa zaszczyliła tak pięknym odznaczeniem, i nie mam prawa pomniejszać osiągnięć moich znakomitych współpracowników. Szczególnie chciałbym podkreślić zasługi zastępcy dyrektora naszej placówki, profesora Jacka Saperdy...

A więc jednak tylko zastępcy — pomyślał z mimowolną satysfakcją Marek. Natychmiast jednak posmutniał. Jajogłowy jest profesorem... a jeśli w tej osobliwej ciemności rozbrzmiewają głosy z prawdziwej przeszłości i prawdziwej przyszłości, to znaczy że jest teraz świadkiem autentycznej sceny, która rozegra się... no, w każdym razie grubo wcześniej, zanim ludzie uniezależnią się od swoich kończyn i w ogóle ciał, aby bez kłopotów zasiedlić cały kosmos. Jacek będzie profesorem. A on?

— Natomiast niesłusznie — ciągnął dalej głos dyrektora — ponieważ wcale nie myślę, że nasz zespół i ja zrobiliśmy już wszystko, na co nas stać. Przeciwnie. Przy całej mojej, jak mówicie, skromności jestem niesłychanie zarozumiały... — skądś z dalszego planu znowu rozległy się śmiechy, które jednak szybko umilkły. — Uważam bowiem — ciągnął mówca — że jesteśmy w stanie dokonać bardzo wiele. Umieemy już latać w nadprzestrzeni do najdalszych zakątków wszechświata. Niestety, korzyści wynikające z tych podróży dla całej ludzkości, są na razie niewielkie. Trzeba pomyśleć o życiu wśród gwiazd, o pokoleniach, które uniezależnione od warunków zewnętrznych, będą rządzić mgławicami i kształtować kosmos zgodnie ze swoimi potrzebami, a zarazem rozważnie, z poszanowaniem podstawowych praw przyrody.

Zdaje się — pomyślał w tym momencie Marek — że ten dyrektor wie, co mi się tak niedawno śniło w nadprzestrzeni... to znaczy nie śniło, ale tak jakby...

— Kiedyś, kiedy zniknęły nierówności społeczne i wielka własność prywatna, kiedy obaliliśmy granice, Ziemia stała się portem szczęśliwym dla istot, które na niej żyły. Teraz takim portem będzie wszechświat. Nie wolno nam jednak zapominać, że nauka tylko pod tym warunkiem da nam szczęście, jeśli nadal zgodnie z naszą prawdziwą ludzką naturą, wolą, dobrocią i poczuciem sprawiedliwości potrafimy bez egoizmu dzielić się jej zdobyczami. Dziękuję serdecznie Radzie Naukowej w imieniu wszystkich moich koleżanek i kolegów.

Ostatnie słowo zagłuszyły gromkie brawa. Gdy przycichły, ktoś z głębi sali zawołał:

— Profesorze, a kiedy wreszcie zaprzyjaźnimy się z jakąś sympatyczną cywilizacją, powiedzmy z Chmury Strzelca?

Nastała cisza. Dyrektor odchrząknął, a gdy odpowiedział, jego głos był rozjaśniony uśmiechem.

— Tam akurat zdaje się nikogo nie ma — westchnął z udanym smutkiem. — Jakie

wiecie, szukaliśmy już także w gwiazdozbiorze Reticulum. Ale nie martwcie się. W końcu kogoś znajdziemy. A jeśli nie, to kiedy sami rozbiegniemy się po wszechświecie, nabierzemy po pewnym czasie tak różnych przyzwyczajęń, że staniemy się dla siebie nawzajem tak samo zagadkowi, jak teraz przedstawiciele innych cywilizacji. Na przykład zobaczę kolegę Saperdę łowiącego maleńkie gwiazdki w Drodze Mlecznej. Te gwiazdki będą miały kształt ryb. Po czym okaże się, że to on sam je wyprodukował, ponieważ tam gdzie mieszka, takie gwiazdki podaje się na deser po kolacji. Ale przedtem muszą być właśnie skąpane w Drodze Mlecznej...

— A ja — odpowiedział wysoki głos, przekrzykując śmiechy — ujrzę kogoś przemawiającego do gwiazd ustawionych w równych rzędach jak krzesła w tej sali i zawołam: ależ to mój dyrektor, Marek Sponka!

Śmiech zabrzmiał znowu, ale chłopiec popadł w stan takiego osłupienia, że przez dłuższą chwilę przestał cokolwiek słyszeć. Marek Sponka?! A cóż to za kawały?! Pomyślał, że teraz już na pewno nie ma mowy o żadnej nadprzestrzeni i krążących w niej głosach z prawdziwej przeszłości lub przyszłości. Po prostu zasnął i śni mu się coś głupiego... chociaż nie jest to przykry sen. Marek Sponka? Hm...

— Zwracam uwagę — odezwał się znowu dyrektor i nagle chłopiec zrozumiał, dlaczego jego głos wydał mu się dziwnie znajomy — że obydwaj z profesorem Jackiem Saperdą mieliśmy szczęście poznać w młodości wielkiego Aleksandra Kapicę, a ja odbyłem z nim nawet lot... w dość niezwykłych okolicznościach. Nic dziwnego więc, że nauczyłem się przemawiać do osób, z których każda słusznie może być uważana za gwiazdę... nauki. A to, że gwiazdy siedzą w krzesłach, zamiast błyszczeć na firmamencie, to już naprawdę nie moja wina...

— Brawo! — zawołał ktoś i w tym momencie panującą wokół Marka noc rozjaśniły promienie kolorowego światła, padające z ekranu. A wraz z ustąpieniem ciemności, ustąpiła także owa dziwaczna niemoc, która już po raz trzeci owładnęła pasażerów EB-5 podczas ich pionierskiego lotu.

Chłopiec z ogromnym zdumieniem musiał przyjąć do wiadomości, że naprawdę był znowu w nadprzestrzeni i naprawdę... Nie, to nie był sen!

— Panie profesorze! — krzyknął tak, że siedzący w sąsiednim fotelu Kapica podskoczył i z przerażeniem rozejrzał się po kabinie, szukając wzrokiem kosmicznego potwora, który przeniknął do statku i zaatakował młodszą część jego załogi. Ponieważ jednak nie znalazł nic godnego uwagi, musiał w końcu obdarzyć życzliwym zainteresowaniem swojego współtowarzysza.

— Potwór! — ryknął przeraźliwie. Teraz na odmianę przestraszył się Marek.

— Gdzie?!!!

— Tu!!! — palec w grubej rękawicy pchnął chłopca w pierś.

„Potwór” chwilę siedział bez ruchu, ale wspomnienie tego co ostatnio usłyszał w nadprzestrzeni, okazało się silniejsze od zaskoczenia, strachu i uczucia urażonej godności własnej.

— Panie profesorze! — powtórzył piskliwym głosem, zupełnie niepodobnym do tego, którym przed chwilą przemawiał dyrektor.

— Potwór — rzekł jeszcze raz Kapica, po czym odsapnął i spojrzał na Marka z żywym zainteresowaniem.

— No, no? Znowu słyszałeś coś ciekawego? Ciekawego! Dobre sobie!

— To znowu była przyszłość! Ale... ale... — nie powiem panu! — zdecydował z żelazną logiką.

— Hi, hi, hi. Znalazł się jeszcze jeden Sponka?! Co?! Hi, hi, hi!

Chłopiec zamyślił się. Po chwili głęboko westchnął.

— Czy pan jest pewny — spytał — że to, co słyszymy w tej nadprzestrzeni,

dotyczy spraw, które wydarzyły lub wydarzą się naprawdę?

Kapica chichotał jeszcze jakiś czas, po czym zawołał:

— Oczywiście! Przecież wszystko, co ktokolwiek kiedykolwiek powiedział, każdy dźwięk wędruje przez przestrzeń... Te dźwięki są w pewnych miejscach i okresach zbyt słabe, żeby można je złowić naszymi ziemskimi antenami, ale poza czasem mógłbyś posłuchać przemówienia Cezara do jego rzymskich legionów, rozmowy Bolesława Chrobrego z Ottonem Trzecim, wykładu Einsteina... a także tego, co dopiero zostanie powiedziane, zaśpiewane lub zagrane za sto, tysiąc i milion lat! Ciągłe nie rozumiesz, czym jest nadprzestrzeń! A my przez nią siup! — krzyknął i zatarł ręce. — Siup! — powtórzył z zapałem. — Eksperyment Zwycięstwo! Hura!

Jakby w odpowiedzi ze ścian kabiny popłynął nagle łagodny głos komputera.

— Informuję, że ZZAA-2 wzywa EB-5 — padły słowa, które także mogły pochodzić z przyszłości... do tego cudownej...

— ZZAA-2 wzywa EB-5 — powtórzyły miękko ściany. — Proszę zwracać się do mnie. Mam kontakt z obecnym na pokładzie statku zdalnikiem człowieka pozostającego w bazie...

— Nie ze zdalnikiem — wtrącił się głos, którego dźwięk sprawił, że myśl Marka wykonała obłądny radosny taniec — tylko ze mną...

— Tato!!!

— Dosłownie w tej chwili uzyskałem także połączenie foniczne — uzupełnił komputer. — Nastąpiło przebicie pomiędzy przewodami łączności a układem zdalnika...

— Ty znowu swoje? — odezwał się Bogdan.

— To przebicie — kontynuował cierpliwie komputer niezmiennym, łagodnym tonem — sprawia wrażenie zaprogramowanego zdalnie. Nie było przewidziane w pracy moich zespołów. Teraz zwracając się do mnie, będziecie mówić równocześnie do ludzi... tu i na ZZAA-2. Przepraszam za pierwszą błędną informację. Jeszcze dwie i pół sekundy temu przebicie umożliwiało jedynie łączność przewodową między mną a zdalnikiem. Teraz sytuacja się zmieniła. Dziękuję...

— Marek? — spłynęło ze ścian pytanie, czy raczej pełen nadziei okrzyk.

— Marek? — powtórzył ktoś identycznym tonem.

— Tato!!!

Chwilę panowała cisza.

— Dobrze, nie będę powtarzał — powiedział ni stąd, ni zowąd ojciec, jakby odpowiadając na czyjąś prośbę. Chłopiec zrozumiał, że ten pierwszy „Marek” wyszedł z ust prawdziwego Bogdana, a jako drugi wymienił jego imię obecny na pokładzie, ale nieosiągalny dla nich do tej pory zdalnik ojca.

— Tato! Tato! Tato!

— Hej, tam — zazgrzytał głos profesora Kapicy — chyba nie potrzebuję was zapewniać, że ten gawron koło mnie czuje się znakomicie? Takie piekielne ryki może wydawać tylko stworzenie zdrowe i zadowolone z życia...

— Dziękuję, profesorze — odrzekł Bogdan Sponka. — A jak pan się czuje?

— Ja? Hi, hi, hi! — A jak miałbym się czuć?! Udało się, synu! Rozumiesz?! Udało się! Bujamy sobie po nadprzestrzeni, gawędzimy, słyszymy różne ciekawe rzeczy...

— tu Kapica spojrzał na chłopca i zmrużył figlarnie lewe oko. — Ostatnio na przykład dowiedzieliśmy się czegoś o jakimś Sponce z przyszłości... wiemy już także, jak będziemy wyglądać za tysiąc osiemset lat...

Głośnik wydał serię niezrozumiałych pomruków.

— Profesor Zyz prosi, żeby was zapytać, czy macie komplet danych z przebiegu eksperymentu.

— A jakże — wykrzyknął towarzysz Marka. — Sami jesteśmy najlepszymi

danymi. Powiedz mu to. Albo nie. Sam mu to powiem, kiedy się spotkamy. Ty zrobiłbyś to zbyt uprzejmie.

— Tato? — wtrącił się znowu chłopiec.

— Co, synu?

— Pozdrów od nas wszystkich... wszystkich...

— Jak najchętniej — Marek poznał go po głosie, że ojciec się uśmiecha. — Was także pozdrawiają... wszyscy. Zula, profesor Zyz, profesor Saperda, Anna, Jacek... oczywiście pan Niziołek, któremu było bardzo przykro...

— Nie powinno mu być przykro! — przerwał Kapica. — Wprawdzie wyrzucił mnie ze stacji jak kawał niepotrzebnego żelastwa, ale czego można się spodziewać po osiłku, który udaje automatyka?! Dobrze, dobrze, jeszcze porozmawiamy! Ale jestem mu głęboko wdzięczny! Ha, ha, — zaśmiał się serdecznie, grubiej niż zwykle. — Czegóż to ja nie przeżyłem! Czego się nie dowiedziałem! A wszystko dzięki Niziołkowi! Całe szczęście, że zamiast tego... — urwał, bo domyślił się, że jego zdalnik na ZZAA-2 słucha razem z ludźmi — że zamiast kogoś innego — wybrnął — poleciałem sam. Cudowny eksperyment. Bomba!! Brawo, Kapica!

— I reszta świata — podrzucił usłużnie Bogdan.

— I reszta świata — zgodził się po namyśle Aleksander Wielki Drugi.

Marek usłyszał cichy śmiech ojca.

— Hej! — zawołał raptem do „reszty świata” profesor Kapica, tonem, świadczącym o tym, że właśnie przypomniał sobie coś ważnego. — Co to za historia z tym „przebicciem”? Przecież zgodnie z programem, łączność miała iść tylko falami biologicznymi?

Tym razem Bogdana Sponkę wyręczył jego ukryty na pokładzie EB-5 zdalnik.

— W pewnym momencie impulsy stały się dostatecznie silne, by spowodować zwarcie. Wytworzyłem lokalnie wysoką temperaturę, która stopiła część obudowy komputera. Następnie przebiccie wypełniłem...

— Dostatecznie silne? Impulsy? — przerwał niecierpliwie Kapica — Jakie impulsy? Zdalnik nie powinien odbierać impulsów silniejszych niż te, które są wysyłane! Czy ci, na stacji, zastosowali jakieś specjalne wzmacniacze?

— Nie.

— Nie.

— Marek?

— Marek?

Chłopiec zorientował się, że znowu słyszy prawdziwego Bogdana i powiedział:

— Co, tato?

Chwilę panowało milczenie, po czym odezwał się głos drugiego Bogdana: — dobrze, dobrze. Nie będę powtarzał.

— Znowu! — warknął Kapica. — Diabelski wynalazek te zdalniki. Co też strzeliło mi do głowy, żeby...

— Przecież nic nie mówię! — oburzył się głos profesora Sponki.

— Przepraszam — powiedział profesor Sponka. — Chciałem tylko wytłumaczyć Markowi, jak doszło do tego, że teraz możemy rozmawiać. Otóż nie przewidzieliśmy łączności z komputerem...

— Wiem, tato — przerwał chłopiec. — Profesor Kapica wszystko mi wytłumaczył...

— Nie wszystko — zaprzeczył szorstko uczoney — bo sam już teraz nic nie wiem. Co z tymi impulsami?

— Wykorzystaliśmy moją tęsknotę i chęć połączenia się... obecnego tu zdalnika z profesorem Kapicą.

— Co?



— Połączyliśmy siecią informatyczną nasze mózgi z komputerem i w trójkę pomogliśmy mnie. Temu mnie, który jest z wami na EB-5 — wyjaśnił dla uniknięcia nieporozumień. Pomogliśmy wykrzesać dostateczną wolę działania. Ten ja, który jestem tam u was, skonstruował nowy tor łączności między nim a pokładowym komputerem. A te „silniejsze” impulsy? No cóż, myśleliśmy, jak wspomniałem, w trójkę. A przedtem, z pomocą komputera stacji, wytłumaczyliśmy zdalnikowi profesora Kapicy, co czuje człowiek rozłączony z ludźmi, których kocha...

— Co za bzdury? — burknął Kapica oddalony od pierwszego, a raczej od drugiego o miliony kilometrów.

— To był pomysł naszych pań — zastrzegł się Bogdan. — A czy bzdura? Nie wiem, skoro teraz jednak rozmawiamy...

— Co zrobiliście właściwie mojemu... mojemu...

— No cóż, nauczyliśmy go tęsknić...

— Do stu księżyców!...

— A w każdym razie nauczyliśmy go, co to jest tęsknota — ciągnął z niezmaconym spokojem ojciec Marka. — Dzięki temu potrafił przekazywać komputerowi swoje myśli razem z moimi i moje... uczucia. A komputer wysyłał je do was, do mojego zdalnika. Inaczej mówiąc zastosowaliśmy zupełnie nowy rodzaj wzmacniacza fal biologicznych... — zaśmiał się Sponka. — Nawiasem mówiąc, profesoro — dodał poważniejszym tonem — wiadomo przecież, że emocje, jakich doznaje człowiek, wpływają na intensyfikację pól, otaczających jego centra nerwowe. Więc nie mogę się zgodzić, że to była bzdura...

— Tak bardzo za nami tęskniłeś — rzucił ironicznie uczony.

— Mnie osobiście było zupełnie obojętne, co się z wami stanie — wpadł w ton Kapicy Bogdan. — Ale przypominam, że to wszystko wymyśliły nasze panie. A wiadomo przecież, że kobiety... oj, nie! — zakończył nieoczekiwanym okrzykiem.

Aleksander Wielki Drugi pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Nasze panie potrafią różne rzeczy — skwitował nieoczekiwany obrót rozmowy.

— No dobrze — głos Marka drżał nieco — ale czy to, że rozmawiamy, pomoże nam wrócić?...

Profesor Kapica prychnął pogardliwie i zachichotał.

— Marku, wstyd mi za ciebie — powiedział Bogdan. — Przecież skoro komputery stacji i statku nawiązały kontakt, to EB-5 dostaje normalny sygnał namiarowy. Lecicie do nas z powrotem jak po sznurku... omijając okolice ZZAA-1 razem z eksperymentalnym supersilnym polem grawitacyjnym... W czasie tego lotu nie dacie już nurka do nadprzestrzeni. Widzisz w okienku namiaru zieloną nitkę?

Linia namiaru przecinała pionowo ekran jak pojedynczy promień zielonego światła.

— Rozumiem, tato — bąknął niepewnie chłopiec.

— Jestem trochę... trochę... — zawahał się — wytrącony z równowagi — znalazł wreszcie określenie, które jak sądził, nie uwłaczało jego godności. — A w ogóle będę się chyba musiał poważnie wziąć do nauki — dodał, mając w pamięci słowa „dyrektor Marek Sponka”.

— Jacek ma rację — ciągnął — że mój umysł nie jest dostatecznie zdyscyplinowany. Chciałbym kiedyś... chciałbym... — mówił jakby do siebie — być także badaczem, naukowcem. Czeka mnie dużo pracy — westchnął mimo woli.

Głośnik zamamrotał niewyraźnie.

— Anna chce wiedzieć — przetłumaczył ze śmiechem profesor Sponka — czy ty na pewno nie masz gorączki?

— Nic mi nie... och, sam nie wiem! — wykrzyknął Marek, zmieniając nagle ton.

— No, no... jeśli nadprzestrzeń ma takie zalety pedagogiczne, to czuję, że po

rozpowszechnieniu odkrycia profesora Kapicy, wszystkie szkoły przeniosą się na specjalne statki...

— Nie! — zaprotestował profesor Kapica. — Żadnych więcej dzieci w nadprzestrzeni! Wydaje się im, że słyszą jakieś głosy, a potem nagle udają mądrych. Co to, to nie!

— Kiedy będę dyrektorem instytutu — powiedział Jacek, gdy powitalne „ochy” i „achy” były już za nimi, a na stole pojawiły się przygotowane przez Zulę specjały — wszystkie zdalniki wyposażę w uczucia...

Marek ni z tego, ni z owego zakrztusił się kremem z chlorelli i zaczął kaszleć.

— Znowu zaczynasz? — Lidka popatrzyła z wyrzutem na brata. Ten natychmiast jakby zmałał i uśmiechnął się przepraszająco do Anny.

— Nie wiem, czy będę dyrektorem — wycofał się — ale nauka powinna lepiej zbadać uczucia. Jeśli tak ważna może być na przykład tęsknota — w ustach jajogłowego zabrzmiało to tak uczenie, że ze zwykłej tęsknoty zrobiło się słowo, które z powodzeniem mogłoby figurować w słowniku wyrazów obcych.

— Hi, hi, hi — ucieszył się profesor Kapica — Jacek zbuduje pralkę, która z tęsknoty, kiedy on wyjedzie na wakacje, doprowadzi do zwarcia i zacznie spiskować z domowym komputerkiem. A propos — dodał patrząc z niesmakiem na krztuszącego się w dalszym ciągu Marka — jakie uczucia wzbudza w was ten typ?

— Ryczy jak osioł nad pustym złobem — zauważył Zyz.

— Wypraszam sobie uwagi na temat złoba... a zwłaszcza pustego! — oburzyła się Zula.

— Właśnie — podchwyciła myśl mamy Anna. — Może on nie powinien tyle jeść? — zatroszczyła się obłudnie. — Po tych wszystkich przejściach?...

— Poczekaj — Niziołek pospieszył z pomocą zamierzając najwidoczniej zdzielić Marka po karku. — Przerażony chłopiec zerwał się i zaczął uciekać dokoła kabiny.

— Tytylko nnnie tto!! — wykrztusił.

Adam zgrabnie podstawił Markowi nogę. Skutek przeszedł najśmielsze oczekiwania. Rozciągnięty na miękkiej wykładzinie podłogi chłopiec przestał wreszcie kaszleć, ale z kolei zaniósł się spazmatycznym śmiechem.

— To już koniec — orzekł z powagą Sponka.

— To, oj, oj, ha, ha, ha, początek! — odpowiedział rezolutnie Sponka junior, ani myśląc o zmianie wygodnej pozycji. Obiema rękami trzymał się za brzuch, z oczu płynęły mu łzy, ale śmiał się dalej.

— No tak — odezwał się profesor Kapica. — Już na statku zauważyłem, że ma coś tutaj — uniosł wskazujący palec do skroni i pokręcił nim znacząco. — Najpierw rozmawiał z Napoleonem Bonaparte, a potem wybrał się na wycieczkę w świat za tysiąc osiemset lat...

— Nieprawda! — Marek oprzytomniał na tyle, że ten pełen oburzenia krzyk zabrzmiał mniej więcej po ludzku. — To dlatego, że Jacek powiedział... oj, nie mogę — parsknął znowu. W tym momencie uświadomił sobie jednak, że wtedy w przyszłości, rozmawiali z jajogłowym przyjaźnie, że łączyła ich wspólna praca i że musieli być zżyci, skoro mogli z siebie nawzajem żartować. Poza tym przyszło mu do głowy, że Jacek naprawdę będzie dyrektorem Instytutu najpierw „wice-” ...a potem, kto wie? W końcu przecież to nieważne, kto jest szefem, tam gdzie w grę wchodzi poznanie wszechświata i podróże w nadprzestrzeni... do najdalszych gwiazd po najwspanialsze tajemnice.

— Jacek nic złego nie powiedział! — odezwała się nieco poniewczasie, a jednak w samą porę Anna.

Przyszły filar Instytutu Planet Granicznych pozbierał się z podłogi i spojrzął na siostrę.

— Zdaje się — powiedział przenosząc wzrok na jajogłowego — że jest w naszym gronie ktoś, kto podziela twoje uznanie dla uczuć i...

Tym razem roześmiali się wszyscy oprócz niego... a także Jacka i, rzecz dziwna, Anny. Marek zorientował się, że strzelił byka.

— Chciałem tylko powiedzieć, że cię rozumiem... że twoja troska o rozwój nauki... że uczucia mogą pomóc...

Śmiech stał się głośniejszy. Tym razem chłopiec zdenerwował się na dobre.

— Przecież nie powiedziałem nic śmiesznego! — wybuchnął. — Czego rechoczenie, jakbym miał trzy lata i beczał, że ktoś porwał mi moją szapeszke?...

Zapadła cisza. Pierwsza oprzytomniała Zula.

— A cóż ci się nagle przypomniało? — wykrztusiła z niebotycznym zdumieniem.

— „Szapeszka”? — zagrzmiął ironicznie Zyz. — Czy on myśli o kasku próżniowym?

Najzupełniej niespodziewanie w obronie Marka stanął Jacek Saperda we własnej osobie.

— Nie wiem o co chodzi — przyznał na wstępie — ale przesadziłem mówiąc o tym, że maszyny powinny czuć. Nie można by ich wtedy używać do eksperymentów... bo gdyby już czuły, to musielibyśmy je szanować. Nawiasem mówiąc, w ogóle czasem przesadzam. Na przykład z tym dyrektorem Instytutu. To idiotyczne. Ale każdy ma swoje słabości — zauważył filozoficznie. — A wracając do wagi, jaką przywiązuje się do uczuć w związku z perspektywami nauki...

— Nie tylko, nie tylko — wtrącił Zyz, ale Bogdan Sponka dał mu znak wzrokiem, żeby nie przerywał.

— ...perspektywami nauki — powtórzył przez nos Jacek, po czym wrócił do poprzedniego tonu — to chciałbym zauważyć, że Marek także ma tutaj kogoś, z kim mógłby wymienić spostrzeżenia na ten temat... w atmosferze pełnego zrozumienia...

— Nie! — rozległ się z kąta dziewczęcy głos. Profesor Saperda, ochłonawszy z radosnego zdziwienia spowodowanego tak niecodziennym wystąpieniem przyszłego dyrektora wymienił z tym ostatnim błyskawiczne spojrzenia.

— Trzy... — zaczął szczęśliwy tato Lidki i odmienionego Jacka.

— ...cztery — podchwycił odmieniony.

— „Lidka–Nie”! — zawołałi zgodnie.

Zanim ktokolwiek zdążył się roześmiać, z kąta padło znowu: — Nie!!!

Kiedy umilkły odgłosy wesołości, profesor Zyz zwrócił się do Kapicy:

— No co, stary? Teraz chyba już polecicie do tego waszego Reticulum?...

Marek oderwał wzrok od Lidki i odszukał spojrzeniem centralkę łączności. Nadal błyskały lampeczki świadczące o tym, że te pi–pi–pi, z którymi Kapica i jego współpracownicy wiązali tak oszałamiające nadzieje, płyną nieprzerwanie z odległego gwiazdozbioru. Chłopiec spojrzał ze smutkiem na ojca i słynnego profesora, myśląc o czekającym ich rozczarowaniu.

— Tam niczego nie... — chciał powiedzieć: „nie znajdziecie” ale ugryzł się w język. Po pierwsze, niby dlaczego mieliby mu uwierzyć, a po drugie, wyprawa i tak dojdzie przecież do skutku. On sam... no, ten, który przemawiał w przyszłości, stwierdził wyraźnie: „szukaliśmy już w konstelacji Reticulum”. Dla Kapicy, ojca, Saperdy i Adama, może także Iny, jeśli wezmą ją ze sobą, będzie to w każdym razie wspaniała przygoda... a poza tym wyprawa z pewnością dostarczy materiału naukowego, który przyspieszy rozwój lotów w nadprzestrzeni. Co w ogóle mógłby zrobić człowiek, gdyby z góry wiedział, że jego wysiłki nie przyniosą spodziewanych rezultatów? A ileż to wspaniałych wynalazków powstało przypadkiem, bo ich twórcy pracowali nad czymś zupełnie innym i tylko „po drodze” nagle ze zdumieniem zdawali sobie sprawę, że zrobili coś zupełnie nowego. Nie. Będzie milczał...

— Czy coś mówiłeś? — spytał podejrzliwie Adam. Marek spojrział na byłego domniemanego zbira i spiskowca, przy którym widniała uśmiechnięta buzia Iny i na jej wspaniałe, złote włosy. Potrząsnął przecząco głową. Pomyślał jednak, że jeśliby w ogóle miał komuś kiedyś opowiedzieć, co słyszał w nadprzestrzeni, to wybrałby chyba właśnie jego. No, może jeszcze kogoś...

— Poczekajcie no — odezwała się Zula. — Tyle mówicie o uczuciach, a zapominacie, że nauczyliście... nauczyliśmy... — zacięła się i tylko utkwiała wymowne spojrzenie w osobniku, paradyującym niezmiennie w postrzępionej, niebieskiej koszuli.

Zapanowała konsternacja.

— No właśnie — burknął Zyz. — A mówiłem...

— Co do mnie — powiedział zdalnik profesora — wystarczy mi, że znowu jestem razem. Uczestniczyłem w ważnym eksperymencie, który sam przygotowałem, i nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak na mnie patrzycie?...

Nikt nie odpowiedział. Sobowtór Kapicy zaczął się niecierpliwić.

— Do stu księżyców! — krzyknął. — Oniemieliście czy co? Wróciłem z nadprzestrzeni i jestem razem. Teraz przede mną .moc pracy i nie chcę mieć wokół siebie ludzi, którzy potrafią tylko wytrzeszczać oczy, jakby...

— Nie, tego już za wiele! — huknął członek Rady. — Kapica, ty smarkaczu!...

— Po pierwsze, nie jestem smarkaczem — odpowiedział drugi Kapica, zanim pierwszy zdążył mrugnąć okiem — a po drugie, nie życzę sobie, żeby na mnie krzyczano. Dotyczy to także starych puchaczy! Zrozumiano?...

— Powiedziałbym dokładnie to samo — wyznał ze zdumieniem, a równocześnie zachwytem prawdziwy profesor. Zyz przewrócił oczami jak najprawdziwszy puchacz, ale był zbyt przejęty, żeby udzielić godnej odprawy jednemu i drugiemu... Otworzył wprawdzie usta, ale wydobył z siebie jedynie okropne zgrzytanie.

— Rada Naukowa wypowiedziała się, jak zwykle, mądrze i jasno — zauważył Kapica. Mrugnął porozumiewawczo na swojego zdalnika i wcale się nie zdziwił, gdy ten odpowiedział mu takim samym mrugnięciem. — Ja natomiast pragnę oświadczyć — ciągnął profesor — że odtąd będę już zawsze razem. Nie wiem, co wyprawialiście ze mną, kiedy byłem tam i tutaj równocześnie, ale widzę, że połówka Kapicy to aż za dużo dobrego dla niektórych moich znakomych kolegów...

— Impertynent! — wydyszał Zyz.

— Bardzo cię szanuję, profesorze — głos Aleksandra Wielkiego Drugiego brzmiał teraz niemal czule — i muszę wyznać, że w ciągu kilkudziesięciu lat czegoś tam się od ciebie nauczyłem...

— Niewiele — wtrącił ponuro członek Rady. W jego oczach pojawiły się jednak wesołe iskierki.

— ... nauczyłem, ale muszę stwierdzić, że na uczuciach obydwaj znamy się jak kura na pieprzu. Ty, patentowany stary kawaler...

— To przynajmniej prawda...

— ...a ja wprawdzie jestem jeszcze młody, hi, hi, hi... i mógłbym się ożenić, ale coś mi się zdaje, że gruchających parok i tak nam tu nie zabraknie. Ktoś w końcu musi pracować.

Zyz uśmiechnął się wreszcie. .

— Więc chcesz zostawić zdalnika... jako kamerdynera? To wyszło z mody jakieś tysiąc lat temu. Pomocnika?

— Przede wszystkim nie zdalnika tylko siebie — tym razem autentyczny Kapica zdążył uprzedzić sobowtóra, który już otwierał usta, żeby wyrazić swoje oburzenie — a po wtóre, podobno nauczyliście go jakichś ludzkich uczuć. Skoro sam nie mam żadnych, hi, hi, hi... to świetnie będziemy się uzupełniać. Ci zakochani — spojrzął z

nagłym zainteresowaniem w sufit, nie widząc, że kilka głów poruszyło się niespokojnie — twierdzą, że miłość i tęsknota pomagają nauce. Może kiedy zawsze będę razem — tu podszedł do swojego zdalnika i otoczył go ramieniem — — uda mi się choć o dwa dni szybciej polecieć do Reticulum? Kto wie?

— A „propos zakochanych — zagrzmiał Zyz. — Kto ma ochotę, niech idzie się przejść. Jest już po eksperymencie i nie ma co tkwić w tym bunkrze jak grzyby w barszczu...

— Coś ci się pomyliło — zauważył życzliwie Kapica.

— Wszystko wraca do normy — Niziołek zatarł z uciechą dłoń.

— ... jak grzyby w barszczu, bo jest nas za dużo, a ja nie lubię tłoku. Niech zakochani idą na spacer pod gwiazdami, a my z tym młodzieńcem w dwóch osobach — skłonił się Kapicy, który odpowiedział zabójczym grymasem — z tym osiłkiem — pogroził łysemu automatykowi — z profesorami Saperdą i Sponką zajmujemy się wreszcie czymś konkretnym. Trzeba przysiąc fałdów. Przede wszystkim zbadamy zapisy komputera w EB-5, pamięć zdalnika Sponki... na szczęście tego nikt nie nauczył żadnych głupstw... i przynajmniej nie przypomina człowieka...

— Niemniej — przerwał Bogdan — rezerwuję tę rakietę dla siebie. Ja także chcę być zawsze razem...

— Powariowali! — huknął Zyz.

— W ten sposób straciliśmy statek, bo jeśli będzie latał tylko ze Sponką, to prędzej czy później jego synalek porwie go i poleci do Krzyża Południa, żeby zobaczyć, czy tam przypadkiem nie jest cieplej niż na Gwieździe Polarnej, ale... — Kapica musiał zaczekać, aż umilkną śmiechy. — ...może zanim do tego dojdzie, zdążysz zrobić kilka wypadów, żeby przywieźć coś pożytecznego dla Instytutu — dopowiedział łaskawie.

— Więc najpierw analiza wyników eksperymentu, a potem jego wykorzystanie do praktyki lotów w nadprzestrzeni. Oczywiście lotów kontrolowanych przez człowieka. Potem zajmujemy się tym pi-pi-pi. No, to kto pod gwiazdki, niech czym prędzej wychodzi. A my — zwrócił się z nadzieją w oczach do Sponki — zakasujemy rękawy.

Zdalnik wziął widać to ostatnie zdanie najzupełniej serio, bo nagle zaczął podciągać rękawy swojej biednej, niebieskiej koszuliny.

Przez otwarte drzwi wychodzili kolejno Ina z Adamem, Anna i Jacek, Lidka...

— A ty dokąd? — dobiegł z wnętrza stacji zdumiony głos profesora Kapicy.

Chłopiec uśmiechnął się i czym prędzej pognął za Lidką. Nie usłyszał już, jak jego ojciec odpowiedział słynnemu uczonemu:

— Przecież sam wyгнаłeś wszystkich zakochanych na spacer. To czemu teraz pokrzykujesz?

— No tak... ale...

— To on powiedział, profesorze — zaśmiała się Zula. — Proszę nie zapomnieć, że ja jako kobieta podobno nie mam prawa wyrażać swojej opinii o roli uczuć w... nauce.

— Jak wrócimy — dorzucił Bogdan — to powiem ci na ucho, zagorzały stary kawalerze, że mam śliczną żonę i, co gorsza, ciągle jestem zakochany...

— Widzisz, odkrywco! — zarechotał ukryty wewnątrz bunkra Zyz — dobrze ci tak. No cóż, zostaj? nam jeszcze Saperda i Niziołek...

— Tylko jeden z Saperdów — mruknął ojciec Lidki i Jacka.

Czarne niebo wyglądało jak sufit cichego pokój w rodzinnym domu. Gwiazdy stały się bliskie i wesołe. Gładka powłoka stacji ZZAA-2 odbijała ich blask jak woda ziemskiego jeziora podczas bezksiężycowej nocy.

— Marku — spytała cicho Lidka — czy tam naprawdę było tak... tak... inaczej?

Chłopiec zwlekał chwilę z odpowiedzią. Wreszcie westchnął.  
— Było wspaniale. Kiedyś wszystko ci opowiem...  
— Czemu nie teraz?  
— Bo teraz... teraz...  
— Wszystko słyszę! — zaśmiał się ktoś jakby tuż obok nich. Poznali głos Jacka.  
— Czy mam ci pomóc, drogi braciszku? — dodała Anna.  
Chłopiec obejrzał się niechętnie. Na tle gwiazdozbioru Oriona stały dwie postacie, trzymające się za ręce. Marek od razu odzyskał dobry humor.  
— Nie chcę — odparł — bo tylko powtórzysz, to co przed chwilą sama usłyszałaś. A ja wolę wymyślić coś oryginalnego.  
— Tego nie da się powiedzieć inaczej — zareplikował poważnie Jacek. Nagle roześmiał się głośno. — Próbowałem — wyznał z niespotykaną u niego szczerością — ale nic z tego nie wyszło...  
— Idźcie już sobie — nie wytrzymała Lidka. — Inaczej pomyślę, że to wy potrzebujecie pomocy...  
Kiedy zostali sami, Marek zamyślił się. Utkwił wzrok w gwiazdach i szedł coraz wolniej, wolniej, wreszcie stanął. Dziewczyna zatrzymała się obok niego.  
— Nie powiedziałaś... — przypomniała cicho.  
Chłopiec westchnął tak, że aż szyba jego kasku na mgnienie zaszła mleczną parą.  
— Widzisz... — zaczął — będę miał mało czasu. Jacek umie więcej ode mnie...  
— Jest starszy — zauważyła rzeczowo Lidka.  
— Tak, ale ja będę... — urwał nagle —. Ja byłem w nadprzestrzeni i wiem, ile jeszcze trzeba zrobić... Muszę teraz przysiąc fałdów... ale ty mi nie uciekniesz — to ostatnie zdanie zabrzmiało jak stwierdzenie oczywistego faktu.  
— Jesteś obrzydliwie zarozumiała — orzekła urażonym tonem dziewczyna. — Wcale nie wiem...  
— Przepraszam. Ty nie, ale ja wiem...  
— No wiesz!  
— Wiem!  
— Marku, bo...  
— Nie gniewaj się — poprosił. — Ja... ja bardzo... och, żebyś ty usłyszała to co ja! Powiem ci — zapewnił powtórnie. — Ale jeszcze nie teraz...  
— Teraz także miałeś mi coś powiedzieć — Lidka nieco złagodniała.  
— Przecież wiesz...  
— To co z tego? — Kask Marka napęczniał od kolejnego westchnienia.  
— Byłoby mi łatwiej uczyć się... no, mówiłem, że powinienem, gdybyś... gdybym się z tobą spotykał... stale...  
— Jak zdalnikowi?  
— Och, nie!  
Lidka zaśmiała się, ale zaraz spoważniała.  
— Co ty takiego słyszałaś w tej nadprzestrzeni? — spytała nieufnie.  
Chłopiec nabrał głęboko do płuc powietrze.  
— Że także po wielu, wielu latach będziemy razem...  
— Phi!  
— Że będziesz zawsze przy mnie...  
— Jak zdalnik?  
— Przestań!  
Lidce dziwnie zadrżał głos.  
— Wiesz — powiedziała miękko — poprosimy Zulę, żeby na resztę wakacji zabrała nas znowu nad błękitne jezioro. Tam jest tak ładnie.  
— Hura! — wykrzyknął chłopiec. — Mama na pewno się zgodzi...

— Znowu wszystko słyszałem! — dobiegł z ciemności głos jajogłowego.  
Marek nie speszył się wcale. Przeciwnie, zrobiło mu się dziwnie lekko i wesoło.  
Pomachał do ledwie widocznych na tle granatowocznego nieba Anny i Jacka.  
— Hop, hop! Nie szkodzi, że słyszałeś! A co myślisz o powrocie nad jezioro...  
dyrektorze?!

— Pomysł jest znakomity! — wyręczyła „dyrektora” Anna. — Brawo, Lidka!  
Oczywiście żadnemu z nich dwóch nie przyszłoby to do głowy!

— Przewiduję kłopoty — mruknął zatroskanym tonem Jacek.

— Ja się nie boję! — odkrzyknął zuchwale Marek. — Zawsze będę mógł im uciec.  
Hej, kłopoty, gońcie mnie! — rzucił za siebie i puścił się ostrym sprintem ku  
pobliskiemu widnokręgowi, prosto w gwiazdy.